M.B. im. L.W. w Łodzi

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 12 (1564) ROK XXXI 19 MARCA 1988 ROKU CENA 50 ZŁ

■ Przeszedł tędy huragan wandalizmu ——— str. 6

■ Cwaniacy i maniacy str. 7

■ Władysław Gomułka wobec sekciarstwa ——— str. 3

■ Rolnik w długiej kolejce po szczęście ——— str. 4

Kto przepcha wąż do odkurzacza? Kto zreperuje stary odbiornik radiowy? Czy rolnik musi po wszystko stać w kolejce? Czy rzeczywiście wszystko, „co nie jest zabronione jest dozwolone"? Komu to przeszkadza, aby ludzie byli właściwie obsługiwani?

Czy można żyć bez usług?

W każdym normalnie funkcjonującym i rozwijającym się współczesnym społeczeństwie musza istnieć dobrze zorganizowane usługi. Można powiedzieć, że poziom zorganizowania i działania usług świadczy o cywilizacyjnym rozwoju danego społeczeństwa. Jak jest u nas — widzi każdy, kto musi coś zreperować. Ciągle mówimy, że poziom usług powinien rosnąć i ciągle poprzestajemy na tym atrakcyjnym haśle. Dowodzą tego listy, jakie otrzymujemy i materiały, jakie napisali dziennikarze. Zebraliśmy je razem, aby przedstawić stan usług tylko w niektórych dziedzinach naszego życia.

Na początek listy.

LIST PIERWSZY

Zepsuło mi się radio. Typu „Adam" z zegarem. Budziło mnie rano do pracy. Postanowiłem oddać je do naprawy. Obszedłem prawie wszystkie państwowe zakłady napraw radioodbiorników i żaden z nich nie chciał się tego podjąć.

Byłem już zupełnie załamany. Ale postanowiłem podziałać inaczej. Zadzwoniłem do Cechu i tam podano mi adres. W prywatnym punkcie naprawy radioodbiorników i telewizorów pracuje 4 ludzi. Szef prawie pośześćdziesiątce stwarza familijny klimat. Pracuje z nim syn i dwu uczniów.

Aparat oddałem do reperacji w czwartek i poproszono mnie, abym przyszedł w piątek w celu poinformowania mnie o możliwości naprawy. Jakie było moje zaskoczenie, kiedy w piątek otrzymałem sprawny i grający „jak anioł" mój radioodbiornik.

J.J.B.

LIST DRUGI

Zepsuł mi się odkurzacz, ściślej zapchał się wąż gumowy. Niby drobnostka, lecz jakże uciążliwa... Udałem się do najbliższego punktu naprawy „Domar" przy ul. Potulnej 3.

— *Może pan mi pomoże w przepchaniu węża do odkurzacza?*

— *Niestety, nie posiadamy do tego odpowiednich narzędzi.*

— *Co mam z tym fantem począć?*

— *Wymieniamy całe węże, nie przepychamy. To nieopłacalne.*

Zrozumiałem. Drobna naprawa jest nieopłacalna. Zabiera dużo czasu. Pieniędzy daje mało.

W drugim i trzecim punkcie naprawy sprzętu gospodarstwa domowego otrzymałem identyczną odpowiedź. W końcu wycieńczony i zdenerwowany wracam do domu. Na klatce schodowej spotykam sąsiada, opowiadam swoje perypetie.

— *Drobiazg, za chwilę przyjdę do pana i przepcham wąż.*

Trwało to raptem 5 min.

W drodze rewanżu podwiozłem sąsiadowi pralkę „Franię" do naprawy. Ten sam punkt i znów odmowa. Silnik się przepalił. Nie posiadają nowych. Starych nie przewijają. Jedziemy do prywaciarza, na ul. Rzgowską. Przyjęli. Za trzy dni odbiór naprawionej pralki.

Sprawa trzecia. Przy nakręcaniu zegarka pękła mi sprężyna.

— *Proszę zostawić. Naprawimy za kilka dni.*

— *Ale to tylko wymiana sprężynki. Czy nie można od ręki?*

— *Nie można* — pada sucha odpowiedź.

Tak wyglądają u nas usługi.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

Dlaczego w ZSRR nie powstał emigracyjny rząd polski? Jakie zadanie miała grupa Leona Kasmana? Polska lewica w ZSRR była oderwana od polskiej rzeczywistości okupacyjnej i co z tego później wynikło.

Jak Władysław Gomułka bronił się przed zarzutem sekciarstwa

ANDRZEJ WERBLAN

Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią dziś drukujemy trzeci fragment książki Andrzeja Werblana „Władysław Gomułka sekretarz generalny PPR" przygotowanej do druku nakładem Wydawnictwa „Książka i Wiedza". Książka powinna niebawem ukazać się w księgarniach. Publikowane fragmenty pochodzą z rozdziału zatytułowanego: „Od KRN do PKWN". Tytuł fragmentu i śródtytuły pochodzą od redakcji. Ważniejsze przypisy zostały wiączone do publikowanego tekstu.

Mimo przerwania łączności KC PPR z Georgi Dymitrowem informacje o wydarzeniach w partii docierały do ZSRR. Leon Kasman, który od połowy 1943 r. z polecenia Georgi Dymitrowa znajdował się wraz z uzbrojonym oddziałem polskim i grupą działaczy KPP na Polesiu, w „Kraju partyzanckim", pod koniec 1943 r. otrzymał z Moskwy informację o aresztowaniu Pawła Findera i Małgorzaty Fornalskiej oraz o tym, że „KC PPR nie istnieje". W związku z tym wydano mu polecenie podzielenia oddziału na trzy grupy, skierowania się w trzy różne regiony kraju, nawiązania kontaktu z lokalnymi organizacjami PPR i GL oraz zorganizowania ich dalszej działalności bez odbudowywania centralnych ogniw. Leon Kasman miał dotrzeć do Warszawy i wyjaśnić przyczyny aresztowania Pawła Findera.

Nie w pełni jest jasne, w jakim celu oddział Leona Kasmana został w połowie 1943 r. przerzucony drogą lotniczą na Polesie. Był on za słaby do samodzielnych działań (kilkudziesięciu żołnierzy), ale dobrze uzbrojony i bogato wyposażony w łączność. Leon Kasman twierdził, że w drugiej połowie stycznia 1944 r., gdy z 30 ludźmi znalazł się na Lubelszczyźnie i ustalił, że KC PPR istnieje, otrzymał zadanie zapewnienia łączności PPR z Moskwą oraz zorganizowania bazy zrzutów broni dla GL i przerzutu skoczków spadochronowych kierowanych przez agendy Georgi Dymitrowa do różnych partii komunistycznych w Europie.

Za pośrednictwem oddziału Leona Kasmana została w drugiej połowie stycznia nawiązana łączność radiowa i kurierska, przez którą KC PPR przekazał Georgi Dymitrowowi informację o powołaniu KRN, związane z tym dokumenty, a także informacje o sprawach personalnych.

Czy w Moskwie wiedziano o KRN?

Wydaje się jednak, że ośrodek Georgi Dymitrowa oraz kierownictwo radzieckie musiało już wówczas posiadać również z innych źródeł wiadomość o powołaniu KRN. Być może pochodziła ona z napastliwych wzmianek w prasie obozu londyńskiego w kraju i w Anglii. Zresztą Georgi Dymitrow — jak słusznie przypuszczał Władysław Gumułka — musiał być poinformowany przez Pawła Findera o zamiarze powołania KRN.

Widocznie przyjęto jako pewnik, że po aresztowaniu Pawła Findera bez aprobaty Dymitrowa KRN powołana nie zostanie, gdyż 24 grudnia 1943 r. Józef Stalin zaprosił do siebie grupę politycznych i wojskowych działaczy ZPP oraz wyraził zgodę na utworzenie komisji organizacyjnej Polskiego Komitetu Narodowego, czyli lewicowej alternatywy rządu emigracyjnego. Komisja ta pod przewodnictwem Wandy Wasilewskiej rozpoczela niezwłocznie prace i do 4 stycznia 1944 roku przygotowała niezbędne wnioski i dokumenty dla proklamacji PKN: skład personalny (Andrzej Witos na czele), dekrety, deklarację programową.

Polskie środowisko komunistyczne w ZPP, a także wojskowe od dłuższego czasu zabiegało o utworzenie czegoś w rodzaju polskiego odpowiednika Komitetu „Wolnych Francuzów", Charlesa de Gaulle'a. Silne były w tym środowisku ciągoty, aby przynieść do kraju nie tylko wolność, ale również gotową władzę. Mówi się o tym wyraźnie w dyskusji programowej aparatu politycznego i Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki nad tzw. tezami nr 1 i nr 2. Różnice poglądów sprowadzały się właściwie do tego, co będzie we władzy tej przeważać — czynnik polityczny czy wojskowy.

Obie kolejne wersje tez programowych opracowanych jesienią 1943 r. przez oficerów polityczno-wychowawczych 1 Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki analizowało wielu historyków od pionierskiej pod tym względem pracy Fryderyka Zbiniewicza poczynając.

Alfred Lampe, który latem 1943 r. napisał swoją znacznie głębszą koncepcję programową, kładącą nacisk na konieczność respektowania polskiej specyfiki („*Polsce jest potrzebna własna droga rozwojowa — nie małpowanie wzorów z Zachodu czy ze Wschodu*"), nader krytycznie oceniał oba warianty tez dyskutowanych w 1 Dywizji.

3

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70, 32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz
Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska, Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Londyn) Bohdan Gadomski, Andrzej Gębarowski, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakoniecznу, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23. 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 797. S-10

Przegląd prasy

W dziennikach i czasopismach opublikowano wiele materiałów na temat wydarzeń marcowych 1968 roku. Znajdujemy w nich różne punkty widzenia. W tygodniku „ŻYCIE LITERACKIE" (nr 10) wydrukowano wspomnienia ówczesnego wiceministra spraw wewnętrznych Franciszka Szlachcica, który od 12 marca na rozkaz ministra Mieczysława Moczara dowodził służbami MSW. Potwierdza on istnienie tzw. grupy partyzantów.

„W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych wokół Mieczysława Moczara ukształtowało się niewielkie grono przyjaciół, głównie członków Polskiej Partii Robotniczej z czasów okupacji, żołnierzy i oficerów Gwardii — Armii Ludowej, w której Moczar był wybitnym dowódcą. Teraz najbardziej niepokoiła nas utrwalająca się stagnacja. Dostrzegliśmy brak atrakcyjnej koncepcji dalszego rozwoju Polski. Widzieliśmy objawy ideowego marazmu. Mieczysław skupiał w sobie wiele zalet. Potrafił stworzyć klimat dla szczerych rozmów. Jako minister spraw wewnętrznych miał dogodne do tego warunki. Równocześnie — jako prezes Zarządu Głównego — rozwinął aktywność ZBoWiD, który dotąd był dość martwą organizacją. (...) Nie mieliśmy zamiaru przejęcia władzy. Nigdy o tym nie mówiono nasza działalność nie była skierowana przeciwko Władysławowi Gomułce, jak sugerowały wrogie ośrodki. On był nie kwestionowanym przywódcą partii. Mieczysław Moczar nic nie zrobił i nic by nie zrobił dla osłabienia autorytetu i roli Władysława Gomułki. (...) Bardziej wyraźnie i odczuwalnie wzmogliśmy naszą ideowo-moralną działalność w latach 1967 i 1968. Istotą tego działania była obrona godności narodu i tradycji oraz poszanowanie zasług dla ojczyzny. Powodów było kilka. Pierwszy i najważniejszy łączył się z wzrastającym rozpasaniem szyderców, którzy naigrawali się z imponderabiliów, ośmieszali poświęcenie, bohaterstwo i zasługi. Drwili z ofiarności, z wiary w wyższe cele. Drwili z ideowości prostych ludzi. (...) Zastanawialem się, czy Władysław Gomułka obawiał się Moczara i nas «partyzantów» Nie wiem. Może tak, może nie?"

TRZY GRUPY W PARTII

Jeszcze przed 1968 rokiem opowiadano dowcip o zamianie szlaku bojowego od Lenino do Berlina na jedną noc spędzoną w partyzantce. Przypomniał go w dyskusji na łamach „ITD" (nr 10) prof. Eugeniusz Duraczyński, który negatywnie ocenia rolę Mieczysława Moczara i wyróżnia trzy grupy w aktywie kierowniczym PZPR. Mówi:

„To cała filozofia tzw. nurtu partyzanckiego z jego liderem Mieczysławem Moczarem. W kwietniu 1968 roku, w związku z miesiącem pamięci narodowej, udzielił on wywiadu PAP. Nie chcę go tutaj cytować, ale tekst był po prostu niesamowity (dostało się w nim również wymienionej tu już «Polityce»). I wszystko to pod hasłem superpatriotyzmu, a przeciwko tym, którzy jakoby chcieli naszą przeszłość narodową odnarodowić. Spójrzmy teraz na PZPR. Najwyraźniej widać wtedy trzy grupy w jej kierowniczym aktywie. Jest oczywiście grupa skupiona wokół Władysława Gomułki, słabnąca: nie ona nadaje ton. Wręcz przeciwnie, zarówno sam I sekretarz KC, jak i niektórzy jego bliscy współpracownicy próbują po pewnym czasie zahamować, osłabić gołym okiem dostrzegalne oczywiste «przegięcia». Druga — to ekipa szefa Katowic, Edwarda Gierka. Ci niemal od razu zwietrzyli dobrą okazję umocnienia się i stali w pierwszym szeregu tej politycznej kampanii. Występowali tak otwarcie, że nawet Gomułka nie mógł opanować zdziwienia, gdy na wiecu 19 marca 1968 roku aktyw warszawskich zakładów pracy, przedstawiciele robotniczej Woli zamiast skandować tradycyjnie «Wiesław, Wiesław» krzyczeli «Gierek, Gierek». To był także marzec 1968 roku! I była wreszcie trzecia grupa — owi «partyzanci». Każda z nich chciała wyciągnąć z Marca jak najwięcej korzyści. Gomułka pragnął jak najszybciej wszystko zakończyć. Tamci zaś — być może zresztą były między nimi jakieś powiązania, to jest trudne do ustalenia — walczyli nie tyle o natychmiastowe usunięcie Gomułki, ile o schedę po nim".

Na posiedzeniu Biura Politycznego 5 lipca 1968 roku stwierdzono, że nie ma w partii żadnej grupy partyzanckiej. Tym samym potwierdzono jednak jej istnienie. W dodatku Mieczysław Moczar przestał być ministrem spraw wewnętrznych i „awansował" na sekretarza Komitetu Centralnego oraz zastępcę członka Biura Politycznego.

CZY BYŁ JAKIŚ SPISEK?

W środkach masowego przekazu powtarzano tezę, że wystąpienia studenckie mają umożliwić powrót do kierownictwa osobom odsuniętym na początku lat sześćdziesiątych. A naprawdę szykowali się do władzy właśnie ci, którzy głosili teorię spiskową. Tak uważa były sekretarz KC (1955—1960) Jerzy Morawski.

Natomiast inny pogląd ma Stefan Kisielewski. W wypowiedzi dla tygodnika „WPROST" (nr 11) podtrzymał swą ocenę sprzed 10 lat, że spiskowa teoria historii ma częściowe zastosowanie do wydarzeń marcowych. Przed nadzwyczajnym zebraniem warszawskiego oddziału Związku Literatów otrzymał anonimowy telefon, żeby nie brał udziału, ponieważ nie o niego chodzi. W podobny sposób ostrzegł ktoś Pawła Jasienicę.

Manipulacje polityczne i ideologiczne w demonstracjach studenckich dostrzega również prof. Władysław Markiewicz. Ale przede wszystkim zwraca uwagę na obiektywne uwarunkowania. Wypadki marcowe były zapowiedzią nadciągającego kryzysu.

Z kolei prof. Jerzy Wiatr wskazuje, że rok 1968 sprzyjał napięciom i konfliktom. Burzliwe protesty studenckie miały wówczas miejsce w różnych krajach: Francji, RFN, USA, Jugosławii. O wydarzeniach w Polsce wciąż wiemy bardzo mało.

„Ich przyczyn i przebiegu możemy się tylko domyślać. Nie mamy pewności ani nawet możliwości dotarcia do istoty rzeczy. Wynika to ze stanu istniejących źródeł, ale także ze szczególnej «dyskrecji» osób najbardziej uwikłanych w te wydarzenia. Był to więc konflikt, który rozgrywał się w sposób niejasny, zakulisowy i wiązał się z różnymi, trudnymi do wyjaśnienia grupowymi interesami, zarówno po stronie władzy, jak i po stronie opozycji".

Wielość czynników determinujących wydarzenia historyczne wymaga od badaczy ostrożności w interpretacji. Nie można dostrzegać i przeceniać wpływu jednego tylko czynnika. Błąd ten popełnił m.in. Jan Stachniuk, który głosił, że charakter i losy Polaków negatywnie określiła religia katolicka.

Encyklopedie polskie nie wspominają o Janie Stachniuku, choć w bibliotekach naukowych są jego książki. Najważniejsza praca liczy 400 stron. Została wydana 16 sierpnia 1939 roku pod frapującym tytułem „Dzieje bez dziejów. Teoria rozwoju wewnętrznego Polski". W obawie przed urzędową konfiskatą nakład 1500 egzemplarzy rozprowadzono kolportażem prywatnym.

Sylwetkę i twórczość Jana Stachniuka przypomina w miesięczniku „ZDANIE" (nr 1) Kazimierz Koźniewski. Podkreśla on, że Stachniuk (1905—1963)

NIE ZASŁUGUJE NA ZAPOMNIENIE

Pochodził z polsko-ukraińskiej rodziny robotniczej. Wychował się w Kowlu wołyńskim. Po czterech klasach szkoły powszechnej pracował jako robotnik kolejowy. Ale koniecznie chciał się uczyć. W 1926 roku dostał się do siódmej klasy gimnazjum. Zdał maturę i wyjechał do Poznania, aby studiować w Wyższej Szkole Handlowej. Pierwszą książkę opublikował w 1933 roku pt. „Kolektywizm a naród".

Trzy lata później przeniósł się do Warszawy i założył grupę ideową „Zadruga". Jej członkowie przybierali prasłowiańskie imiona (Stachniuk był Stoigniewem), obchodzili święta starodawnych Słowian, używali starosłowiańskich nazw miesięcy, inaczej numerowali lata, mieli własny kodeks moralny. Wydawali pismo, w którym określali katolicyzm jako „duchowy semityzm", ponieważ stanowił kontynuację judaizmu.

„Stachniuk dzieje świata widzi w zmaganiu dwóch postaw — heroicznej i wegetacyjnej. Dostrzega decydującą dla tych zmagań rolę religii. Religie dzieli na takie, które sprzyjają postawom heroicznym, i takie, które sprzyjają postawom wegetacyjnym. Do tych drugich zalicza chrześcijaństwo katolickie, islam, buddyzm, judaizm. Do tych pierwszych — przede wszystkim chrześcijaństwo protestanckie. Wielkość odnajduje Stachniuk w starożytnej Helladzie, w starym Rzymie oraz w epoce porenesansowej, aż po wiek XIX włącznie. (...) Dalszy wywód w skrócie wygląda tak: chrześcijaństwo zniszczyło antyk. Kiedy w dalszej konsekwencji chrześcijaństwo ogarnęło ludy romańskie i germańskie, trafiło na cywilizacje i organizacje już wcześniej uformowane, musiało się więc do nich jakoś dostosować. Natomiast Słowianie, cywilizacyjnie młodsi, byli wobec chrześcijaństwa całkowicie bezbronni".

Jan Stachniuk zwracał uwagę na różnice w rozwoju demograficznym krajów europejskich. W latach 1580—1772 społeczeństwa katolickie rozmnażały się wolniej niż protestanckie. Ludność Polski wzrosła o 10 proc., Hiszpanii — 13 proc., Włoch — 25 proc. A tymczasem niekatolicka Anglia miała wzrost o 109 proc., ewangelickie Prusy o 300 proc., prawosławna Rosja aż o 344 proc. W XIX stuleciu ludność polska w państwach zaborczych wzrosła o 184 proc. Ale jeszcze szybciej rozwijały się kraje protestanckie i Rosja prawosławna.

Na początku września 1949 roku został aresztowany. Jako wroga Polski Ludowej skazano go na 15 lat więzienia. Potem karę zmniejszono i w lutym 1955 roku znalazł się na wolności. Był załamany i chory. Kazimierz Koźniewski pisze:

„Stachniukowi można przypisać wszystkie siedem grzechów głównych publicystyki politycznej i historycznej. Jest obsesyjny, jest nieprecyzyjny, pisze półprawdy, a nawet ćwierćprawdy. Jest antysemitą, nacjonalistą, ma skłonności faszystowskie, do tego brak mu zmysłu politycznego realizmu, ma idee, a nie ma rozeznania. A jednak... A jednak, gdy czytamy «Dzieje bez dziejów», czujemy, że za tak wyogromnioną, tak słoniowatą obsesją — Kościół katolicki jest winien wszystkiemu zło w Rzeczypospolitej! — tkwi wyraźny cień, widmo bardzo realnej, autentycznej prawdy. Prawdy o tym, że wpływ Kościoła katolickiego na dzieje naszego narodu nie zawsze był, mówiąc elegancko, dodatni, lecz nader często był zdecydowanie ujemny".

KOŚCIÓŁ W POLSCE LUDOWEJ

ma bardzo silną pozycję. Zdumiewa to obserwatorów zagranicznych, ponieważ na Zachodzie katolicyzm przeżywa kryzys i traci funkcje kulturotwórcze. A jak będzie w przyszłości w naszym kraju? Wiesław Walendziak (jeden z inicjatorów starającego się o rejestrację Związku Akademickiego Verbum) wyraża obawę w tygodniku „LAD" (nr 11), że może być gorzej.

„Jeżeli katolicyzm w Polsce zostanie uzupełniony o świadomość światopoglądowego wyboru i wynikającą zeń postawę społeczną, wkroczy, według mnie, w kryzys porównywalny z sytuacją krajów zachodnioeuropejskich. Tezę tę potwierdzają zresztą wyniki badań socjologicznych (m.in. prace socjologów KUL). Naszą sytuację można porównać do tej, jaka panowała zaraz po wojnie w Belgii lub Austrii. Formalnie — kraj katolicki, faktycznie zaś — trendy rozwojowe zapowiadają ostry kryzys postaw religijnych w perspektywie jednego, najwyżej dwóch pokoleń socjologicznych (20—40 lat). A zatem przed polskim katolicyzmem nie widać specjalnej alternatywy. Nie można biernie przyglądać się biegowi wypadków".

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Na apel rzecznika

Niechże i ja zabiorę głos na niezbyt wdzięczny temat — wzbierającej fali emigracyjnej. Gdyby nie apel rzecznika rządu o publiczne wyrażanie opinii w tej kwestii nie zgłaszałbym się do wypowiedzi, nie widzę bowiem środków zaradczych, działających ze skutkiem natychmiastowym. A — jak powiadali Rzymianie — jest niebezpieczeństwo w zwlekaniu.

Ale czy każdy kto się w tej sprawie odezwie musi się przyłączać do chóru utyskujących? Że kraj ponosi straty, zwłaszcza gdy idzie o fachowców z wyższym wykształceniem? Że tyleśmy na ich edukację łożyli, a oni „wypinają się" na nas nie poczuwając się do żadnych „długów wdzięczności"? Że inne kraje, od naszego bogatsze, po prostu ich sobie „kupują", na zasadzie, że bogaty kupuje kiedy chce i co chce, a więc zawsze korzystnie, a innym okazje przechodzą koło nosa?

Wiemy o tym dobrze, ale na razie potrafimy zdobyć się jedynie na apel do patriotycznych uczuć. Owszem, ja też nie neguję moralnej wartości tzw. wyższych motywacji, ale bądźmy realistami i spróbujmy zanalizować straty nie tylko wymierne w liczbach migracji, kosztach kształcenia itp., a okaże się wtedy, że, moim zdaniem, nie należy w ocenie wyjeżdżających stosować ocen ryczałtowych. Są bowiem tacy i siacy emigranci...

Ale po pierwsze, mówiąc o stratach, zapominamy o tym, że opuszczający kraj fachowcy są mu często pozornie potrzebni, w rzeczywistości bowiem nie potrafimy ciągnąć korzyści z ich fachowości obciążając ich mnóstwem czynności biurokratycznych, przeróżną „papierkową robotą", tak iż na meritum ich działalności, na które opiewa umowa o pracę, nie mają oni dość czasu. A ktoś kto ma poczucie, że jest w pracy zbędny niezależnie od tego, jak opłacany, nie tak trudno znajduje rozgrzeszenie podejmując decyzję wyjazdu.

Straty, o których się mówi bywają więc często potencjalne, ale mogą stać się dotkliwe w momencie oby niezbyt odległym, kiedy zacznie funkcjonować zasada, według której nikt nie powinien być zatrudniony poniżej swoich kwalifikacji i możliwości, a tylko cynik mógłby powiedzieć, że osiągamy równowagę zatrudniając za to innych znacznie powyżej ich kompetencji...

Można też domniemywać, że ci co opuszczają kraj na stałe, często czują się słabo z nim emocjonalnie związani, dalecy od przejmowania się sprawami publicznymi, a nierzadko odnoszący się z lekceważeniem czy pogardą do wszystkiego co jest i rodzi się tu „na wschodzie", i mgła zaślepienia spływa im na oczy na widok wszystkiego co jest choćby trochę „różowe". Nie oddziałują oni konstruktywnie na otoczenie, opóźniając proces stabilizacji życia...

Jeden z drugim gardzi mną za to, że się PRL-em nie brzydzę, a ja, jak nieraz słyszę, mam się mu koniecznie odwzajemniać płomienną miłością i troską o to żeby go tam w świecie za wszelką cenę uratować dla polskości. Piszę o tym, ponieważ odżywa stereotyp ojczyzny jako matki czułej nawet dla wyrodnych synów, którzy ją jedynie podkradają. Ławą symbolika, dobra może na czas zaborów, kiedy nie było państwa, ale i wtedy przypominano ludziom, że ojczyzna to też zbiorowy obowiązek...

Ośmieliłbym się również zauważyć, że nie całkiem obojętny dla nas, którzy tu pozostajemy, jest wybór kraju przez naszych emigrantów. To nie to samo, czy ktoś swym talentem i pracą pomnaża siłę kraju tradycyjnie przyjaznego, co innego zaś, gdy pracuje dla państwa, z którego strony może zagrozić nam niebezpieczeństwo, a przecież emigrant powinien być lojalnym obywatelem kraju, który go przyjął.

Tak więc nie podciągając pod jeden strychulec wszystkich opuszczających kraj powinniśmy szczerze ubolewać nad utratą jednostek aktywnych, fachowych, uzdolnionych i pełnych inicjatywy, którym się wydaje, że dopiero w świecie potrafią szeroko rozwinąć skrzydła i godziwie zarobić. Tu bym się zgodził z rzecznikiem rządu, że i w kraju powstają takie możliwości. Ale ciągle jeszcze w odczuciu wielu ludzi jest to jakby dopiero zapowiedź nadchodzących zmian niż już zapoczątkowany proces i nie można, niestety, zaprzeczyć, że rozmaite zahamowania i niekonsekwencje (i to odczuwane bodaj najsilniej w państwowym sektorze gospodarki) nie stwarzają atmosfery zachodzącego przełomu, budzą sceptycyzm a nawet niewiarę.

Toteż, jak myślę, nie ma chyba innego sposobu przeciwdziałającego skutecznie emigracji elementów najwartościowszych pod względem zawodowym i społecznym, jak szybkie i odważne zademonstrowanie wszystkich możliwości, jakie zawiera w sobie reforma gospodarcza, w połączeniu zresztą z demokratyzacją życia i umacnianiem praworządności.

Bez spełnienia tych warunków nawet rzecznik rządu skazany jest na bezradne zrzędzenie...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Józef Stalin miał troje dzieci, lecz tylko córkę Świetłanę darzył uczuciem ojcowskim. Ale też wybijała się ona zdolnościami. Pierworodny syn Jasza zginął w hitlerowskim obozie jenieckim. Życie drugiemu, Wassilijowi, zmarnowali pochlebcy i weseli Gruzini — artykuł JANA BABIŃSKIEGO pt. „Tragiczny los synów Józefa Stalina".

— Wystarczy przejechać 40 km od granicy PRL, aby przekonać się, że ludziom może się chcieć. Na przykład, kelnerzy wzajemnie sobie pomagają. Wszyscy są zadowoleni, uśmiechnięci, uprzejmi. Głupio się jakoś człowiek czuje... — korespondencja DARIUSZA DOROŻYŃSKIEGO z Czechosłowacji.

— Nowy program Zdzisławy Sośnickiej był porażką artystyczną. Jest to na pewno artystka ambitna i poszukująca, lecz w tym przypadku ambicje nie sięgnęły obecnych możliwości gwiazdy i opiekującej się nią instytucji — twierdzi BOHDAN GADOMSKI.

— Szczerze wierzyli w nauki wodza. Rzetelnie wykonywali swoją pracę. I nieoczekiwanie dla siebie stanęli wobec fałszywych oskarżeń. Znaleźli się w obozach lub ponieśli śmierć. A życie toczyło się dalej — druga część opracowania HENRYKA B. TYMIŃSKIEGO o tragedii przywódców Komsomołu.

— Nawet gdy choruję mogę pracować. Czytałem już dziennik wieczorny szeptem, a wcześniej prowadziłem uroczystość wręczania nagród, prawie 300 nazwisk do odczytania. Ale nie muszę przesadnie dbać o swój głos — mówi JERZY JAKUBOWSKI, najpopularniejszy obecnie głos Polskiego Radia.

— Praktyka dowiodła, że różnorodne próby zastępowania mechanizmu rynkowego szczegółowym administracyjnym planowaniem centralnym niweczyły główne walory planowania, gdyż sprzyjały przetargom, biurokratyzacji, fałszowaniu informacji itp.

— artykuł WITOLDA KASPERKIEWICZA pt. „Ile planu, ile rynku".

ze str. 1

W odręcznej notatce, stanowiącej prawdopodobnie dyspozycję do rozmowy w KC WKP(b) — sporządzonej w języku rosyjskim — napisał o tezach nr 1: *„polfaszistskogo tołka wzdor"*, a o tezach nr 2: *„libieralno-burżuaznyje w ekonomike, reakcyonno-burżuaznyje tiendiencyi w politikie"*.

Projekt „Deklaracji programowej PKN" w pierwszej wersji zdążył jeszcze opracować Alfred Lampe (zmarł nagle 10 grudnia 1943 r.) wykorzystując wcześniejsze tezy. Nad tym projektem pracowała komisja organizacyjna, która wniosła doń znaczne zmiany.

Józef Stalin, bez którego zgody powołanie PKN nie było możliwe, zwlekał i wahał się, najpewniej w obawie przed komplikacjami w stosunkach z zachodnimi aliantami. Ideę utworzenia PKN wyrażano na piśmie już w tezach nr 2, a więc na początku listopada 1943, zgodę na podjęcie prac organizacyjnych uzyskano dopiero pod koniec grudnia. Nie była to jednak decyzja ostateczna, gdyż po 4 stycznia 1944 prace te przerwano. Eleonora Syzdek, podobnie jak inni autorzy, łączy to — i chyba słusznie — ze wzmożoną aktywnością rządów zachodnich w sprawie polskiej w związku z osiągnięciem na początku stycznia 1944 r. przez Armię Radziecką dawnej granicy polsko-radzieckiej. Jako przyczynę przerwania prac nad powołaniem PKN wymienia się również informację o powstaniu KRN. Nie do pomyślenia byłoby bowiem tworzenie przez lewicę dwu konkurencyjnych ośrodków władzy. Jeśli jednak informacja o KRN zaważyła, to musiała być wcześniejsza i pochodzić z innych źródeł niż pepeerowskie. Józefowi Stalinowi mogło być nawet na rękę pojawienie się okoliczności uwalniających go od dodatkowych sporów z aliantami. KRN bowiem powstała z samodzielnej inicjatywy i poza ZSRR.

Równocześnie z przygotowaniem powołania Polskiego Komitetu Narodowego toczyły się prace — tym razem uwieńczone powodzeniem — mające na celu utworzenie swego rodzaju partyjnej komunistycznej instancji polskiej w ZSRR. I tu geneza sięga w przeszłość. We wspomnianej już dyspozycji do rozmowy w KC WKP(b) Alfred Lampe domaga się zespolenia *„kierowniczej grupy"* i powołania *„kwalificirowannogo organa pri CK WKP(b) dla polskich diel"*. Ponownie podniósł tę kwestię Jakub Berman w rozmowie z Wiaczesławem Mołotowem pod koniec grudnia 1943 r., i uzyskał akceptację. W tej sytuacji Jakub Berman wraz z Hilarym Mincem i Stefanem Wierbłowskim napisali 10 stycznia 1944 r. memoriał do Wieczesława Mołotowa, w którym proponowali powołanie 7-osobowej komisji organizacyjnej, której celem będzie utworzenie *„organizacji komunistów, jako zagranicznej organizacji PPR na terenie ZSRR"*.

Potrzebę uzasadniono koniecznością aktywizacji komunistów i obawą, że bez tego „istniejące na terytorium ZSRR polskie organizacje polityczne i jednostki wojskowe nie wypełnią swych zadań zasadniczych (...) może nawet wyniknąć niebezpieczeństwo, że będą one wykorzystane przez siły wrogie ZSRR (...)". Podkreślono w końcu, że *„komisja organizacyjna jest powołyvana i działa (naznaczajetsia i rabotajet) pod kierownictwem KC WKP(b)"*.

Niestety o KC PPR zapomniano.

Jak relacjonuje Jakub Berman, 2 lutego 1944 r. KC WKP(b) powołał Centralne Biuro Komunistów Polski, pod kierownictwem Aleksandra Zawadzkiego (sekretarz) z udziałem Stanisława Radkiewicza (zastępca sekretarza), Jakuba Bermana, Karola Świerczewskiego i Wandy Wasilewskiej (członkowie). Na początku lipca do składu Biura dokooptowano Hilarego Minca oraz przybyłego z kraju Mariana Spychalskiego.

Na emigracji w ZSRR milczano o PPR.

W sporządzanych w środowisku emigracji komunistycznej na użytek wewnętrzny ocenach sytuacji w kraju uderza pesymizm Mówi się m.in o *„konsolidacji starych partii pod egidą rządu londyńskiego"*. Stąd wniosek o szczególnej misji emigracji i jej siły zbrojnej. Ta ocena sytuacji i poczucie szczególnej misji powodowały chyba, że w odróżnieniu od strony radzieckiej, która — jak już mówiliśmy — miała powody do zadowolenia z powstania KRN, przywódcze jądro polityczne polskiej lewicowej emigracji żywiło nastroje ambiwalentne. Podejmowano uchwały witające KRN, np. uchwała CBKP z 2 lutego 1944 r. lub artykuł w „Wolnej Polsce" z 8 lutego.

Ale jednocześnie — jak ustalił Ryszard Nazarewicz — *„po jednorazowym opublikowaniu w prasie ZPP informacji o powołaniu KRN, z wymienieniem PPR wśród partii i organizacji, które założyły KRN, wzmianki o istnieniu PPR i KRN przestały pojawiać się na łamach pism wydawanych przez Zarząd Główny ZPP. Przebieg posiedzenia CBKP w dniu 15 maja 1944 wskazuje, iż nie było to kwestią przypadku i że istniało postanowienie — choć przez wielu działaczy nie aprobowane — o nieinformowaniu o działalności KRN"*.

Władysław Gomułka zdumiewająco trafnie wyczuwał te nastroje, mimo że nie miał praktycznie żadnych źródeł informacji o dyskusjach emigracyjnych poza audycjami radiostacji im. T. Kościuszki. W połowie stycznia 1944 roku napisał — w celu przekazania do ZSRR (przez kuriera za pośrednictwem grupy Leona Kasmana) — obszerne opracowanie pt. „Układ sił politycznych". Zawierało ono charakterystykę wszystkich ważniejszych ugrupowań politycznych polskiego podziemia i ich stosunku do PPR, a jednocześnie rozwiniętą motywację decyzji powołania KRN.

„Tworząc KRN, PPR wychodzi z założenia, że w sprawach dotyczących kraju mogą decydować tylko czynniki wyłonione w kraju lub przez kraj powołane. Tylko takie bowiem czynniki mogą najlepiej orientować się w rzeczywistych nastrojach mas i być przez te masy uznane. Dlatego też sprawę powołania Rządu Tymczasowego przekazała w kompetencje KRN (...) Przed chwilą doszła nas wiadomość, że Zw(iązek) Patri(otów) Pol(skich) organizuje polityczną reprezentację narodu polskiego na zewnątrz. Fakt ten ściśle wiążemy z oświadczeniem rządu ZSRR w sprawie granic polskich. Oświadczenie to powitane zostało przez nas z radością (...) Nie orientujemy się jednak, jak jest pomyślana reprezentacja polityczna organizowana przez ZPP. Przypuszczamy, że nosić ona będzie formy o uprawnieniach ograniczonych na etapie obecnym, tj. nie będzie nosić charakteru rządu. Zdaje się nam, że dzisiaj rząd taki byłby jeszcze przedwczesny. W związku z tym wysuwa się zagadnienie wagi według nas pierwszorzędnej. Mianowicie stosunek KRN do wyłonionej reprezentacji. Dla pracy KRN na zewnątrz kraju reprezentacja zewnętrzna jest konieczna. Podjęte niezależnie od siebie inicjatywy utworzenia KRN przez nas w kraju i reprezentacji politycznej na zewnątrz przez ZPP mogą się świetnie uzupełnić przy zastosowaniu pewnych warunków (...) Obawiamy się, że nie skoordynowane posunięcia przez nas w kraju i przez Was za granicą nie powodowały pewnego zamieszania w naszej pracy".

W końcowej części tekstu znajdujemy dramatyczny apel o dostawy broni dla Armii Ludowej.

Różne oceny okupacyjnej rzeczywistości w Polsce.

Argumenty przedstawione przez Władysława Gomułkę najwidoczniej niezupełnie przekonały adresatów. Ośrodek emigracyjny odniósł się krytycznie do programu KRN. Za pośrednictwem i aprobatą agend Georgi Dymitrowa (on sam wówczas chorował i zastępował go Maniulski, krytyka ta była komunikowana do kraju. CBKP uważało stanowisko KRN i PPR w sprawach polityki wewnętrznej za sekciarskie i zbyt daleko idące. W szczególności zarzut ten dotyczył rezygnacji z *„szerokiej jedności narodowej na bazie frontu narodowego"* i zastąpienia jej programem *„zwężonego frontu narodowego"*, wysunięcia hasła *„ludowej Polski"* i nacjonalizacji. Krytykuje się też nadanie KRN charakteru *„organu władzy państwowej"*. Zaleca się wprowadzenie korekt, które *„rozwiewałyby obawy warstw drobnomieszczańskich (...) w kwestii kolektywizacji, inicjatywy prywatnej itp."* Zaleca się również *„przygotowywać grunt dla Rządu Tymczasowego na szerokiej demokratycznej podstawie. Taki rząd ogarnąłby obok KRN* (podkr. — A.W.) *wszystkie grupy w kraju, które stoją na gruncie walki z niemieckimi zaborcami w sojuszu z ZSRR, a także przedstawicieli demokratycznych grup emigracji, w pierwszym rzędzie ZPP i Armii Polskiej w ZSRR, Polonii amerykańskiej i demokratycznych elementów w Londynie"*.

Centralne Biuro Komunistów Polskich

konsekwentnie podtrzymywało swoje stanowisko. Jeszcze 18 lipca 1944 r., a więc na 3 dni przed utworzeniem PKWN, w liście do KC PPR stwierdzono:

„(...) rząd w Polsce powstanie na podstawie rozszerzonej Krajowej Rady Narodowej z udziałem ZPP i innych demokratycznych grup na emigracji. Aby rząd ten spełnił swoje zadanie, musi on uczynić zadość dwóm warunkom: 1. być rządem prawdziwie narodowym przez skupienie wokół siebie większości narodu, 2. prowadzić taką politykę, która przyczyni się do utrwalania jedności narodów sprzymierzonych w duchu teherańskim. (...) Front narodowy w Polsce może być urzeczywistniony tylko poprzez głębokie przemiany w dawnych partiach. Powstanie i działalność KRN jest widocznym dowodem tego, że taki proces już się odbywa. Jest wielką zasługą naszej partii, że procesowi temu nadała konkretne formy organizacyjne i tym samym go przyspieszyła. (...) hasła Polski Ludowej, nacjonalizacji przemysłu nie są obliczone na wprowadzenie rozbicia w obozie przeciwnika, na wyrwanie spod wpływów reakcji wahających się elementów i na neutralizację części burżuazji. (...) w płaszczyźnie międzynarodowej oznaczałoby to, że Polska staje się kością niezgody pomiędzy państwami teherańskimi".

Załączone do tego listu materiały proponują umiarkowanie stanowiska PPR w sprawie nacjonalizacji (tylko własność niemiecka tymczasowy zarząd państwa nad wielką własnością, która do 1939 r. znajdowała się w ręku kapitału polskiego i alianckiego, w miarę regulacji stosunków gospodarczych *(„przywrócenie własności prawowitym właścicielom")* i reformy rolnej (górna granica wywłaszczania — 100 ha). Podobne stanowisko zajmowała — jedynie bez wymieniania granicy wywłaszczania ziemi — projektowana deklaracja PKN.

Władysław Gomułka odpowiedział obszernie na zarzuty sekciarstwa w liście do tow. D. Georgi Dymitrowa, z 7 marca 1944 roku. Wysłał ten list zarówno za pośrednictwem grupy Leona Kasmana, jak i przez delegację KRN udającą się przez linię frontu do Moskwy. W jej skład wchodzili Edward Osóbka-Morawski, Marian Spychalski (kooptowany w związku z tym do składu KC PPR) i Kazimierz Sidor. Zwykło się uważać, że członkiem delegacji był też Jan Hareman, ale Władysław Gomułka wyjaśnił, że udał się on do ZSRR jako człowiek zagrożony ze względu na pochodzenie. Delegacja dotarła na miejsce w maju 1944, a w kilka tygodni później dołączyli do niej Michał Rola-Żymierski oraz ludowcy Jan Czechowski i Stanisław Kotek-Agroszewski.

List Władysława Gomułki z 7 marca 1944 roku.

W liście z 7 marca 1944 roku Gomułka pisze

„Fakt, że PPR nie udało się dotychczas doprowadzić w Polsce do stworzenia frontu na wzór Jugosławii, Czechosłowacji lub Francji, nie wynika ani z sekciarskiej pozycji politycznej partii, ani z naszej słabości, lecz z ustosunkowania się naszej partii do zagadnienia granic wschodnich Polski (...) Nie uważamy również, że tworzenie terenowych (wojewódzkich, powiatowych, miejskich i gminnych) Rad Narodowych stwarza pozory dążenia PPR do sowietyzacji Polski. W walce z nami reakcja ocenia każde posunięcie naszej partii pod kątem sowietyzacji kraju. Nazwy nie mają żadnego znaczenia. Gdyby w Polsce bractwo św. Antoniego stanęło na gruncie rewizji wschodnich granic Polski, to też zostanie okrzyczane przez reakcję jako agentura moskiewska, działająca za moskiewskie pieniądze dla oddania narodu polskiego pod but stalinowski".

Władysław Gomułka nie odrzuca oczywiście, możliwości występowania sekciarstwa w postawie części kadr PPR:

„Nie mogąc dopatrzyć się sekciarstwa w naszej działalności i linii politycznej partii nie zaprzeczamy, że w różnych krajowych ogniwach organizacji nakreślona przez partię linia walki o demokratyczną Polskę jest spaczona. Wyraża się to w rozumowaniu, że hasła walki o demokratyczną Polskę pomyślane są przez partię tylko jako hasła taktyczne na okres okupacji niemieckiej, po usunięciu której partia wysunie hasła Polski Sowieckiej".

Agumentacja Władysława Gomułki i tym razem nie przekonała jego partnerów po drugiej stronie frontu. Dlaczego? Wydaje się to dość złożone. Istotny wpływ miało zapewne stanowisko kierownictwa radzieckiego, które ze względów międzynarodowych obawiało się spalenia mostów do ewentualnego porozumienia się z obozem londyńskim lub jego częścią. Trafnie zwraca na to uwagę Marian Malinowski. Poza tym pierwotne ustalenia Międzynarodówki Komunistycznej przy tworzeniu PPR zalecały umiar w formułowaniu programu społecznego. Centralizacja ideologiczna cechująca Komintern i utrzymująca się w pozostałych po nim agendach sprzyjała inercji w dziedzinie myśli politycznej, powodowała trudności i opóźnienia we wprowadzaniu korektur. Znamienne, że linia krytyki stanowiska PPR w depeszach Georgi Dymitrowa jest taka sama w marcu-kwietniu 1943, kiedy jeszcze nie istnieje ZPP i CBKP, jak i w 1944 r. Nie oznacza to jednak, że opinia polskiego środowiska komunistycznego w ZSRR, a zwłaszcza jego wpływowych ośrodków w ZPP i w agendach postkominternowskich, nie miała znaczenia. Oba te zespoły podzielały krytycyzm Georgi Dymitrowa, a w 1944 r. nawet go umacniały. Ryszard Nazarewicz ustalił, że w tym czasie część depesz podpisywanych przez Georgi Dymitrowa była redagowana w Centralnym Biurze Komunistów Polskich.

Na stanowisku kierowniczych ośrodków polskiego emigracyjnego środowiska komunistycznego zaważyło niewątpliwie daleko idące oderwanie od kraju i brak elementarnej informacji o krajowej sytuacji. Potwierdza to w swych relacjach Wanda Wasilewska. Pod koniec 1943 i w 1944 r., kiedy już istnieją ZPP i Armia Polska, następuje w tym środowisku znaczny wzrost poczucia własnego znaczenia i pewnej wyższości wobec organizacji krajowej, której wyraźnie się nie docenia. Trzeba pamiętać, że na emigracji znajdowała się większość funkcyjnego aktywu byłej KPP. W tej sytuacji łatwo było o wykształcenie się postawy mentorskiej wobec PPR, a w szczególności skłonności do wykazywania, że lepiej rozumie się implikacje sytuacji międzynarodowej i linię międzynarodowego ruchu komunistycznego.

Remedium na taką postawę i będący jej konsekwencją rozdział między krajem a emigracją mogły stworzyć związki intelektualne i organizacyjne między obu częściami ruchu, stała wymiana informacji, kontakty osobowe w obie strony. Tego jednak nie było aż do wiosny 1944 r. Nici łączności z PPR trzymała w swym ręku MK, a później agendy Georgi Dymitrowa. Informację w kraju posiadali wyłącznie ci spośród byłych działaczy KPP, którzy pracowali w MK. Środowisko tworzące ZPP i armię było jej pozbawione, jedynie Wanda Wasilewska otrzymywała do wiadomości część depesz. Zmiana tej sytuacji nie była prosta, wymagała zgody właściwych czynników radzieckich, które trochę świadomie, trochę z nawyku utrzymywały obie linie polskiej działalności komunistycznej w separacji.

Nasuwa się jednak pytanie, dlaczego w skądinąd licznej grupie dawnego aktywu KPP w kierownictwie ZPP i aparacie politycznym armii nie pojawiła się wyraźna inicjatywa dążącą do przełamania separacji z krajem. Władysław Gomułka żywił o to uzasadnioną pretensję. *„Dlaczego żadnemu z tych komunistów — zapytywał — nie przyszło do głowy nawiązanie kontaktu z kierownictwem PPR w kraju przy pomocy Dymitrowa i ewentualne podjęcie budowy PPR w Związku Radzieckim?"*

Nie ma wystarczających przesłanek do odpowiedzi na to pytanie. Na pewno istotną rolę odgrywało poczucie dyscypliny wobec MK i przekonanie, że jedynie centrum międzynarodowe może decydować, kto i gdzie ma odbudowywać partię, kto i z kim ma się kontaktować. Aktywistów KPP w większości cechowało poczucie i etos żołnierzy międzynarodowej rewolucji. Działali na statusie radzieckich obywateli, a w znacznej części również członków WKP(b), wobec tego statusu pozostawali za wszech miar lojalni. Wydaje się, że samodzielna inicjatywa „budowania PPR w ZSRR" rzeczywiście nie przychodziła nikomu do głowy. Postawa niezależności intelektualnej, tak charakterystyczna dla Władysława Gomułki już w latach wojny, była podówczas w środowisku komunistycznym nader rzadka. Kłóciła się z wieloletnią tradycją. Musiało upłynąć wiele lat od rozwiązania Kominternu zanim postawa ta szerzej się upowszechniła.

Powołanie Centralnego Biura Komitetów Polskich bez porozumienia z KC PPR jeszcze umocniło owo poczucie wyższości i misji wobec kraju. Korespondencja Biura z kierownictwem KC PPR świadczy, że nie czuje się ono jego agendą, lecz po trosze partnerem, a po trosze mentorem, chwilami wręcz zwierzchnikiem uprawnionym do wydawania zaleceń. Władysław Gomułka rozumiał dobrze tę sytuację, nie uważał jej za normalną, ale zachowywał się realistycznie. Odniósł się do krytyki Biura spokojnie i rzeczowo, nie zaogniał sporów, starał się wychodzić na spotkanie, choć zasadniczych tez politycznych bronił stanowczo i z przekonaniem.

ANDRZEJ WERBLAN

Jak Władysław Gomułka bronił się przed zarzutem sekciarstwa

Władysław Gomułka

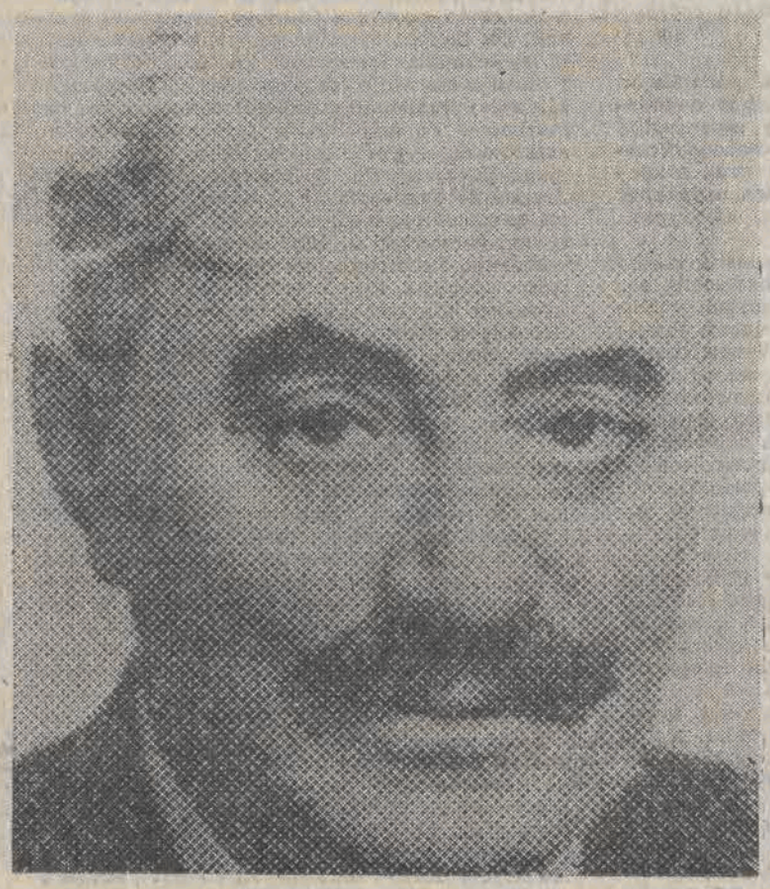

Georgi Dymitrow

Czy można żyć bez usług?

ze str. 1

Jak i czym przewieźć meble z magazynu do domu

Jeśli ktoś uważa, że transport porcelany jest nieporównywalnie trudniejszy od wożenia mebli najnowszych generacji, to trzeba mu od razu powiedzieć, iż błądzi. Do przewozu jednego i drugiego niezbędne są odpowiednie wózki, rampy, samochody oraz „mistrzowie ceremonii" — kierowcy. Przewożenie mebli delikatnych jak porcelanowa panienka, szczególnie polskich, na ogół fatalnie zabezpieczonych na wypadek przemieszczania w wozach — spędza sen z oczu pracowników Przedsiębiorstwa Handlu Artykułami Wyposażenia Wnętrz „Domar". Meble to 95 proc. całej oferty tej firmy.

Przedsiębiorstwo handlu meblami powstało w 1946 roku. Do dobrej tradycji należało dowożenie towaru do domu klienta, aby zaoszczędzić mu zabiegów i znaczniejszych wydatków. Przedsiębiorstwo zatrudniało wozaków wraz z konnymi platformami. Potem zaczęli ich uzupełniać kierowcy „dżemsów" z demobilu, aż wyparli wozaków zupełnie.

W miarę zwiększania obrotów powstał zakład transportu, który z czasem usamodzielnił się, aby w latach siedemdziesiątych zostać wchłoniętym do struktury molocha pod nazwą Przedsiębiorstwo Transportu Handlu Wewnętrznego. Przedsiębiorstwo transportowe nie zdołało opanować całego rynku usług przewozowych, świadczonych jednostkom gospodarki uspołecznionej. Dlatego transport z małych sklepów pozostał w gestii prywatnych taksówek bagażowych. Dziś Przedsiębiorstwo Transportu Handlu Wewnętrznego jest w stanie przewieźć do domów jedną trzecią domarowskich towarów.

Od czasu do czasu zdarzają się akcje: „Cukier", „Mąka", kiedy to dyrektor PTHW, pod presją odgórnych i społecznych nacisków, musi oświadczyć „Domarowi", że zamiast zamówionych tylu a tylu pojazdów, może wysłać najwyżej ich połowę. W takim wypadku trzeba ratować się prywatnymi taksówkami.

Państwowy przewoźnik dosyć marnie wynagradza swoich kierowców, stąd wielka pośród nich wymiana, a ochotnicy ze świeżych zaciągów nie stanowią bynajmniej najlepszych rezerw kadry kierowcow. Niestety zdarza się i tak, że kierowca nie zastawszy klienta w domu, nie czeka nawet pięciu minut na jego powrót, choć na rachunku jest napisane, że dostawa odbywa się od ósmej do czternastej, a nie o dwunastej zero zero. Gdy prywaciarzowi wóz zepsuje się w drodze, zatrzymuje pierwszego z brzegu kumpla i ładuje cały majdan na jego „pakę" i nie ma sprawy. Uspołeczniony pracownik w takich okolicznościach daje się odholować do magazynu razem z ładunkiem. A nawet jak uszkodzenie usunie we własnym zakresie, to i tak meble wracają do punktu wyjścia.

Kierowca na państwowej posadzie nie ponosi takiego ryzyka jak kolega z prywatnej inicjatywy. Zdarzyło się, że taksówkarz stał się ofiarą kolizji drogowej. Jego wóz został staranowany, a komplet mebli zniszczony. Ponieważ odpowiadał głową za ładunek, musiał bez szemrania wyłożyć kilkadziesiąt tysięcy odszkodowania, żeby na drugi dzień mieć w „Domarze" następne oferty. Kierowca PTHW w takiej sytuacji łatwo wybroniłby się, strata poszłaby w koszty własne przedsiębiorstwa, a potrącenie premii mógłby potraktować jako jawną niesprawiedliwość.

Przewaga prywatnych kierowców nad uspołecznioną konkurencją bierze się, z nienormowanego dnia pracy. Towar wożą do oporu, bo jutro można nie mieć takiego fartu. Czasami oznacza to i 14-godzinny dzień za kółkiem.

Był czas, kiedy kierowcy ze Zrzeszenia Transportu Prywatnego zatrudniali się u domarowskich klientów bardzo chętnie. Po odpaleniu 20 proc. wartości miesięcznych rachunków do kasy Przedsiębiorstwa Handlu Artykułami Wyposażenia Wnętrz „Domar", po zapłaceniu „doli" Izbie Skarbowej wynoszącej 5 proc. właścicielowi furgonetki pozostawało nierzadko 200-250 tysięcy złotówek. Sporo jeśli wziąć pod uwagę, że obciążenia wobec „Domaru" są dwukrotnie wyższe niż państwowego przewoźnika. Ale też z ćwierci miliona trzeba opłacić jednego lub dwóch tragarzy, zapłacić za paliwo, amortyzację wozu. Pozostała z tego kwota, która już nie powinna budzić większych emocji.

Pośrednictwo „Domaru" przy szukaniu zleceń wyjazdowych oznacza jednak dla prywatnych przedsiębiorstw pewność jutra, ciężką ale bardzo dobrze wynagradzaną pracę, zwłaszcza, że taryfę ustala się według cennika, opracowanego w dyrekcji „Domaru". Niezależnie od tego Izba Skarbowa po zamknięciu bilansu rocznego naznacza domiar, jeśli kierowca wzbogaci się bardziej niż to ustawa przewiduje. Pomimo tych ograniczeń współpraca między stronami układała się harmonijnie, a profity wpływały regularnie do prywatnych kieszeni oraz pomnażały dochody „Domaru". Towar nie zalegał magazynów, a nabywcy w ciągu 1-3 dni mieli meble wniesione do domu bez względu na to, czy mieszkali w Łodzi, czy w Suwałkach.

Na początku 1987 roku grupa taksówkarzy została wezwana na rozmowy do Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych na Widzewie. Dość szybko wyjaśniło się, że celem wizyty było wyjaśnienie nieprawidłowego rozliczania się z dochodów na niekorzyść fiskusa. Poszła za tym fama, że zatrudnianie taksówkarzy jest... nielegalne. Rozpoczęcie śledztwa w sprawie nadużyć i podważania prawa do korzystania przez taksówkarzy z oferty Przedsiębiorstwa Handlu Artykułami Wyposażenia Wnętrz „Domar" wywołało popłoch wśród kierowców i ich gwałtowny odpływ.

Spadły obroty „Domaru", bo przecież część jego wpływów pochodzi ze świadczenia usług transportowych, co jest prawnie zawarowane w obowiązującym do dziś postanowieniu ministra handlu wewnętrznego i usług. Przed „Domusem", który wśród sklepów meblowych jest istnym kombinatem z 6 miliardami złotych rocznych obrotów, na miejsce stałych współpracowników, nazjeżdżało się sporo „dzikich" kierowców, którzy postanowili wykorzystać lukę w legalnych usługach. Proponowali transport po cenach umownych, bez włączania licznika, bez zbędnej biurokracji w postaci wypisywania rachunków. Pod reprezentacyjnym domem meblowym Łodzi zaczęto sobie wzajemnie dziurawić opony, nazywać przodków po imieniu, co kończyło się czasem szturchaniną.

Przy tym nie można było pozwolić klientom zabierać mebli własnymi samochodami. Trzeba je bowiem często odbierać z magazynów przy ulicy Brukowej. Tam obowiązują przepisy bezpieczeństwa, które znali zorganizowani przewoźnicy.

„Domar" — zainspirowany stosownym pismem z Wydziału Komunikacji przy Urzędzie Dzielnicowym Łódź-Bałuty, nadzorującego te sprawy w całym mieście — wystąpił do różnych przewoźników z prośbą o pomoc w zaistniałej sytuacji. Do dziś na tę propozycję nie odpowiedziała spółdzielnia kierowców „Akord". Odmówiło Przedsiębiorstwo Transportowe Gospodarki Miejskiej tłumacząc się nieprzystosowaniem samochodów do wypełniania tego rodzaju zadań, aczkolwiek — gwoli prawdy — tradycyjnie pomaga „Domarowi" w awaryjnych sytuacjach. Zrzeszenie Transportu Prywatnego nie ma prawa zawierać, jako firma, umów z przedsiębiorstwem państwowym, więc skończyło się na wywieszeniu informacji dla kierowców o możliwości zdobycia zleceń na przewozy dla domarowskich klientów. Zgłosił się 1 ochotnik. Tylko Przedsiębiorstwo Transportu Handlu Wewnętrznego zgodziło się objąć swym działaniem dwa dalsze sklepy meblowe.

Urząd Miasta Łodzi wystąpił do ministra komunikacji o wypowiedzenie się w meritum sporu. W piśmie resortowym z 31 marca 1987 roku kompetentny dyrektor, opierając się na cytatach z prawa przewozowego z 1984 roku, stwierdził, że taksówki bagażowe mogą dokonywać wyłącznie przewozów nieregularnych, pod którym to pojęciem „należy rozumieć taki przewóz, który nie jest wykonywany według stałego rozkładu jazdy (harmonogramu) i odbywa się w czasie i na zasadach uzgodnionych pomiędzy przewoźnikiem i usługobiorcą (...) Usługi przewozowe tracą charakter publiczny, jeżeli świadczone są wyłącznie na rzecz jednego usługobiorcy na podstawie zawartej z nim stałej lub okresowej umowy mimo codziennego rozliczania się".

Otóż należy wyjaśnić, że „Domar" nie jest „jedynym usługobiorcą". Jest nim jednorazowo każdy klient sklepu meblowego. Przedsiębiorstwo nijak nie może być usługobiorcą, skoro tylko rozlicza rachunki i prowadzi związaną z rejestracją kursów księgowość, co jest podstawą dla Izby Skarbowej do śledzenia dochodów każdego podatnika. Taksówkarze realizując zlecenia przekazane przez pracownika „Domaru", nie ograniczają się jedynie do nich, ale biorą każdy nadarzający się kurs, byle nie wozić powietrza. Jednym słowem: taksówkarze pracując w „Domarze" — nie świadczą mu usług, tylko jego klientom! Poza tym kierowcy prywatni rozwożą meble w różnym czasie, a nie o oznaczonej ściśle porze. Nieregularny charakter przewozów zostaje zatem zachowany.

Przeciwnicy zatrudniania prywaciarzy wychodzą z założenia, że kierowcy rozliczając się codziennie z jedną instytucją — pozbawiają transakcję charakteru publicznego. W związku z tym „Domar" zdecydował się na zawieranie porozumień zamiast umów, czemu służą nowe druki rozliczeń. W gruncie rzeczy chodzi o to, aby zadość stało się formalnościom! Za argument na korzyść przedsiębiorstwa może posłużyć słynne powiedzenie, powtórzone nie tak dawno przez premiera Zbigniewa Messnera: „Co nie jest zabronione, jest dozwolone".

W piśmie do Zrzeszenia Prywatnego Transportu z 22 stycznia 1988 roku czytamy: *„Właściciele taksówek bagażowych nie będą mogli zawierać z przedsiębiorstwem umów stałych lub okresowych. Zgodnie z wyjaśnieniem Ministerstwa Komunikacji z 21 października 1987 roku będą mogli zawierać jedynie umowy doraźne, chyba że właściciel taksówki będzie miał klauzulę w zezwoleniu na zawieranie umów".*

Wyjaśnienie Ministerstwa Komunikacji niczego nie rozstrzyga, nie posuwa sprawy ani na krok naprzód. Jest tylko powtórzeniem artykułów prawa przewozowego. Tu zaś nie chodzi o teoretyczne dywagacje, ale o konkretną decyzję, która ma odpowiedzieć na pytanie: zatrudniać czy nie zatrudniać? Bo jeśli nie wolno będzie zatrudniać, to za łódzkim Wydziałem Komunikacji pójdą inne, aby nie tworzyć precedensu w praworządnym państwie. Tylko że po wydaniu decyzji negatywnej, natychmiast przestaną istnieć usługi transportowe choćby w Białymstoku i Olsztynie, które opierają się wyłącznie na taksówkach bagażowych.

Zasadność dotychczasowej praktyki zlecenia wyjazdów taksówkarzom przez Przedsiębiorstwo Handlu Artykułami Wyposażenia Wnętrz „Domar" potwierdza pismo Izby Skarbowej z 5 lutego 1988 roku:

„O ile osoby fizyczne oraz nie będące jednostkami gospodarki uspołecznionej osoby prawne otrzymują od jednostek gospodarki uspołecznionej należności podlegające opodatkowaniu podatkiem obrotowym i dochodowym za świadczenia w zakresie działalności między innymi usługowej, obowiązane są do wpłacenia przedpłat na te podatki. Przedpłatę oblicza i pobiera jako płatnik jednostka dokonująca wypłaty. W przypadku świadczenia usług przedpłata wynosi 5 proc. W świetle powyższego przedstawiony w piśmie „Domaru" tryb postępowania jest właściwy.

Nadmienia się jednak, że w ostatnim czasie na podstawie materiałów nadesłanych z Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych wszczynane były postępowania podatkowe w stosunku do niektórych właścicieli taksówek bagażowych, wykonujących usługi przewozowe niezgodnie z otrzymanym zezwoleniem".

Obecnie na 3 kierowców współpracujących z „Domusem" pracuje 1; w sklepie przy ulicy Zaolziańskiej nie ma już żadnego, to samo przy placu Kościelnym. W Aleksandrowie Łódzkim jeździło 2 kierowców. Obaj zrezygnowali. W Pabianicach 2 taksówkarzy otrzymało ostrzeżenia z miejscowego Wydziału Komunikacji, że jeśli nie przestaną zatrudniać się w sklepie meblowym, to im odbiorą licencję. Łódzki Wydział Komunikacji jako jednostka nadrzędna nie uchylił tych ostrzeżeń. Dopatrzył się jedynie uchybień proceduralnych w trybie ich wydawania.

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Rolnik w kolejce po szczęście

Ludzie stoją w kolejkach po takie dobra, jak kolorowy telewizor, czekolada lub papier toaletowy. Ale w ostatnich latach, i to nawet na tzw. przednówku, który zawsze kojarzył się z głodem, nikt w Polsce nie stał w kolejce po chleb. No, chyba że nawaliła piekarnia lub transport.

A to na mrozie, w deszczu i spiekocie, nocą lub w żniwne południe stoją w kolejkach ci, co zapewniają wszystkim dostatek chleba. Nie po to, żeby konsumować dobra luksusowe, lecz dlatego, by móc pracować. Oni chcą tylko kupić narzędzia i tzw. środki produkcji, bo np. węgla czy też nawozów nikt im do domu nie przywiezie.

Ale to jest dopiero początek chłopskiej zgryzoty i udręki. Bo im więcej się chłopu urodzi, tym dłużej musi stać w kolejce do punktu skupu ze swoim zbożem, ziemniakami, pomidorami, żywcem. A ci, co mają go obsłużyć, siedzą w cieple, popijają herbatę i mówią, że chłop nie zając, nie ucieknie.

Jest to nie tylko upokarzające, ale i szkodliwe społecznie i politycznie. W województwach wschodnich notuje się takie wyludnienia wsi, że trzeba tworzyć nowe kompleksy rolne w sektorze uspołecznionym. Poza tym wieś się strasznie zestarzała. Starym za późno ruszać na podbój świata, ale młodzi nie wytrzymują. I to nie ciężka praca, lecz ta udręka i mitręga wypędzają młodych ze wsi do miasta. Faktem jest, że **w 1986 r. nastąpił wzrost migracji do miast, a w 1987 tendencja ta się utrzymała.** Pytanie jednak, czy miasta są przygotowane na przyjęcie „uchodźców" ze wsi? A jeśli nie, to czy należy młodym ludziom zapewnić pracę na wsi w usługach czy też raczej stworzyć im właściwe warunki do pracy na roli.

Bo jest tak, że dla wielu młodych ziemia jest sensem istnienia, gdyż nie wygasło w nich jeszcze przywiązanie do ziemi. Jedni jednak zostają, bo nie mają innego wyjścia, drudzy zaś — bardziej wykształceni — widzą na wsi swoją życiową szansę. Chcieliby wycisnąć z ojcowizny, co się da, zapewnić byt sobie i rodzinie, a miastom żywność.

I wszyscy oni stoją w kolejce do szczęścia, którym byłaby dla nich możliwość produkowania zdrowej żywności w nowoczesnych gospodarstwach. Tacy zapaleńcy są również w silnie zurbanizowanej i uprzemysłowionej aglomeracji łódzkiej. Ba, oni myślą też o kultywowaniu tradycji i kształtowaniu szacunku dla folkloru. Kusi bliskość miasta, a oni pragną wcielać w życie zasady pracy organicznej, kształtować poczucie umiłowania ziemi, troszczyć się o jakość moralną i patriotyczną rodziny chłopskiej. Tylko, że osiągnięcie tych celów, które dzisiaj brzmią niczym mrzonki z bajki, nie jest wcale łatwe.

W województwie łódzkim **Związek Młodzieży Wiejskiej skupia 3628 członków zrzeszonych w 106 kołach,** przy czym organizacja jest nieobecna tylko w kadłubowej gminie Andrespol, gdzie w zasadzie nie ma prawdziwego rolnictwa. Krajowy Zarząd ZMW uważa, że ilość członków jest zbyt niska. No cóż, z Warszawy słabo widać. Trudno dojrzeć najmniejsze obszarowo województwo w kraju, z jedenastoma gminami, w których ludność rolnicza stanowi zaledwie 6,5 proc. mieszkańców całego województwa. A więc te ponad 3,5 tys. członków ZMW to wcale nie tak mało. Rzecz w tym, że borykają się oni z podobnymi kłopotami, co młodzież wiejska w innych regionach kraju.

Łódź posiada wiele wyższych uczelni, ale coraz mniej na nich studentów ze wsi. Wprawdzie młodzież akademicka liczy 389 członków ZMW, ale wywodzą się oni tylko z Uniwersytetu, Politechniki i Akademii Medycznej. **Na uczelniach artystycznych nie ma prawie wcale młodzieży wiejskiej.**

Kiedy telewizja pokazuje chłopów w garniturach, krzątających się po komfortowych oborach, kolorowe telewizory i magnetowidy w obwieszonych arrasami pokojach, to rodzi się opinia, że młodzież wiejska nie studiuje, bo ma wybitnie konsumpcyjny stosunek do życia. Sęk w tym, że jest to obraz fałszywy, wywołujący fałszywe mniemanie o chłopskim dobrobycie.

Faktem jest natomiast, że część młodych ludzi nie uczy się uznając to za stratę czasu. Ano, czym skorupka za młodu nasiąknie... Bo, że nauka nie popłaca, młodzież przekonuje się najczęściej **na przykładzie własnych nauczycieli.** Gdyby nie emeryci dorabiający w szkołach, dzieci wiejskich pewnie nie miałby dziś kto uczyć. Rzecz bowiem w tym, że młodych nauczycieli zamiast w przyzwoitych mieszkaniach osadza się w kiepsko wyremontowanych budynkach po byłych szkołach, zimnych, ciasnych, bez żadnych wygód. Pracują za pensję w wysokości 16 tys. zł plus 1600 zł dodatku wiejskiego. Mimo okresowych wyrównań nauczyciele nigdy nie mogą osiągnąć średniej pensji inżynierskiej. A dzisiejszą średnią krajową mogą uzyskać po 30 latach pracy w zawodzie. Nic więc dziwnego, że młodzi nauczyciele nie czekają w kolejce do tego szczęścia, po roku uciekają ze wsi i szukają pracy w innym zawodzie.

No i jeszcze jedno. Nauczyciel skazany jest na pracę samokształceniową, a na wsi nie ma czytelni. **W województwie łódzkim pracuje 66 bibliotek publicznych oraz 82 społecznie prowadzone punkty biblioteczne, które mieszczą się w 80 proc. w mieszkaniach prywatnych.** ZMW przejął nieodpłatnie z Wojewódzkiej Biblioteki Pedagogicznej około 600 książek i rozprowadził je wśród członków organizacji, ale to nie załatwia sprawy. Trzeba bowiem stwierdzić, że niemal wszystkie pozycje książkowe, jakie otrzymują biblioteki wiejskie, mówiąc delikatnie, w znacznej mierze nie pokrywają się z zainteresowaniami czytelników.

Zważywszy na pensje nauczycielskie i ceny książek, wiadomo, że nauczyciel wiejski ich nie kupi. No i koło się zamyka. Skoro bowiem **nauczyciel nie ma warunków do samokształcenia,** skoro **zła jest kondycja szkoły wiejskiej,** młodzież chłopska jest słabiej przygotowana i nie widać jej na studiach.

W takiej sytuacji młodzi na wsi sami muszą dbać o własne interesy. Budują drogi i remizy, remontują świetlice, dokształcają się w prowadzonych przez ZMW wszelkiego typu olimpiadach, wszechnicach rodziny wiejskiej, frzydniówkach kulturalnych w szkołach, w Niedzielnych Uniwersytetach Ludowych itp. Mogliby też liczniej korzystać z wyjazdów zagranicznych, ale te organizowane są latem, gdy nawał pracy w polu.

Mówi się, że dziś narzeka ten, co ma rower, i ten, co ma dwa samochody. Prawdą jest natomiast, że **ZMW nie jest w stanie pomóc młodemu rolnikowi w starcie do samodzielnego gospodarowania.** Kto się nie zabrał do tego w latach 70., ten jest dzisiaj bardzo do tyłu. Ceny i koszty szalone, młody nie ma pieniędzy na inwestycje, a banki mają ograniczone możliwości kredytowe. Gdy kominiarz pojawi się we wsi, łap się za forsę, nie za guzik. Kominiarz zainkasuje należność, kominów nie przeczyści i

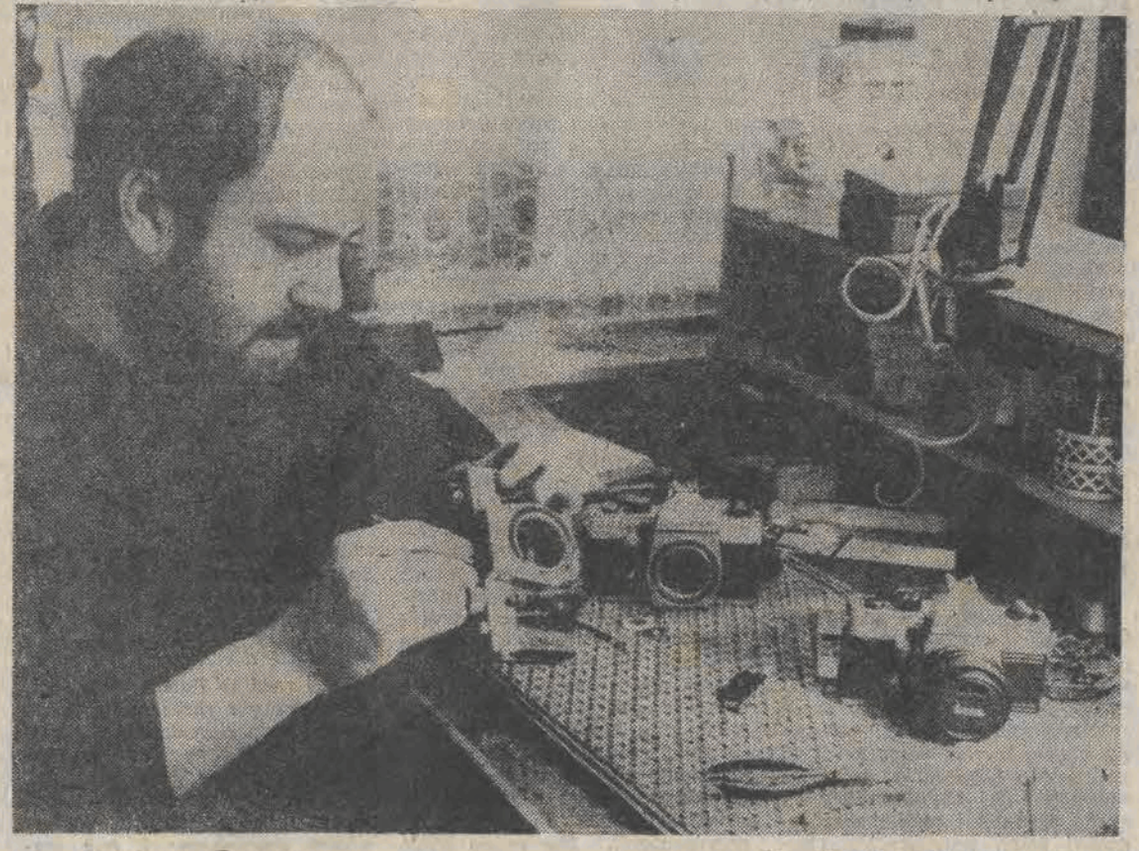

Fot. Grzegorz Galasiński

Czy można żyć bez usług?

pojedzie. Inni też wyciągają ręce po chłopskie pieniądze. Każde rozdzielnictwo, np. maszyn rolniczych, jest złe, ale na razie nie można z niego zrezygnować, bo inaczej zapanuje pogoda wyłącznie dla bogaczy.

Ale cierpliwy młody rolnik czeka w kolejce do swego szczęścia, czegóż bowiem się nie robi z miłości do ziemi. Czeka, aż rodzice osiągną wiek emerytalny, bo dopiero wtedy może przejąć na własność gospodarstwo. I przez ten cały czas taki młody chłopak spełnia rolę tradycyjnego parobka.

A gdy już staje się gospodarzem, powiedzmy w wieku trzydziestu lat, od razu każą mu myśleć o emeryturze i płacić składki. No i nie tylko wydawane pieniądze, ale i samo myślenie o przyszłej emeryturze gnębi go i rujnuje. Bo trudno mu się pogodzić z faktem, że w PGR otrzymują dwukrotnie wyższe emerytury, a on za połowę tego musi oddać państwu dorobek całego życia. A jak jeszcze pomyśli, że w mieście dostają więcej węgla na ogrzewanie mieszkań, a on tylko tyle, co na gotowanie karmy dla świń, i gdy się dowie, że ok. 60 proc. maszyn w przemyśle przetwórczym jest zdekapitalizowanych, przez co marnują się płody rolne, to ręce zaczynają mu opadać.

Według Biblii było siedem krów tłustych i siedem krów chudych. Ale byli też tacy, dzięki mądrości których zgromadzono zapasy żywności. Jeden z młodych hodowców stwierdził, że dziś trudno naprawić poidło dla krów. Trzeba kupować całe, bo nie ma części, a jak są, to szalenie drogie. Ceny pasz wzrosły znacznie wyżej niż ceny skupu mleka. W grudniu i styczniu zabrakło pasz dla krów i znacznie spadła mleczność. Dostawy pasz wstrzymano na dwa miesiące przed podwyżką, a chłop cały czas sprzedawał mleko po starych cenach. Wskutek takich praktyk może zabraknąć mleka, bo chłop zlikwiduje krowy, a w wyniku tego ziemia ulegnie degradacji, bo zabraknie nawozów mineralnych.

Na IV Wojewódzkim Zjeździe Delegatów Związku Młodzieży Wiejskiej młodzi oświadczyli twardo, że nie dopuszczą, aby niekonsekwencje w polityce rolnej, trujący przemysł, dzikie wysypiska i odpady chemiczne doprowadziły za dwadzieścia pięć lat do zniszczenia ich warsztatów pracy. Nie pozwolą, aby ich organizacja stała się podobną do innych organizacją typu transmisyjno-sprawozdawczego, a w konsekwencji znowu się rozpadła. Muszą wkraczać już do szkół podstawowych, atakować, pchać swoich liderów do władz i samemu dbać o własne interesy.

Ich zamierzenia mogą się spełnić, gdy wszyscy wreszcie pojmą, że — jak powiedział Stanisław Staszic — wsie dały początek miastom. Jeśli dziś dopuścimy do upadku wsi, to zginą także miasta.

RYSZARD BINKOWSKI

Menedżer z PGM szuka alibi

— Żeby z głupim piecem aż do dyrektora! — narzeka głośno Maria K., oczekując w sekretariacie na przyjęcie przez szefa widzewskiego PGM. I jak jej wytłumaczyć, że korzysta z ułatwienia?

— Jeżeli zakupi pani kuchnię ogrzewczą w sklepie — wyjaśnia w chwilę później dyrektor Marek Andrzejewski — *będzie o wiele szybciej niż u nas. Zwrócimy wtedy pieniądze. No, tyle przynajmniej, ile kosztuje piec o przeciętnym standardzie: Proszę iść do ROM...*

— Ależ ja stamtąd dopiero co wracam! Specjalnie wzięłam zwolnienie, pół dnia zeszło mi na dyskusji. Nikt tam nic nie wie, nikt nie jest w stanie. Odsyłają do pana...

— Tak, ale ja się właśnie na to zgodziłem. Zadzwonię zaraz do kierowniczki, uprzedzę...

— A transport?

— Przywieziemy pod same drzwi na koszt własny.

Interesantka, wychodząc z gabinetu, nie wygląda na specjalnie uszczęśliwioną. Z pewnością nadal ma złą opinię o pracy administracji. Choćby dlatego, że musi teraz ponownie odwiedzić ROM, aby uzgodnić szczegóły.

Chodzi o zwyczajną prostą sprawę:

o wymianę zepsutego pieca — na nowy. Marla K. miała to szczęście, że złożyła podanie przed końcem 1987 roku, gdy do obowiązków Przedsiębiorstw Gospodarki Mieszkaniowej należała jeszcze darmowa wymiana pieców, zlewozmywaków, sedesów itp. Przez kilka miesięcy czekała gdzieś na najdalszym miejscu 500-osobowej kolejki, gdyż zaległości są duże, a dostawy z hurtowni niewielkie. Zamiast dalej czekać i marznąć w źle ogrzewanym mieszkaniu, zakupi teraz piec w sklepie, zaś administracja zwróci jej pieniądze. Ot, takie sobie, drobne ułatwienie.

— Mam na nie od września zgodę naczelnika — komentuje dyrektor podsłuchaną przez dziennikarza rozmowę. *— Mój poprzednik zrobił raz podobnie, oddał pieniądze, ale po kontroli z Izby Skarbowej sam musiał z kolei je zwracać...*

— Nie boi się pan kontroli? — pytam

— Boję się. Wiem, że ryzykuję. Nigdzie nie jest napisane, że powinienem iść ludziom na rękę. Nie ma w przepisach o tym, że powinno się ludziom ufać. Chcę pokazać, że w tym szambie, jakim jest gospodarka komunalna i mieszkaniowa, można jednak coś dobrego zrobić.

Dyrektor Marek Andrzejewski ma 37 lat, jest doktorem ekonomii, specjalistą w zakresie organizacji i zarządzania. Mówi o sobie: kwalifikowany menedżer. Z pierwszego rocznika menedżerów w Łodzi!

W jaki sposób doktor ekonomii trafił do PGM na Widzewie?

Na prowadzącą tam ścieżkę wstąpił przed laty, gdy pisał doktorat o organizacji procesu inwestycyjnego. Uzgodnił wówczas z promotorką, że zastosuje tzw. obserwację uczestniczącą, czyli — mówiąc zwyczajnie — zatrudni się na dwa lata w firmie, która powstaje od podstaw. Szybko taką znalazł, działo się to pod koniec boomu inwestycyjnego lat 70. „Izolacja" ze Zduńskiej Woli zapewniła mu nawet wygodne mieszkanie. Przez to mieszkanie i pensję zrezygnował ostatecznie z uczelni. Miał już wtedy żonę i dziecko, rozstał się zatem bez żalu z perspektywą kilkutysięcznych zarobków. W „Izolacji" awansował w ciągu kilku lat ze specjalisty na zastępcę dyrektora. A potem?

— A potem uświadomiłem sobie, że nie mogę być dobrym w swoim zawodzie, siedząc bez przerwy w jednym przedsiębiorstwie. I powiem panu jeszcze jedno: mój zawód jest bez różnicy branży. Można więc uniknąć „skrzywienia" dyrektora-specjalisty. Taki facet preferuje zazwyczaj znaną sobie najlepiej dziedzinę. Z opłakanym dla całości skutkiem!

Następny etap — Urząd Wojewódzki w Sieradzu. Jako wicedyrektor w Wydziale Zdrowia i Opieki Społecznej otrzymał samodzielną działkę: remonty i utrzymanie w eksploatacji obiektów służby zdrowia. Pracował w UW przez kilka lat, pod koniec pełniąc stanowisko... lekarza wojewódzkiego. Był to precedens, zaakceptowany przez ówczesnego wojewodę, obecnie wiceministra kultury. Przekonali też wspólnie ministra Tadeusza Szelachowskiego, że statutowo warto zapisać, aby lekarz wojewódzki nie musiał być koniecznie po medycynie. Chodziło o to, żeby uwolnić lekarzy od administrowania. Teraz nie stosuje się takiego wymagania nawet wobec dyrektorów Zespołów Opieki Zdrowotnej.

Poznał już przemysł i administrację, szukał dalej w spółdzielczości lub budownictwie. Trafił wreszcie do łaskiego „Montoprzemu", pracując jednocześnie jako wicedyrektor i główny księgowy. Był to krótki przystanek, tylko na rok. Zależało mu głównie na zapoznaniu się z finansami i księgowością. Doczekał więc do zamknięcia bilansu i — dalej, w drogę...

Dokąd? — Tym razem do PGM!

Uznał bowiem, że nie będzie się musiał zbyt długo wciągać. Miał przecież do czynienia z inwestycjami, organizacją produkcji, administrowaniem, remontami — wszystko to przydaje się po trosze w PGM. A dodatkowo przyciągała go fatalna opinia o tych przedsiębiorstwach, choć — od razu zaznacza: *— Widzewski PGM uważany był za jeden z lepszych w Łodzi.* — Pomimo to wiadomo przecież, jak sprawy stoją: ręce same opadają. Tym bardziej nie można ich opuszczać.

Na Widzewie ogłoszono konkurs na dyrektora naczelnego, zgłosiło się kilku kandydatów. Przedstawił własny program uzdrowienia PGM, a potem zdał się na łaskę i niełaskę komisji. I — znów praktykuje. Od kwietnia 1987 roku.

— Walczę wśród swoich z opinią, że klient to wróg. Cholernie trudno przekonać, że jest inaczej. Ale bez tego PGM nie odzyskają wiarygodności.

Rewolucja w posesji

Dyrektor Marek Andrzejewski zaplanował i zrealizował szereg posunięć, które zapewniły mu sławę „rewolucjonisty". Gdy przyszedł w kwietniu 1987 roku, na terenach podległych PGM brakowało aż 56 dozorców. Teraz jest zaledwie kilka wakatów, chociaż dozorców nie przybyło. Nowy, dobrowolnie wprowadzony system wynagradzania sprawił, że niektórzy z nich pobrali sobie po dwie, albo i trzy posesje. Z zaoszczędzonych w ten sposób etatów wzięły się pieniądze motywujące do wydajniejszej pracy.

W szczegółach wygląda to tak.

Dawniej dozorcy płacilo się stałe wynagrodzenie (obliczone w zależności od wielkości nadzorowanej powierzchni) oraz — za dodatkowe czynności — premię, dość zresztą wysoką, bo i po sto procent. Dozorca zarabiał średnio 15-20 tys. zł.

Teraz jest po nowemu. Nie ma w ogóle stałej pensji. Wszystkie roboty, jakie w posesji są do wykonania, podzielone zostały na czynności stałe i okresowe. Wszystkie uwidocznione są w miesięcznej karcie pracy, podpisywanej i sprawdzanej przez administratora. Jest to jedyny, uprawniający do wypłaty dokument, zgodnie z obowiązującą zasadą: pieniądze wyłącznie za konkretną pracę, nigdy za samo przebywanie w pracy. Liczy się nie tylko wykonanie, ale i dotrzymanie określonego w karcie terminu. Czynność wykonana po terminie nie jest wyceniana!

W nowym systemie dozorca zarobić może do 40 tys. zł. Jeśli lokatorzy nie skarżą się, przysługuje mu dodatek w wysokości 1,5 tys. zł. Z kolei płaca administratora uzależniona jest od średniej płacy podległych mu gospodarzy posesji.

Karty pracy podpisywane są również przez przedstawicieli samorządu mieszkańców. Niektóre samorządy wycofały się co prawda z tego uprawnienia (a raczej — obowiązku), gdyż niesolidni dozorcy uciekli się do gróźb... W sumie jednak — w większości posesji — nowy system zdał z powodzeniem egzamin, a najbardziej skorzystali najlepsi dozorcy. Warto dodać, że na wypadek „cichej" umowy administratora z dozorcą wyznaczono niezależny zespół, który lustruje teren, wypatrując rażących zaniedbań.

Radykalnej przebudowie uległy także płace konserwatorów, zatrudnionych w PGM oraz podległych ROM. Istota zmian jest podobna, jak w przypadku gospodarzy domów. Żadnej z góry określonej dniówki, płaci się wyłącznie za konkretną robotę.

— W pierwszym tygodniu — mówi kierowniczka ROM nr 1 na Stokach, Anna Jung — *konserwatorzy nie mieli nawet czasu na dłuższą rozmowę. Pędzili od zlecenia do zlecenia. Przestało się nagle opłacać przesiadywanie w parku...*

Wzrosła wydajność, powiększyły się zarobki, zniknęła gdzieś „fucha". Szybko też zrozumiano, że trzeba się pilnie trzymać ustalonego limitu płac, bo inaczej nikt nad tym wszystkim nie zapanuje. W niektórych dziedzinach (np. u elektryków) zdołano w ciągu kilku tygodni intensywnej pracy nadrobić zaległości. Okazało się wtedy, że trzeba szybko wynaleźć nowe zajęcia, bo za oczekiwanie na zlecenie nie płaci się pieniędzy.

— Chcę doprowadzić do sytuacji — powiada dyrektor — *gdy pracownikowi opłaca się wykonywać jednocześnie dwa zawody. Jeśli elektryk ma za mało napraw, może przyjmować zlecenia z innej branży. Warunek: musi się na tym znać.*

Niedawno postąpił tak jeden z zatrudnionych w PGM elektryków. Wziął bezpłatny urlop, pracował przez trzy miesiące jako dekarz, przyjmuje teraz dodatkowe zlecenia. Inni konserwatorzy poznają roboty zduńskie, jeszcze inni proponują, że sami wezmą się za czyszczenie studzienek kanalizacyjnych, wyręczając w tym przedsiębiorstwo wodociągowe.

Rewolucja nie skończyła się na płacach.

Ogarnęła również ROM jako całość — na zasadzie eksperymentu. Uczestniczy w nim od stycznia 1988 roku ROM nr 1 na Stokach. Nazywa się to *„ROM w ajencji"*, choć z prawdziwą ajencją niewiele ma wspólnego.

W przyszłości ROM powinny być samodzielne finansowo i decyzyjnie. Skończą się wtedy wędrówki lokatorów pomiędzy lokalnymi administracjami a dyrekcją. Eksperyment jest pierwszym krokiem na tej drodze. Jest także próbą wyłomu w obowiązującej dotąd, nielogicznej zasadzie: im więcej wydam, tym więcej otrzymam dotacji. Zasada ta jest na bakier z oszczędnością.

W ROM nr 1 na Stokach obowiązuje od stycznia 1988 roku zupełnie inna zasada: im więcej zaoszczędzę, tym więcej zarobię na swoje potrzeby. Do dyspozycji ROM pozostaje co miesiąc 7 procent z nadwyżki przychodów nad wydatkami. Pieniądze te mogą powiększyć fundusz płac, mogą też być przeznaczone na fundusz socjalny lub na rozwój. Tak przynajmniej powiada teoria, która na razie nie jest w zupełnej zgodzie z praktyką.

W praktyce bowiem nie wiadomo jeszcze (pod koniec lutego), jaka będzie wysokość nadwyżki — o ile w ogóle będzie. Eksperymentom nie sprzyja — w wymiarze finansowym — otoczenie. Zarówno po stronie miesięcznych wydatków, jak i przychodów istnieją niewiadome. Wydatki to m.in. rachunki za pobór energii i za inne, specjalistyczne usługi, które nadchodzą z dużym nieraz opóźnieniem. Przychody — to również dotacje, o niewiadomej dotychczas wysokości. Może więc w przyszłości wypłata nadwyżki odbywać się będzie rzeczywiście co miesiąc. W 1988 roku przypuszczalnie raz na kwartał.

Czy zatem eksperyment spełni swe zadanie?

Zmusił nas do myślenia o oszczędnościach — odpowiada Anna Jung — *a także o tym, w jaki sposób możemy powiększyć dochody ROM. Inaczej już naprawdę nie można pracować. Nie mogę bez przerwy rozkładać rąk i mówić ludziom: tego nie mogę zapewnić, na tamto brak mi pieniędzy. W końcu musi się to skończyć.*

Przykład oszczędności pierwszy z brzegu: kominy. Kierowniczka zamierza zrezygnować z usług spółdzielni, zatrudniając w zamian na stałe jednego kominiarza. Oblicza, że uda się na tym zaoszczędzić 50 tys. zł miesięcznie. Zamierza też zrobić porządek z „dzikimi" podłączeniami do sieci elektrycznej, co jest na Stokach praktyką bardzo częstą. Mieszkańcy oświetlają sobie na dziko komórki, zaś ROM płaci za nich olbrzymie rachunki. Zrobienie porządku nie będzie polegać na usunięciu przewodów (któż by się z tym uporał), lecz na umowie pomiędzy lokatorami a administracją. W zamian za zezwolenie na założenie dodatkowej instalacji (za zgodą i pod nadzorem elektryka) wymagać się będzie okresowej zapłaty za pobór tej energii.

Nie są to — wbrew pozorom — działania wymierzone przeciwko lokatorom, nic im w zamian nie dające. Poprawią one kondycję finansową ROM, a jest to przecież jedyna droga do poprawy poziomu usług. Już obecnie — dzięki nowym systemom płacowym — zwiększyła się szybkość usuwania drobnych awarii.

Patrząc jednak na te wysiłki od strony lokatora — widać, że są to zaledwie nieśmiałe oznaki poprawy w morzu zaniedbań.

Weźmy remonty. Opóźnienia w tej sferze sięgają kilkudziesięciu lat. Strach pomyśleć, co będzie za lat kilka czy kilkanaście, jeśli nie nastąpi poprawa. Na całym Widzewie do remontu kapitalnego nadaje się w tej chwili 339 budynków, do wyburzenia — 129 kamienic. PGM zaś jest w stanie przeprowadzić 2 remonty w ciągu roku. Taka jest rzeczywistość, na widok której — opadają ręce. Na szczęście nie wszystkim.

Widzewski PGM wszedł właśnie w spółkę z rzemieślnikiem i... inną spółką — „Uniwersum". Cała trójka zamierza produkować okna, i to w dużej ilości — 150 dziennie. Powinno wystarczyć na wymianę w ciągu dwóch lat wszystkich zepsutych okien w posesjach administrowanych przez PGM. Nadwyżki będą eksportowane.

— Inni wołają — irytuje się dyrektor Marek Andrzejewski — *pieniędzy i materiałów. Przecież wiedzą, że pieniądze to nie manna z nieba. O materiały też lepiej samemu zadbać.*

Wielkość produkcji spółki „Windrex" (taką wybrano jej nazwę) uznana została przez tych „innych" za fantastyczną, czyli wziętą z powietrza.

— Nawet 25 stolarzy, pracujących na dwie zmiany, może wykonać w ciągu dnia najwyżej od 50 do 70 okien — przekonuje dyrektor z „bratniego" PGM. *— Niech mi pan wierzy, oni nawet nie zdążą skleić tych okien.*

Dotknęliśmy delikatnej sprawy,

czyli tego, jak przyjmowane są pomysły dyrektora Marka Andrzejewskiego w pozostałych dzielnicach miasta. Dzieli się przecież na naradach swymi doświadczeniami, przekonuje do niektórych rozwiązań. Widzewski PGM odwiedzany jest przez wycieczki innych przedsiębiorstw, np. ze Zgierza. Najkrótsza opinia, jaką usłyszałem na ten temat, brzmiała następująco:

— Wzięliśmy na przetrzymanie. Oczekujemy, jak to wypali. Ale nie jesteśmy optymistami. Rozwiązanie widzimy gdzie indziej: w uregulowaniach na szczeblu centralnym, w przeznaczeniu na rozwój gospodarki mieszkaniowo-remontowej znacznie większych niż dotychczas środków.

Dyrektor Marek Andrzejewski zdaje sobie sprawę, że niektóre z wprowadzonych nowości funkcjonują na pograniczu prawa. Taki choćby przykład. Staruszkowie mają w mieszkaniu zepsuty bojler, który — zgodnie z nowymi przepisami — powinni sobie wymienić za własne pieniądze. Ale — nie stać ich na wydatek rzędu 30 tys. zł. Co zrobić? Czekać, aż wybuchnie?

— Z mocy prawa — mówi dyrektor — *ja to zostawiam. Ale tak naprawdę, wcale tego tak zwyczajnie zostawić nie mogę.*

PGM kupuje więc bojler, a pieniądze zwraca mu na rachunek pomoc społeczna. Jest to w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem, ale w niezupełnej zgodzie z przepisami.

— Szef mi mówi: czekajmy do następnej kontroli...

Może jednak nie będzie tak źle. Widzewski PGM nawiązał bowiem ścisłą współpracę z partyjno-rządową Komisją do spraw Unowocześnienia Struktur Organizacyjnych Gospodarki i Państwa, a ściślej — z grupą roboczą do spraw funkcjonowania przedsiębiorstw użyteczności publicznej. Na tej podstawie oczekuje, iż przyznane mu zostaną uprawnienia do działań w warunkach eksperymentu, przeprowadzanego pod wysokim nadzorem komisji. Chodzi m.in. o uchylenie na próbę niektórych przepisów, szczególnie utrudniających lokatorom życie.

— Szukam alibi — śmieje się menedżer z PGM.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

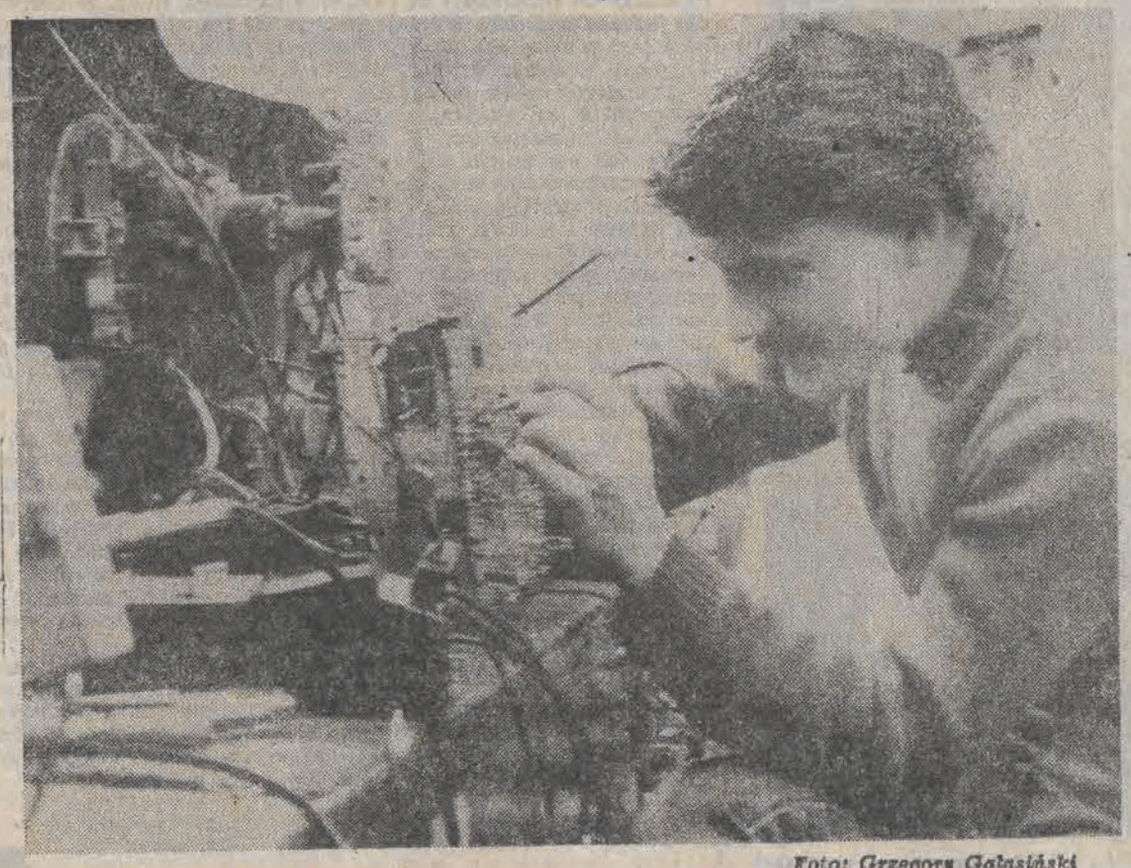

Foto: Grzegorz Gałasiński

Obserwuje się wzrastające zainteresowanie Żydami i wszystkim tym, co jest związane z tą mniejszością narodowościową. Wystarczy przypomnieć zbiory anegdot żydowskich, które są ciągle bestsellerami na rynku czytelniczym. Świat, który odszedł w przeszłość, nadal fascynuje, pociąga i niepokoi. Kiedyś Żydzi tworzyli koloryt polskich miast i miasteczek, dziś są jedynie wymierającymi reliktami minionej epoki. Zaledwie parę tysięcy starszych ludzi zna jeszcze jidysz i potrafi przeczytać Torę. Ale, jak powiedział mi jeden z seniorów tego narodu, są tacy Żydzi w Polsce, którzy czytają Torę bez względu na to, czy zwoje trzymają we właściwy sposób, czy też „do góry nogami". Oni po prostu znają ją na pamięć, natomiast nie znają liter. A młodzi? Czasem wcale nie przyznają się do swojego pochodzenia, wstydzą się wiary ojców.

Lud Izraela w Polsce odchodzi w przeszłość zasypywany piaskiem niepamięci.

Ale pamiątki po nim, stworzone przezeń dobra duchowe na stałe weszły w krwiobieg naszej kultury narodowej. Wielkie nazwiska poetów, aktorów, muzyków sąsiadują w podręcznikach szkolnych obok twórców—Polaków i nikomu do głowy nie przyjdzie dokonywać jakichkolwiek podziałów.

Tak więc pozostały pamiątki. Jedną z nich są cmentarze, owe miejsca najbardziej absorbujące pamięć żywych, będące symbolem łączącym pokolenia przodków z pokoleniami, które następują, symbolem ciągłości rodów i narodów.

W Łodzi pierwszy kirkut powstał w 1812 r. przy ul. Wesołej. Usytuowano go na terenie żydowskiego domu dla umysłowo chorych. Do tego czasu Żydów chowano w małych miasteczkach podłódzkich, bowiem Łódź, jako centrum przemysłowe, dopiero się rodziła i Żydzi nie kwapili się, by w niej się osiedlać. Ale już siedemdziesiąt lat później zrodziła się potrzeba wydzielenia nowego cmentarza. Żydzi bowiem nie tylko zaczęli budować — stojące i funkcjonujące do dziś — fabryki, ale zdominowali handel i większość usług. Izrael Kalman Poznański około roku 1890 wykupił więc 42 hektary gruntu w pobliżu ulicy Brzezińskiej (dziś Wojska Polskiego) z przeznaczeniem na kirkut. Pierwsze pochówki odbyły się trzy lata później. Dla siebie I. K. Poznański zarezerwował centralne miejsce na rozległym cmentarzu o obszarze 500 m kwadratowych. On także polecił wznieść ogrodzenie wokół kirkutu.

Tu należy zaznaczyć, że pod koniec XIX wieku nie istniała ulica Chryzantem i do cmentarza żydowskiego prowadziła dość szeroka aleja wysadzana drzewami łącząca się z ulicą Brzezińską. Po lewej stronie tej alei znajdowały się zakłady kamieniarskie, po prawej zaś był postój dorożek konnych. Jako ciekawostkę, a jednocześnie jako dobry przykład organizacyjny, trzeba podać, iż cmentarz żydowski znajdujący się dziś przy ulicy Brackiej i Chryzantem posiada swoją kartotekę doprowadzoną do 1939 roku. Można w niej znaleźć wiele interesujących nazwisk ludzi związanych z Łodzią, jej przemysłem, nauką i kulturą.

Od dawna wiadomo, że powiedzenie „Wszyscy są równi" jest nieprawdziwe i bałamutne. Jedynie może wyznanie mojżeszowe jest najbliższe temu hasłu, ale tylko w przypadku ludzi zmarłych. Nieboszczycy — bez względu na status społeczny — poddawani są zabiegom ablucyjnym i zawijani w całuny, aby na sądzie ostatecznym nikt od nikogo niczym się nie różnił. Natomiast pamięć żyjących podlega zwyczajnym ludzkim namiętnościom i ludzkiej próżności. Dlatego też widok wzniesionych budowli, sarkofagów, rozległych placów zagospodarowanych przez najlepszych rzeźbiarzy od razu tłumaczy, kto był kim na ziemskim padole. Poczynając od olbrzymiego grobowca rodziny Poznańskich wzniesionego na owych 500 m kwadratowych i przypominającego rozmiarami planetarium, poprzez grobowce Konsztatów (fundatorów domu przedpogrzebowego), Hirszbergów, Stillerów, Sachsów, (kolumny z zielonego marmuru), Konińskich, Rappaportów czy Baruchów, groby mniej zamożnych, a sławnych ludzi takich choćby jak Tuwimowie, Rubinsteinowie czy Samuel Sterling, a na żydowskim plebsie kończąc, można z grubsza zorientować się, że tak naprawdę to jedynie po śmierci, kiedy znajdą się po tej drugiej, ciemnej stronie istnienia, ludzie stają się sobie równi. To, co wznosi się nad ziemią, to są tylko symbole, informacje dla żyjących.

Przewodnikiem po cmentarzu żydowskim w Łodzi

był człowiek tyleż skromny, co posiadający dużą wiedzę w zakresie kultury, sztuki, obyczajów i historii — Leon Pomorski.

— *W Polsce* — mówi — *przyznaję się do swego żydowskiego pochodzenia, choć czuję się Polakiem, natomiast za granicą jestem tylko i wyłącznie Polakiem.*

Leon Pomorski jest przedstawicielem owej, wymierającej już niestety, grupy ludzi, o których kiedyś się mówiło, że są dystyngowani w każdym calu. To dawna, dobra szkoła savoir-vivre'u.

Za okupacji wejście na cmentarz znajdowało się od ulicy Marynarskiej, bo ulica Brzezińska była już po stronie aryjskiej. Tu przywożono zmarłych w getcie, tu grzebano tych, których gestapo mordowało w swoim więzieniu na dzisiejszej ulicy Sterlinga 16 lub w obozie cygańskim na Brzezińskiej 82/88, tu wreszcie także dokonywano egzekucji. Nie zawsze był czas na postawienie nagrobka, na oznaczenie grobu. Wystarczało czasem umieszczenie tabliczki z imieniem i nazwiskiem. Ale w zawierusze wojennej i te nietrwałe znaki częstokroć uległy zniszczeniu. Dziś trwają prace nad ustaleniem tożsamości pogrzebanych. Czy tylko Żydów? Niemcy rozstrzeliwali i grzebali tu także chrześcijan. Jak to teraz ustalić? Jak oddzielić jedne kości od drugich?

Do roku 1939 w kartotece cmentarza przy ulicy Brackiej figurowało 250 tys. nazwisk, obecnie liczba pochowanych zbliża się do 300 tysięcy.

Leon Pomorski prowadzi mnie wzdłuż głównej alei i zatrzymuje się obok skromnego, małego grobu.

— *Proszę zwrócić uwagę* — mówi — *na treść napisu wyrytego na płycie. Nawet dla nas, Żydów, jest to sprawa zagadkowa.*

Czytam:

„Bohater Związku Radzieckiego B.P. dr med. Róża Deweltow, ur. w Wilnie 1.VII 1919. Zginęła na polu walki 24.VII. 1944".

Nie byle kto — przyznaję z uznaniem — Skąd się tu wzięła? I kto to jest?

— *Nie wiem. Nie wiemy* — poprawia się. — *To zagadka. Jest tu sporo niewidomych: jak zginęła? Kto ją tu sprowadził? Jakie miała związki z Łodzią?*

Podchodzimy do grobowca-mauzoleum rodziny Poznańskich. Jeszcze niedawno można było wejść i z bliska obejrzeć groby. Teraz Wojewódzki Konserwator Zabytków polecił to ogrodzić, zdjęto kute litery nazwiska. Ale wszystko to zrobiono co najmniej parę dziesiątków lat za późno.

— *Dawniej* — mówi Leon Pomorski — *na kopule był ornament z brązu w kształcie wieńca laurowego. Widzi pan ślady?*

— Widzę. Co się z nim stało?

— *Pewnie został ukradziony. Kiedyś rozmawiałem z ludwisarzem, który ten ornament wykonał. Powiedział, że wziął od Poznańskiego 24 tysiące rubli! To były wielkie pieniądze, bardzo wielkie. To daje pojęcie, ile mógł kosztować cały grobowiec.*

Milczę, bo i cóż mogę powiedzieć? Dla mnie są to czasy historyczne.

— *W kopule znajduje się złota mozaika składająca się z 2 milionów małych kamyków — opowiada* Leon Pomorski. — *Tworzy ona wersety z psalmów i nauk proroków. W każdym z wersetów powtarza się słowo „Izrael". Czy wie pan dlaczego?*

— Nie wiem.

— *Bo sam Poznański miał na imię Izrael Kalman.*

— Ile mogła kosztować taka mozaika? — pytam.

— *Tego to i ja nie wiem* — odpowiada Leon Pomorski.

Grób Chaima Meisela, słynnego rabina, który według legendy uwolnił Łódź od zarazy. A było to tak: w czasie, gdy szalała w mieście cholera, rabin Chaim Meisel włożył białe szaty, udał się na ten właśnie cmentarz i wzniósłszy ręce do nieba, wykrzyknął:

— *Panie Boże, albo Pan mnie zabierze, albo zabierze Pan cholerę!*

I co, powiecie? Nazajutrz cholera opuściła miasto.

Są tu groby ludzi znanych.

Podchodzimy do miejsca wiecznego spoczynku znanego pulmonologa dr Seweryna Sterlinga, lekarza w „Szpitalu Starozakonnym" będącym własnością I.K. Poznańskiego, dziś szpitala Akademii Medycznej na ulicy Sterlinga, Leon Pomorski mówi:

— *Nie zdarzyło się, aby 1 listopada, w dniu Wszystkich Świętych, ktoś ze służby zdrowia zapalił bodaj świecę na grobie tego zasłużonego lekarza — społecznika, leczącego najuboższych.*

Nil admirari!

Grób rodziców Juliana Tuwima: Adeli i Izydora. Zostało z niego jedynie obmurowanie, wandale skradli płytę nagrobną. Co prawda łódzki hufiec im. Juliana Tuwima chętnie będzie partycypować w postawieniu nowej tablicy, ale kto zapewni, że nowa tablica nie padnie łupem złodziei. Godzi się w tym miejscu przypomnieć, że pierwszym, który zajął się uporządkowaniem tego grobu był Jan Gierańczyk, wieloletni kierownik księgarni „Pegaz".

Także grób rodziców Artura Rubinsteina nie prezentuje się najlepiej: wandale poprzewracali ogrodzenie, potłukli i połamali płyty nagrobne.

Groby, szczególnie te stare, przyciągają oczy swoją czytelną symboliką wyrytą w kamieniu płyty nagrobnej, czyli na macewach. I tak, tłumaczy mi Leon Pomorski: na grobach kobiet przeważnie są przedstawione świeczniki, świadczące o tym, że w domu do nich należy palenie świec w wigilię przed szabasem. Jeśli świeca jest złamana czy też złamana gałąź — jest to symbol złamanego życia.

Księga lub księgi — umieszcza się na grobach uczonych, pisarzy, poetów.

Dwie złączone dłonie z rozszerzonymi środkowo palcami — to znaczy, że spoczywa tu kapłan.

Dzban — znajduje się na grobie lewity, czyli tego, który dolewał oliwy do ognia w świątyni lub polewał ręce kapłanowi.

Puszka z ręką wkładającą monetę — to symbol ofiarodawczyni, która za życia nie skąpiła jałmużny.

Na niektórych macewach imię i nazwisko stanowią anagram z przytoczonego wersetu psalmu. Leon Pomorski tłumaczy mi, że zazwyczaj wersety tak są dobrane, by podnosiły szlachetne cechy charakteru zmarłego. I od razu przytacza anegdotę:

Otóż — powiada — *pewien Żyd odczytuje napis na nagrobku kupca, gdzie napisano, że był to nadzwyczaj uczciwy, prawy i szlachetny człowiek. No, no — dziwi się Żyd. — Tyle osób pochowano w jednym grobie!*

A kiedy ja z kolei pytam, czy istnieje w naukach wyznania mojżeszowego jakieś kompendium, z którego można byłoby w krótkim czasie dowiedzieć się o filozofii życia, Leon Pomorski mówi o dwóch mędrcach: Hillelu i Szammaju. Ten drugi był wybuchowy i skłonny do gniewu, więc trudno było od niego uzyskać jakieś nauki, natomiast Hillel skromny i spokojny nie odmawiał pomocy. A kiedy przyszedł do niego człowiek i zapytał, czy mógłby się w krótkim czasie nauczyć całej Tory, Hillel odpowiedział:

— *Miłuj bliźniego swego jak siebie samego. Oto cała Tora. Reszta to tylko komentarz.*

Cmentarz żydowski w Łodzi robi na zwiedzających przygnębiające wrażenie. Chciałoby się zapytać: co tu się stało?

Wygląda na to, że nawiedziło go trzęsienie ziemi lub przewaliła się trąba powietrzna. Powywracane kolumny z czarnego marmuru i szwedzkiego granitu, potłuczone płyty, pogięte, połamane i rozrzucone ogrodzenia, pozbawione płyt groby, w których ktoś czegoś szukał. Od lat bowiem hieny cmentarne bezkarnie wywoziły stąd cenne i zabytkowe płyty, rozkopywano groby licząc na to, że nieboszczycy mają na zębach złote koronki... To nieprawda, że cmentarz żydowski zdewastowali Niemcy. Wandale zjawili się tu po wojnie i zjawiają się dziś. Zaczynam się zastanawiać, czy okradanie cmentarzy — niekoniecznie żydowskich — nie staje się naszą narodową specjalnością. Złodzieje przyjeżdżają samochodami z najodleglejszych zakątków kraju. Kradzież się opłaca, bo za płytę z marmuru płaci się dziś setki tysięcy złotych. Co prawda od czasu do czasu prasa podaje informacje o zatrzymaniu jakiejś grupy cmentarnych złodziei, ale to nie powstrzymuje innych.

Cmentarze żydowskie, w tym cmentarz przy ul. Brackiej w Łodzi to nie tylko miejsce spoczynku 300 tys. Żydów, to także zabytek kultury żydowskiej, a tym samym kultury polskiej. Jerzy Waldorff twierdzi, że właśnie ten cmentarz był kiedyś najbogatszym cmentarzem w Europie. Straciliśmy wiele zabytków kultury w czasie ostatniej wojny, ale trzeba sobie powiedzieć i to, że straciliśmy i tracimy dobra kulturalne z powodu własnej niedbałości, obojętności, tumiwisizmu. Mógłbym jednym tchem wymienić cerkiewki łemkowskie, wiejskie dworki, pałacyki, cmentarze różnych mniejszości narodowych. Od paru lat jakby zmienia się coś na lepsze, to znaczy, że nastaje powolne odzyskiwanie tego, co jeszcze można odzyskać dla kultury polskiej. Dotyczy to także cmentarzy żydowskich.

Przede wszystkim na konserwację i ich renowację łoży państwo poprzez wojewódzkich konserwatorów zabytków i terenowe władze administracyjne, zajmuje się nimi Społeczny Komitet Opieki nad Cmentarzami i Zabytkami Kultury Żydowskiej w Polsce, Międzynarodowa Komisja dla spraw Cmentarzy Żydowskich w Polsce, a ostatnio Fundacja imienia rodziny Nissenbaumów.

Cmentarz przy ulicy Brackiej dopiero w 1975 r. uznano za dobro kultury narodowej i wpisano do rejestru zabytków. W tym też roku przystąpiono do opracowywania dokumentacji (historycznej, fotograficznej, faktograficznej).

Wojewódzki Konserwator Zabytków, Wojciech Walczak, mówi, że aby cmentarz żydowski doprowadzić do porządku (zresztą, co to znaczy do porządku?) są potrzebne bajońskie sumy. Konserwacja jednego nagrobka kosztuje średnio 200 tys. zł. A przecież grobów jest prawie 300 tysięcy! Pieniądze pochodzą z Narodowego Funduszu Rozwoju Kultury. W 1987 roku wyasygnowano na prace (konserwatorskie, ogrodnicze, budowlane) cmentarza żydowskiego 9.719 tys. złotych, co jest nawet mniej niż przysłowiowa kropla w morzu potrzeb. W 1988 roku wielkość dotacji nie zmieni się, jak nie zmieni się wygląd cmentarza. Bo dewastacja jest procesem postępującym i nieuchronnym.

Przede wszystkim stare groby i macewy (płyty nagrobne) niszczą drzewa i krzewy, których korzenie w szybkim tempie potrafią rozsadzić najtwardsze betony. Z góry walą się „kwaśne deszcze", które „zjedzą" nie tylko piaskowiec, ale i marmury, szwedzkie granity. Jeśli wierzyć fachowcom, to tak czy inaczej ten cmentarz jest skazany na zagładę. Jeszcze kilka dziesiątków lat, a w Łodzi nie będzie Żydów. Kto więc ma opiekować się grobami? Cmentarz wymaga nie konserwacji, a pielęgnacji, jak to ma miejsce na cmentarzach katolickich.

Wojewódzki Konserwator Zabytków powiedział, że prace na cmentarzu żydowskim rozpoczęto od usunięcia zieleni przy głównej alei, załatania dziur w murach, rozpoczęcia remontu domu przedpogrzebowego. Potem zabrano się za ratowanie mauzoleum Izraela K. Poznańskiego (słynną mozaikę w kopule wykonała znana w świecie włoska firma Antonia Salviati z Wenecji). Początkowo obliczono, że konserwację mauzoleum wykona się za jakieś 45 mln zł., ale było to trzy lata temu i dziś tę sumę należy co najmniej podwoić. A że nieomal wszystkie rachunki są sześciocyfrowe, niech świadczy koszt konserwacji bramy wewnętrznej, który przekroczył 4,5 mln złotych!

Wnioski? Jedyny ratunek już na dziś, to zatrudnienie na stałe co najmniej dziesięciu osób do pielęgnacji i czuwania nad cmentarzem. Same pieniądze niczego nie rozwiążą. Nad spokojem umarłych muszą nieustannie czuwać żywi. Na co dzień. W przeciwnym razie wszystkie akcje wypływające z dobrych chęci miną się z celem.

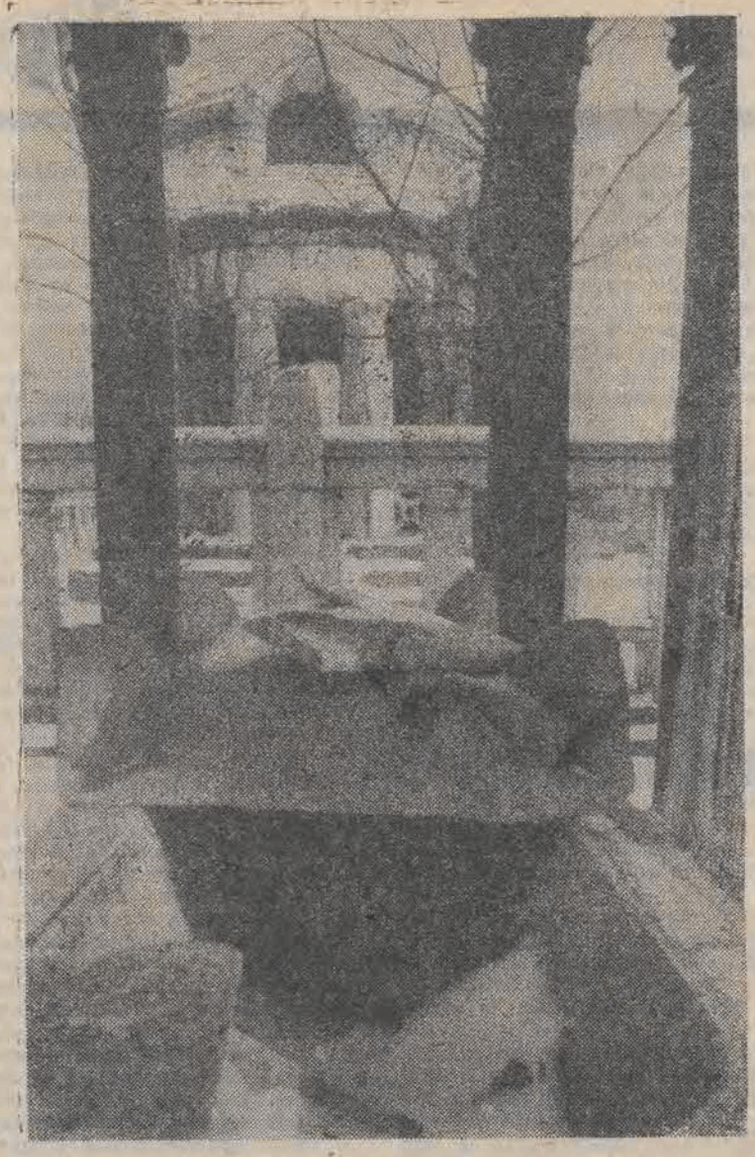

Jak uratować zabytek kultury — cmentarz żydowski w Łodzi?

Przeszedł tędy huragan wandalizmu

EUGENIUSZ IWANICKI

Fotoj Grzegorz Galasiński

Wytwórnia Filmów Oświatowych, ul. Kilińskiego 210, tel.: 81-77-05. Oficjalnie działa od 1 stycznia 1950 roku. Do końca 1980 roku zrealizowano w niej 4183 filmy. Uzyskały one 680 nagród krajowych i 380 międzynarodowych. Aktualnie WFO zatrudnia 441 pracowników, w tym 67 reżyserów i operatorów. Nadto zawsze wielu reżyserów i operatorów pracowało tu gościnnie.

Kilka miesięcy temu zaczęły się szerzyć pogłoski, że w związku z drugim etapem reformy WFO ma być zlikwidowana bądź przejęta przez telewizję albo Wytwórnię Filmów Fabularnych.

PRZESZŁOŚĆ.

Jest rzeczą zadziwiającą, że pierwsze próby organizacji filmu oświatowego nastąpiły natychmiast po zakończeniu II wojny światowej; w wypadku Krakowa tamtejszy ośrodek powstał nawet dokładnie w dniu wyzwolenia miasta: 18 stycznia 1945 roku. Niewiele później założono następne: w Żyrardowie, Gliwicach i Olitrzebny, nikt więc nie przejmował się drobiazgami.

Sprawa stanęła na porządku dziennym dopiero, gdy — około roku 1975 — dzięki polityce programowej nowego naczelnego redaktora **Macieja Łukowskiego** do WFO szeroką falą przyszli młodzi absolwenci łódzkiej Szkoły Filmowej. W odróżnieniu od poprzednich pokoleń nie mieli oni nakazów pracy ani socrealistycznego drylu, w szkole zaś pozwolono im uważać się za geniuszy. Nie przejmując się więc tym, co robiono przy Kilińskiego 210 dotychczas, zaczęli forsować własne propozycje. Chodziło im przede wszystkim o filmy artystyczne, autorskie, o własne fascynacje.

Formuła filmu oświatowego uległa gwałtownemu rozszerzeniu; młodzi poimowali ją w kategoriach rozbudzania zainteresowań poszerzania wrażliwości, zachęcania do myślenia i własnych poszukiwań. W rezultacie powstawały utwory autonomiczne, budzące nawet niekiedy podejrzenia, że szyld WFO wykorzystywały jedynie jako pretekst. Rozgorzała dyskusja nad definicją kina oświatowego, proponowano nawet

2 filmy rocznie (pomijając, oczywiście, szczególne okazje i wyjątkowe napady szału twórczego), jeżeli jednak chce prowadzić życie na poziomie przeciętnie zarabiającego obywatela PRL, musi już robić tych filmów co najmniej 2, 3 razy więcej, gdy zaś ma szczególnie liczną (bądź wymagającą) rodzinę, kochanke, albo czuje nieprzepartą słabość do motoryzacji, liczba ta jeszcze rośnie.

Owe rozdzierające prawie Hamletyczne sprzeczności doprowadziły do podziału ogółu twórców WFO na maniaków i cwaniaków. Pierwsi, służąc sztuce (albo nie mając „układów") klepali biedę, drudzy służąc mamonie (i robiąc „układy") klepali filmy. Nie trzeba dodawać, że ponieważ WFO nie miała powodu różnić się od przeciętnej zdrowia psychicznego naszego narodu, maniacy stanowili w niej coraz bardziej znikomą mniejszość.

Najgorsze jednak skutki przyniosło w efekcie nieustające zatykanie kanałów rozpowszechniania filmów oświatowych. Sama Wytwórnia, dokładnie ubezwłasnowolniona przepisami, w gruncie rzeczy nie mogła nic w tej sprawie zrobić, zaś

Wielki dorobek oraz tradycje WFO. Zatkane kanały dystrybucji filmów oświatowych. Niepewna przyszłość. Co dalej z Łódzką Wytwórnią Filmów Oświatowych?

Cwaniacy i maniacy

RYSZARD NAKONIECZNY

wie. Wszystkie one podporządkowane były **Wydziałowi Filmów Oświatowych w Łodzi**, którym kierował **Seweryn Nowicki.** Wśród ludzi realizujących wówczas pierwsze filmy oświatowe i pierwsze filmy w ogóle w powojennej Polsce były nazwiska szeroko potem znane: **Włodzimierz Puchalski, Karol Marczak, Zbigniew Bochenek.** Zanim rozwinął się film fabularny oni tworzyli polską kinematografię, i to tworzyli nie byle jak: **„Wieliczka" Jarosława Brzozowskiego** uzyskała Grand Prix w Cannes w 1946 roku, **„Ptasia wyspa" Włodzimierza Puchalskiego** pierwsze nagrody na Międzynarodowych Festiwalach Filmowych w Fontainebleau i Edynburgu, zaś **„Krystalizacja metali" Tadeusza Kallweita** i **„Wrotki mcholubne" Karola Marczaka** wygrały najpoważniejszą wtedy imprezę w swojej kategorii Międzynarodowy Festiwal Filmów Naukowych w Paryżu — były to pierwsze międzynarodowe nagrody kina polskiego.

Warto przypomnieć te fakty nie tylko dlatego, że pewnie nikt już dziś o nich nie pamięta, ale także po to, żeby uświadomić sobie w jakim stopniu film oświatowy był dziełem entuzjastów i zdać sobie sprawę z jego tradycji; nie ma się bowiem czego wstydzić.

Przez wiele lat cele filmu oświatowego były jasno określone: spełniał on po prostu rolę nauczyciela i instruktora. Świadczyły o tym już same tytuły: „Zwalczajmy gruźlicę", „Plankton słodkowodny", „Praca serca zarodka troci", „Bezpieczeństwo pracy w zbiornikach".

Atrakcyjnej, jak na owe czasy, formie, możliwościom pokazania rzeczy normalnie trudnych do zobaczenia (wykorzystanie zdjęć mikroskopowych, przyśpieszonych, itd.) oraz jasności i precyzji wykładu, a także niezłemu rozpowszechnianiu prowadzonemu przez **Centralę „Filmos"**, WFO zawdzięczała — aż do lat siedemdziesiątych — egzystencję stosunkowo bezproblemową. Wprawdzie równocześnie film oświatowy ulegał postępującemu skostnieniu i coraz wyraźniej przekształcał się w staroświecki instruktaż, ciągle jednak był oglądany i wydawał się po-

zmianę nazwy wytwórni, gdyż — jak się wydaje — sformułowanie „oświatowy" przeszkadzało młodym twórcom w podrywaniu dziewczyn.

Deszcz nagród na najpoważniejszych festiwalach (już nie tylko branżowych) pozwolił jednak na kontynuowanie „otwartej" linii programowej, a uznana marka WFO w połączeniu z humorystycznymi raczej pomysłami nowych nazw zaczęli biegły przemianowaniu Wytwórni na „Lodziankę" czy „Pozytyw".

Sytuacja wyglądała na kwitnącą; udało się uniknąć akademickich dyskusji, „starzy" i „młodzi" zawarli praktyczny rozejm. Żeby jednak nie było za dobrze

POJAWIŁY SIĘ NOWE PROBLEMY.

Pierwszy — to szybko podupadająca baza techniczna Wytwórni. Znakomitą część sprzętu eksploatowano już od wojny i wprawdzie bieżącą łatanina utrzymywano go ciągle w stanie gotowości, powoli jednak zmieniał się w strzelbę i uszkodzoną muszką; aby trafić w „dziesiątkę" należało celować zupełnie gdzie indziej. Coraz bardziej zaczynało też brakować dobrej jakości, wysokoczułej taśmy; powszechnie stosowana „ORWO" wymagała potężnego parku oświetleniowego, którym — mimo najlepszych chęci oświetlaczy — ciężko było nadążyć za wydarzeniami, a przyszło skierować go na jakiś czas w stronę bohatera filmu, bywało, że dostawał on obfitego krwotoku z nosa.

Systematycznie obniżały się też realne zarobki, prawdopodobnie na skutek zadawnionego, niemniej powszechnego przeświadczenia o niebotycznych dochodach filmowców, pokutującego jeszcze od czasów Władysława Gomułki — podwyższano je zaś dopiero wtedy, gdy przekroczyły barierę śmieszności.

Mówienie o pieniądzach przy okazji sztuki zawsze było w Polsce uważane za rzecz wstydliwą, co jednak wcale nie likwiduje powstających z tej przyczyny anomalii. Reżyser filmu oświatowego na przykład, gdy chce być w zgodzie ze sztuką i własnym sumieniem, nie powinien robić więcej niż

władze kinematografii nic w tej sprawie zrobić nie chciały. Film oświatowy, wypychany z kin i niechętnie wyświetlany przez telewizję, zawisł w powietrzu.

Ten trwający już dobrych kilkanaście lat stan odzwyczaił od niego widzów oraz wytworzył zupełnie nową sytuację wśród twórców. Znaleźli się oni w sytuacji ludzi robiących, w ramach lansowanego z niewiadomych przyczyn przez władze programu pomocy kosmosowi, okulary dla Marsjan. Na początku wywoływało to powszechną frustrację, potem jednak cwaniacy — jak to cwaniacy — postanowili z tego faktu wyciągnąć maksymalne korzyści. Ponieważ Marsjan nikt na razie na oczy nie widział, a płacono od sztuki abstrahując zupełnie od jakości i pracochłonności, doszli oni do wniosku, że zupełnie bezkarnie można produkować buble; cała sztuka polega tylko na tym, aby zdobyć zamówienia na możliwie największą ilość egzemplarzy. Na tle tego zdrowego myślenia postawa maniaków, którzy wierzyli w istnienie Marsjan i spodziewali się, że kiedyś ocenią oni jakość produkowanego dla nich towaru, wyglądała coraz bardziej schizofrenicznie.

W ten właśnie miły i symetryczny sposób WFO weszła w

TERAŹNIEJSZOŚĆ.

Teraźniejszość, jak wiadomo, to przede wszystkim drugi etap reformy. Wszystkich więc postępowych ludzi w Polsce ogarnęła nagle mania gospodarki rynkowej, przynoszącej dochód, itd. Każdy za swój punkt honoru zaczął uważać wyszukanie czegoś, co nowej modzie nie odpowiada, odważne pokazanie tego palcem i jak najszybsze zlikwidowanie. Jakby dookoła mało było takich kandydatów, grupa tych światłych obywateli (zgrupowana w telewizji) upatrzyła sobie na ofiarę film oświatowy i w dążeniu do rozwiązań konstruktywnych zaproponowała włączenie go... do telewizji.

Pomysł wydawał się księżycowy i wręcz sprzeczny z duchem nadchodzących zmian — równie dobrze można by zaproponować przejęcie przez Hutę Katowice wszystkich zakładów **mających do czynienia ze stalą — a jednak na WFO padł blady strach. Nie bez powodu projektantów mody nazywa się dyktatorami, no i ludzie nie takie już rzeczy widzieli.**

Sytuację pogarszał fakt, że WFO nadal była spętana czyniącymi ją bezwolną przepisami, a to — zgodnie z tradycją — w każdej chwili mogło być wykorzystane przeciwko niej. Jak wyraził się obrazowo jeden z realizatorów, samozwańczy lekarz filmu oświatowego zatkali mu usta i przeciwległy otwór przewodu pokarmowego, po czym z troską obserwowali pogarszanie się stanu pacjenta prorokując mu rychłą śmierć i ofiarując się z pomocą przy pogrzebie, zwłaszcza wobec okazałej schedy.

Na szczęście do pochówku nie doszło. Na decyzję władz centralnych o utrzymaniu WFO przy życiu wpłynęło zapewne przekonanie o unikalności i potrzebie filmów oświatowych. Są one bez wątpienia inne niż produkcja telewizyjna — bardziej syntetyczne i dopracowane warsztatowo; sięgają głębiej. Zamiast snuć koszmarny sen o sprowadzeniu wszystkiego, co się rusza na ekranie, do własnej formuły telewizja powinna raczej pomyśleć o lepszym i bardziej kompetentnym wykorzystaniu tego, co jest robione poza nią; w tym także kina proponowanego przez WFO — brzmiały wnioski na naradzie z twórcami krótkiego metrażu w Wydziale Kultury KC PZPR. A na deser — w ramach tym razem właściwie rozumianej reformy — obiecano odetkanie WFO z knebla przepisów; przynajmniej z jednego końca.

Cała ta mrożąca krew w żyłach, ale jak to często w filmie bywa zakończona happy endem, awantura miała jeszcze jedną ważną konsekwencję: na moment zjednoczyła maniaków i cwaniaków — podczas jednego z zebrań pracowników twórczych WFO pojawili się oni — chyba po raz pierwszy — niemal w komplecie.

PRZYSZŁOŚĆ

W gruncie rzeczy jedyne, co z całą odpowiedzialnością można o niej powiedzieć to to, że nie wiadomo jak będzie wyglądała. W wypadku WFO można jednak wskazać z dużą dozą prawdopodobieństwa na dwie alternatywy: albo zdobędzie się na wysiłek i — wykorzysta stojące przed nią możliwości, albo — uspokojona — osunie się w stare koleiny i po dłuższej lub krótszej agonii zejdzie ze sceny, a raczej z ekranu.

Odgórne, „polityczne" decyzje to bowiem dopiero początek, automatycznie zapewniają one tylko przywilej pogrzebania się własnymi rękami. Aby nie doszło do tego, malowniczego skądinąd, wydarzenia należy zdobyć się na szereg zdecydowanych i energicznych zmian. Ich kierunki są oczywiste i aby je określić nie trzeba być geniuszem. Wiadomo: wyciągnięcie wniosków z ekspansji wideo, agresywna akwizycja, marketing z prawdziwego zdarzenia połączony z nowoczesną informacją i reklamą, możliwie szeroka współpraca z zagranicą, gdzie potencjalnie WFO jest bardzo atrakcyjnym partnerem.

A przede wszystkim stworzenie klimatu dla robienia interesujących, dobrych filmów, począwszy od etapu pomysłu i scenariusza, a skończywszy na kolaudacji, co prawdopodobnie w sposób naturalny zlikwidowałoby podział na maniaków i cwaniaków i stworzyło bardzo pożądany w kinie typ cwaniaków maniakalnych, bądź cwanych maniaków. Naturalnie klimat ten powinien być poparty tym, co kiedyś nazywało się systemem bodźców, czyli inaczej mówiąc opierać się twardo o ziemię.

Wszystko to wygląda na banał, banał jednak to nic innego jak prawda, o której się ciągle mówi, zamiast wprowadzać ją po prostu w życie. Tylko że akurat wprowadzanie w życie zawsze było polską piętą Achillesa... Jeżeli za parę lat przy ulicy Kilińskiego 210 ciągle jeszcze zobaczycie szyld **„Wytwórnia Filmów Oświatowych"**, a na parkingu zakłują was w oczy niezłe marki samochodów, będzie to znaczyło, że tym razem się udało.

Mówi: Roman Kłosowski

— Naszą rozmowę chcę rozpocząć od pytania: dlaczego opuścił pan Łódź?

— Czy pan istotnie uważa, że jest sens do tego wracać?

— Pamiętam, że jako dyrektor Teatru Powszechnego, a zarazem jako aktor, miał pan kilka udanych spektakli. Czyżby Łódź była rzeczywiście miastem, w którym nie można zapuścić korzeni?

— Wydaje mi się, że sześć lat, a tyle właśnie przeżyłem w Łodzi, to okres dość długi. Nie wszyscy byli w zespole zadowoleni ze mnie i z tego jak prowadzę teatr. Później ja nie byłem zadowolony ze wszystkich, widząc co i jak robią. Ponadto istniała dodatkowa trudność: mieszkałem w dwóch domach... Jednak nie żałuję tego okresu, był on niewątpliwie ważny w moim życiu artystycznym.

— Zadam stereotypowe pytanie: jakie były początki pańskiej kariery artystycznej?

— Skończyłem w 1953 roku szkołę teatralną w Warszawie. Był to świetny okres tej szkoły. Miałem wspaniałych pedagogów: zaczynałem jeszcze u Zelwerowicza, potem byli Kreczmar, Romanówna, Świderski, Wyrzykowski, Dulęba... Po ukończeniu szkoły wyjechałem do Szczecina i trafiłem do Emila Chaberskiego, a więc znów mi się poszczęściło. Po dwóch latach przeniosłem się wraz z kolegami, Traczykówną i Skaruchem, do nowo powstającego w Pałacu Kultury i Sztuki Teatru Domu Wojska Polskiego, dziś Teatru Dramatycznego.

— Dość wcześnie nawiązał pan romans z filmem...

— Zaczęło się to jeszcze w czasach studenckich, zagrałem w filmie traktującym o „Służbie Polsce". Potem tych filmów przybywało. I znów miałem szczęście: trafiłem na znakomitych reżyserów, takich jak Andrzej Munk, Jerzy Kawalerowicz, Czesław Petelski, Jan Rybkowski, Tadeusz Chmielewski. Miałem wówczas chłopięce warunki proletariackie i zagrałem wiele ról z tego emploi.

— Nie zawsze postacie, w które się pan wcielał były postaciami szlachetnymi. Np. w „Ewa chce spać" sprzedawał pan w nocy przechodniom cegłę...

— Wydaje mi się, że ten Lulek, to jedna z najsympatyczniejszych postaci, jakie grałem. Ale to przecież komedia liryczna. Proszę przypomnieć sobie „Bazę ludzi umarłych"...

— Sądząc z tego, co usłyszałem, miał pan w życiu szczęście.

— Wydaje mi się, że tak. Zetknąłem się z wybitnymi ludźmi teatru, którzy mnie zauważyli, przyciągnęli do współpracy. Oni kształtowali moją estetykę, smak, poglądy... Ale żebym kogoś naśladował, to raczej nie.

— Oprócz teatru i filmu, flirtował pan także z telewizją.

— Proszę pana, dziś aktor, jeśli chce być aktorem nośnym, popularnym, musi być aktorem rozpoznawalnym, ot, choćby dlatego, by dziennikarz chciał przeprowadzić z nim wywiad. Będąc w Łodzi grałem zarówno Szwejka jak i Ryszarda III. Aktor musi być wieloznaczny, na tym polega smak aktorstwa. Mnie zawsze interesował człowiek w całej swojej złożoności. Przez trzydziestoparoletni okres mojego aktorskiego życia czegoś się tam nauczyłem i dlatego mogę dziś grać różne, biegunowo przeciwstawne, role. Dlatego jestem dziś w „Syrenie", który to teatr jest bardzo specyficzny i wymaga specyficznych umiejętności. I te umiejętności, poprzez różnorodność form, musiałem sobie przyswoić w ciągu długiego życia aktorskiego.

— Nie marzy pan o roli Hamleta? Proszę mnie dobrze zrozumieć: Hamlet, to nie postać stworzona przez Oliviera czy Smoktunowskiego, to coś, co jest wewnątrz człowieka...

— Całe szczęście, że nie jest pan dyrektorem teatru, bo pewnie by mnie pan obsadził w tej roli. Ja natomiast, będąc dyrektorem teatru, obsadziłem siebie w roli Ryszarda III, co było jedną z najbardziej kontrowersyjnych moich decyzji.

— Kogo by chciał jeszcze pan zagrać?

— Marzę o współczesnej, wielkiej roli filmowej. A jeśli chodzi o teatr, to w ciągu tych lat właściwie zmieściłem wszystko, co mogłem zmieścić: i Szwejka, i Ryszarda III, i Colas Breugnon, i Spodka ze „Snu nocy letniej"... Mogę powiedzieć, że ominęło mnie kilka ról, które mógłbym zagrać, np. Sganarela w „Don Juanie" Moliera, Sancho Pansę w „Don Kichocie", może szekspirowskiego Falstaffa. Może jednak jeszcze je zagram...

— Życie aktorskie, jak wynika z naszej rozmowy, ułożyło się panu dobrze. A jak jest z życiem rodzinnym?

— Życie prywatne, to moja najszczęśliwsza dziedzina.

— Ile było rozwodów?

— Nie było. Obchodzimy z żoną 33 rocznicę ślubu, mam syna mającego 32 lata, wnuczkę i wnuka. Rodzina — a życie bywało czasami pełne burz — była właśnie tym azylem, który pomógł mi wszystko to znieść, nie ugiąć się, przetrwać, wrócić do równowagi psychicznej.

— Co pan najbardziej lubi w życiu?

— Lubię pracować. Naprawdę. Aktorstwo to piękny zawód.

— Sądzę z tego, co pan mówił o znaczeniu rodziny w pańskim życiu, że jest pan znakomitym gospodarzem.

— Och, fatalnym. Nie mam żadnych umiejętności manualnych, jestem dystrakt...

— A stosunek do napojów czysto męskich?

— Pozytywny. Picie nigdy nie przeszkadzało mi w pracy. Jestem bardzo pryncypialnym, jeśli chodzi o alkohol, dlatego wódka nigdy nie stała się przeszkodą w mojej pracy aktorskiej czy reżyserskiej. Jest czas na picie i jest czas na pracę.

— A inne używki?

— Kawa.

— Porozmawiajmy o kobietach. Ile ich było w pańskim życiu?

— Tylko żona. **(W tym momencie Roman Kłosowski uśmiecha się konfidencjonalnie i robi do mnie oko).**

— Czego się pan dorobił w ciągu tych długich lat pracy?

— Mieszkania kwaterunkowego, Łady, działki ze skromnym letniakiem.

— Wyjazdy zagraniczne?

— Z Estrady: Ameryka, Anglia...

— Plany twórcze?

— Właśnie reżyseruję w „Syrenie" **„Panią prezesową"**, znakomitą farsę francuską, i jednocześnie gram. Dla telewizji nagrywam monologi Zoszczenki, w planie ma być „Szwejk", ale w adaptacji monologowej, parę gościnnych propozycji do Opola, Szczecina...

— A do Łodzi?

— Łódź mnie nie zaprasza. Mile wspominam łódzką publiczność, ale specjalnej ochoty tam jechać nie mam. Jeśli mnie któryś z teatrów zaprosi — zaproszenie przyjmę. Natomiast bardzo pragnę, za pośrednictwem „Odgłosów" pozdrowić łódzką publiczność, która w czasie mojego sześcioletniego pobytu w tym mieście dawała wiele dowodów uznania dla mojej pracy aktorskiej i reżyserskiej.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Wiersze

IRENA LARIS

Łezki

Łezki się toczyły
Po ulicznym bruku.
Buty je pędziły
Pośród armat huku.

Przyglądam się z bliska,
Jak gonione łkają.
Podkute buciska
Sól po nich zbierają.

Nic pomóc nie mogę.
Gmach wielki się wali.
Dzwon bije na trwogę.
Kto łzy te ocali?

Ograbili z soli.
A tylko to miały...
I choć bardzo boli,
Już nie zapłakały.

Jedną małą chwilką
Sturłały się z szosy
By pozostać tylko
Kropelkami rosy.

★ ★

Szczęście było pijane,
Pomyliło mnie z inną.
Miłe, dobre, kochane...
Lekką byłam i zwinną.
Kochało i kochało
W błękicie — pieśni dwiema...
Nagle mnie rozpoznało,
Znikło i już go nie ma.

MŁODZI O SOBIE

Aktor

— A jednak...

— Tak, był to żart, próba, po której nastąpił ciąg prób — oby jak najdłuższy.

— Studia aktorskie — oczekiwania i rzeczywistość?

— „Rozrywkowe" życie studenckie, jeśli naprawdę chce się coś osiągnąć, jest tu mitem. Oprócz zajęć od ósmej do dwudziestej, są nocne próby, a przerwy między zajęciami również trzeba wykorzystać na ćwiczenia. Gdy z tego zrezygnować, nawet źle się na tym wychodzi. Jeśli na pierwszym roku nie angażujesz się i nie znajdujesz w tym przyjemności, później trudno to odrobić. Ja za mało pracowałem.

— 16—18 godzin na dobę...

— To za mało.

— Tylko tytan pracy może nauczyć się aktorstwa?

— Praca, technika to nie koniec. Są podobno jeszcze jakieś dziwactwa, jak: predyspozycje, talent, charyzma... chyba są. I tak naprawdę wydaje mi się, że brak reguł i pewników, jak to wszystko ma być podzielone. Absolutnie konieczne jest końskie zdrowie i odporność psychiczna.

— A twoje marzenia związane z pracą?

— Podczas studiów myślałem jak większość: „do Warszawy!"

— Czy praca dyplomowa pomaga w spełnieniu takich marzeń?

— Powinna. Dyplomy w reżyserii **Macieja Prusa, Eugeniusza Korina, Engleria, Łomnickiego** mogą procentować — są to dyplomy aktorskie.

— Być zauważonym, otrzymać atrakcyjną propozycję jest bardzo trudno. Co pozostaje?

— Najpierw rezygnuje się z Warszawy, Krakowa, bo nie ma szans na etat lub nie satysfakcjonują epizody, kiedy rozpiera energia i chce się intensywnie pracować. W Gdańsku i Poznaniu nikt nie był mną zainteresowany. Gorzów, Radom, etc., oferują nęcące propozycje i role dla absolwentów szkoły teatralnej. Niestety tam dobre teatry jedynie „bywają". Co pozostaje?... Praca na nerwicę.

(Rozmówca zastrzegł sobie anonimowość).

Rozmawiała:
JOLANTA POL

Chłodnym okiem

Narzekania na stan naszej krytyki literackiej słyszy się zewsząd. A to, że przypadkowa i niekonsekwentna, że zatraciła busole estetyczne i ideowe, a to że zrezygnowała z ocen i kryteriów wartościujących na rzecz dystansujących się wobec literatury najnowszej analiz i mało praktycznych interpretacji. Narzeka się też na brak istotnych sporów o wartości i światopoglądy w literaturze w ogóle. Paradoksem tego stanu rzeczy jest fakt, iż najgłośniejsze wyrzekania płyną nie ze strony pisarzy (ci jakby mieli trudniejsze sprawy na głowie), a ze strony krytyków. Warto by się zastanowić dlaczego tak się dzieje.

Jak więc ma się zachować krytyk? Rozumiem zatem rozterki **Tadeusza Błażejewskiego**, uporczywego obserwatora polskiej współczesności literackiej, autora dwóch ostatnio wydanych książek krytycznoliterackich: **„Rysopisu"** (Łódź 1987) i tomu zatytułowanego **„Literatura jak literatura"**. O „Rysopisie" wypowiadał się na łamach **„Odgłosów" Maciej Świerkocki**, ale wracam do tego tekstu, ponieważ jest on symptomatyczny dla spraw, o których pisałem wyżej. Ilustruje także postawę Tadeusza Błażejewskiego jako krytyka. Więź pokoleniowa byłaby czy mogłaby być płaszczyzną porozumienia między krytykiem a autorami „młodej prozy". Ale tak się nie stało. Głównie dlatego, że nie wystarcza w takim porozumieniu tożsamość przeżyć generacyjnych. Istotniejsza jest tu świadomość literatury, jej funkcji światopoglądowych i estetycznych, a także intencji w zakresie ról społecznych, jakie ma do odegrania. **„Zastanawiam się** — pisze Tadeusz Błażejewski w „Rysopisie" — **czy program młodej prozy mógłby zasługiwać na miano programu antyinflacyjnego na gruncie naszej literatury? Chyba nie — zbyt wiele tu po prostu życiowej i literackiej bezradności"** (s. 9).

Tom „Literatura jak literatura" ma zdecydowanie inny niż „Rysopis" charakter. „Rysopis" to mała monografia „młodej prozy", taka rozumowa mapa zjawiska — powiedziałbym, że bardziej „administracyjna" niż „fizyczna". Może nawet próba — przynajmniej we wstępnych założeniach — emocjonalnego zbliżenia się do zaprezentowanych autorów i ich tekstów. „Literatura jak literatura" to już ujęcie panoramiczne polskiej literatury współczesnej: od **Andrzejewskiego, Buczkowskiego, Gomulickiego, Terleckiego, Krzysztonia** poprzez powieści **Truchanowskiego, Broszkiewicza, Orłowskiego, Sztajnerta, Żukrowskiego, Myśliwskiego, Jaździńskiego i Koprowskiego** do utworów **Słyka, Sołtysika, Schuberta, Müldnera-Nieckowskiego i Jacka Krakowskiego. A przecież indeks tych nazwisk to tylko wybór recenzenta, który dzięki nim chce zachęcić czytelników** do sięgnięcia po książkę Tadeusza Błażejewskiego. Krytyk próbuje tę swoją panoramę porządkować wedle generalnych nastawień literatury polskiej ostatniego dziesięciolecia nie rezygnując przy tym z refleksji metakrytycznych.

Co tę książkę charakteryzuje przede wszystkim? A więc chłodny racjonalizm, myślowy porządek, recenzencki dystans wobec autorów i omawianych powieści. Sądząc po tytule zbioru jest to dystans ustalany z pełną świadomością. Pisze bowiem we wstępie Błażejewski: **„Sytuację literatury współczesnej wyznaczają dwa bieguny. Rzeczywistość traktowana bywa albo jako historyczna, konkretna i zrozumiała, co pozwala na nią człowiekowi wpływać; albo też traktuje się ją jako coś nieprzenikalnego, nie skażonego żadnym udanym wysiłkiem poznawczym człowieka, co z kolei jakikolwiek wpływ wyklucza. Pomiędzy tymi biegunami żegluje proza, o której traktuje ta książka"** (s. 9).

Może jednak warto byłoby — rezygnując ze szkiełka i oka mędrca — zwłaszcza w obecnej sytuacji, w jakiej znalazła się kultura literacka w Polsce — a kierując się „zwyczajną" czytelniczą emocją radykalnie przewietrzyć naszą literaturę?

GRZEGORZ GAZDA

Tadeusz Błażejewski, Literatura jak literatura, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1987, s. 365, nakład 2000 egz., cena 300 zł.

MODA TO WALKA Z NIEUBŁAGANYM CZASEM

Propozycje „Telimeny"

— W nadchodzącym sezonie rezygnujemy w modzie z czerni, przynajmniej w tej ilości jaka dotychczas panowała w stroju — **mówi pani Anna Skórska, główny specjalista i szef artystyczny łódzkiej „Telimeny", która wraz z Barbarą Cieślewicz i Mirosławem Szczepaniakiem** projektowała kolekcję zaprezentowaną w „Klubie Dziennikarza". — Wiosną i latem dominować będzie biel, szczególnie ecru, granat w zestawieniu z bielą ecru, gama bieli ziemi, piasku, powietrza, gama ognia i wody (rozbielona, przypudrowana gama pasteli). Tendencje w świecie mody? W modzie panuje eklektyzm. Każda z pań musi dokonać wyboru, selekcji przedstawionych propozycji zwracając uwagę w pierwszym rzędzie na linię, która pozwala na upiększenie kobiety, a nie zniekształcenie jej. Moda i ubiór powinien kobiecie pomagać w walce z czymś tak nieubłaganym jak czas, powinien ją odmładzać, podkreślać jej indywidualność — takie są zasady. A teraz co do szczegółów. Otóż w tym co proponujemy zmianie ulegają ramiona, w okryciach i kostiumach jeszcze poszerzone, ale w pozostałych ubiorach powracają do naturalnych, a więc zdecydowane zbliżenie ubioru do sylwetki z zaakcentowaną talią, biodrami i biustem. W ubiorach obowiązują głębokie dekolty á la Bardot, odkryte plecy i tzw. amerykańskie pachy (na szyję). Sporo zapięć dwurzędowych. Przeważać będzie duży procent dzianiny, która stanowi czynnik kompensujący niewygodę wynikającą z dopasowanych form. Kostiumy stają się znacznie bardziej dopasowane, dużo dwurzędowych marynarek w zestawieniu z krótkimi i długimi spódnicami. Generalnie można powiedzieć, że inspirację do proponowanych ubiorów na wiosnę i lato stanowią lata dwudzieste i trzydzieste.

Warto pamiętać, że na wieczór modne będą też formy dopasowane, także w stylu hiszpańskim — falbany z rozkloszowanych godetów, głębokie dekolty; tkaniny to tafty, atłasy, tiule; długości zróżnicowane — od mini do długości przed kolana i maxi. Modne detale to sandały na płaskich obcasach, powracają też szpilki, czółenka noszone do długości przed kolana. Modnym dodatkiem są krótkie rękawiczki noszone do ubiorów całodziennych oraz długie, do ramion, noszone na wieczór. Makijaż bardzo naturalny i podobnie jak w ubiorach — zainteresowanie i koloryzacja wynikająca z inspiracji naturą...

W tych dniach czeka nas wyjazd do Pragi, gdzie w tamtejszym Centrum Kultury Polskiej prezentować będziemy naszą kolekcję. Czy obawiamy się konkurencji? Konkurencja jest czymś bardzo pozytywnym, zmusza do wysiłku, poszukiwań. W „Telimenie" mamy ambicję robić dobrze i to jest najważniejsze, do oceny są inni. Choć nie ukrywam, że to cośmy zaproponowali jest dobrze przyjmowane i doceniane. Nasze modele są bardzo starannie wykonane pod względem konstrukcyjnym i wykonawczym, a to dzięki pracownikom wzorcowni pod kierownictwem pana Włodzimierza Bartczaka.

M.B.

Portrety Ludwika Kronica w warszawskiej Kordegardzie

Zajmujące renomowaną pozycję w kraju i poza jego granicami, **wyróżniające się pokaźnym dorobkiem twórczym łódzkie środowisko plastyczne, ma** ostatnio **dobrą passę wśród** wyśmienicie obeznanych w sztuce **stałych bywalców warszawskich galerii.**

Nie przebrzmiały jeszcze, bowiem, pochlebne oceny, stanowiące pokłosie jubileuszowe, retrospektywnej **wystawy malarstwa Wiesława Garbolińskiego** w stolicy, i oto, **z dużym zainteresowaniem warszawiaków spotyka się otwarta 9 bm. w Kordegardzie** bardzo oryginalna **ekspozycja**, złożona z **45 portretów**, pochodzących z **teki malarskiej Ludwika Kronica.**

Ten wielce **utalentowany łódzki artysta** (dyplom 1964 — PWSSP w Łodzi, dziś nosząca nobilitujące imię Władysława Strzemińskiego, **od 1959 roku związany ze Studiem Małych Form Filmowych („Se-Ma-For")**, współautor oprawy plastycznej i reżyser wielu nagradzanych filmów animowanych), w ostatnich latach znalazł najpełniejsze **możliwości wyrażania swoich pasji twórczych, w rzadko dziś uprawianej sztuce portretowej.**

W bogatym dorobku artystycznym Ludwika Kronica znalazły się portrety — w sposób mistrzowski oddające cechy osobowościowe — całej plejady polskich aktorów, m.in. **Anny Polony, Wojciecha Siemiona, Ludwika Benoit, Jana Machulskiego, Jana Świderskiego** (nie dokończony ze względu na śmierć modela).

Od niedawna artystę zafrapowali też ludzie morza, których w wolnych chwilach portretuje.

W otwarciu wernisażu, którego dokonał **dyrektor CBWA Mieczysław Ptaśnik**, zorganizowanego **pod auspicjami MKiS**, uczestniczył **I zastępca ministra kultury i sztuki Wacław Janas** oraz grono przyjaciół i animatorów twórczości Ludwika Kronica.

JANUSZ KOZŁOWSKI

Foto: P. Nowak

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

75 LAT W. LUTOSŁAWSKIEGO

Z okazji 75 rocznicy urodzin **Witolda Lutosławskiego** czasopismo radzieckie **„Sowietskaja muzyka"** poświęciło naszemu kompozytorowi okolicznościową publikację, w której stwierdzono m.in., że jego dorobek jest znany i wysoko ceniony w Związku Radzieckim.

O POLAKACH W PARYŻU

W ostatnich tygodniach głośno było w Paryżu o trzech wydarzeniach kulturalnych związanych z twórczością naszych rodaków. W paryskim **Narodowym Ośrodku Kultury i Sztuki im. Georgesa Pompidou** odbył się przegląd filmów polskiego reżysera młodego pokolenia **Zbigniewa Rybczyńskiego**, szczególnie popularnego w Stanach Zjednoczonych. Jest on autorem krótkometrażowego **„Tanga"**, nagrodzonego Oscarem, a także filmu **„Steps"** opartego na motywach dzieła **Eisensteina „Pancernik Potiomkin"**. W swoim dorobku Rybczyński ma także wiele cenionych filmów wideo. Była to pierwsza prezentacja twórczości tego reżysera nad Sekwaną, która wzbudziła duże zainteresowanie paryskiej krytyki.

Z kolei w paryskim **Domu Ameryki Łacińskiej** odbyła się światowa prapremiera pierwszego filmu poświęconego życiu i twórczości **Witolda Gombrowicza**, który wiele lat spędził w Argentynie. Autorem tego pełnometrażowego filmu jest argentyński reżyser **Arthur Fisherman.** W filmie występuje m.in. czterech uczniów Gombrowicza wspominających pisarza. Producentem filmu, którego celem jest zapoznanie szerokiego odbiorcy z filozofią dzieł Gombrowicza, jest znany pisarz argentyński **Guillermo Torre.**

Na pokazie obecna była wdowa po polskim pisarzu **Rita Gombrowicz.** Dodajmy, że twórczość Gombrowicza cieszy się we Francji dużą popularnością. Przed kilku dniami **w Instytucie Polskim** w Paryżu **wystąpił** francuski **zespół** teatralny **z przedstawieniem „Ferdydurke".**

W Instytucie czynna jest również **przeglądowa** wystawa polskiego plakatu przygotowana przez **warszawską** „Zachętę", na której przedstawiono 90 prac.

PO 60 LATACH

Tyle lat upłynęło od prapremiery dramatu **Izaaka Babla „Zmierzch"** w moskiewskim MCHACIE. Drugą inscenizację przygotowano dopiero teraz, po tylu latach, w Akademickim Teatrze im. W. Majakowskiego. Reżyserem przedstawienia jest kierownik artystyczny tego teatru **A. Goncarow**, który kontynuuje swój program przywracania współczesnej scenie zapomnianych z różnych powodów sztuk. Wcześniej on właśnie inscenizował m.in. **„Ucieczkę" Bułhakowa** oraz **„Lady Makbet mceńskiego powiatu" Mikołaja Leskowa.**

ZAPIS ZMAGAŃ Z KALECTWEM

Jedną z najbardziej prestiżowych nagród literackich Wielkiej Brytanii **„Whitbread Book of the Year"** otrzymał 22-letni **Christopher Nolan** z Dublina, za książkę pt. **„Under the Eye of the Clook"**, która jest autobiografią opisującą jego zmagania z kalectwem.

Nolan od dzieciństwa dotknięty jest paraliżem i ponadto niemową. W tym stanie zdolny jest zapełnić zaledwie jedną stronę maszynopisu posługując się w tym celu specjalnym przyrządem. Młody pisarz, który musiał zrezygnować ze studiów w Trynity College, debiutował w 1981 roku — mając niespełna 15 lat — zbiorem poematów **„Dam-Burst of Dreams"**. Krytycy podkreślają, że przedstawił on wstrząsający wizerunek świata, o jakim nikt jeszcze nie pisał.

John Carey, profesor literatury na Uniwersytecie w Oksfordzie twierdzi, że Nolan obdarzony jest niezwykłym talentem, zaś jego kalectwo jest głosem ludzi skazanych na wieczne milczenie.

Muzyka i ruch

Jako „formy dźwiękowe w ruchu" zdefiniował muzykę **Eduard Hanslick.** Mówiąc to, ów wybitny austriacki estetyk daleki był, rzecz jasna, od myśli o takich, nietypowych przejawach... ruchliwości, które stały się udziałem łódzkiej Polihymnii począwszy od końca ubiegłego roku.

Zwiastunem „nowego" była w połowie grudnia (prezentowana potem do początku stycznia) aranżacja **„Rzeki podziemnej" Zygmunta Krauzego w Muzeum Sztuki.** Aranżacja ta — przypomnę — stanowiła „odważną" próbę powiązania muzyki z ruchem i przestrzenią. Rzecz polegała mianowicie na emitowaniu lekko usypiających efektów dźwiękowych z 7 głośników umieszczonych w „labiryncie" (jak to określił sam twórca) gustownych parawanów. Do przemieszczających się swobodnie słuchaczy dźwięki docierały w taki sam, mniej więcej, sposób, co w domu towarowym, gdzie z głośników znajdujących się nad labiryntem stoisk sklepowych płynie nieprzerwanie tzw. muzak (muzyczka). Nie przeczę, że ciekawie wypadł wydrukowany odautorski komentarz „wyjaśniający" sens „Rzeki podziemnej"; streszczała zresztą słowa Mistrza lokalna prasa za pośrednictwem recenzentów plastycznych.

W tym również czasie w nową, osobliwie „dynamiczną" i trwającą nieprzerwanie fazę działalności wkroczyła łódzka Filharmonia. Nie zamierzam oczywiście w tym wypadku być złośliwy w stosunku do repertuaru i poziomu wykonawczego filharmoników. Koncerty, jak dawniej, są lepsze lub (nieco) gorsze, omawiam je też systematycznie na innych łamach. Chodzi mi jedynie o zapoczątkowany momentem wykwaterowania z dawnego, rozsypującego się doszczętnie gmachu koncertowego, nieustanny ruch zespołu: próba przy ul. Narutowicza, koncert w szkole muzycznej przy ul. Sosnowej, znów próba przy ul. Narutowicza, koncert w kościele. Takie permanentne wędrowanie ma trwać czas bliżej nie określony, w najbliższej perspektywie stoi notabene przed orkiestrą objęcie kolejnego (ciekawe, o jakich cechach akustycznych) lokalu zastępczego przy ul. Piotrkowskiej.

Mili orkiestranci — uszy do góry! Wiecie, że nie od razu Kraków zbudowano i na własny, nowy gmach też musicie jeszcze troszeczkę poczekać. Kilkanaście, góra — dwadzieścia lat szybko zleci! Rozumiem, że pewnie chcielibyście już dziś, od razu, ale przecież od pierwszych podejmowanych po wojnie planów budowlanych minęło zaledwie 40 lat i w tej sytuacji pośpiech nie jest doprawdy uzasadniony. A że obecny, ruchliwy tryb życia trochę męczy? Spójrzcie na to inaczej. Jesteście młodzi (faktycznie, jak ten nasz zespół ostatnio odmłodniał!) a ruch to zdrowie. Poza tym możecie zastosować wypróbowaną metodę „klin klinem" i dla odpoczynku wyjechać w... jakąś dalszą podróż. Tak, jak było to w ubiegłym miesiącu, kiedy wraz z baletem Teatru Wielkiego 11 razy wystąpiliście w miasteczkach **RFN i Holandii** prezentując **„Sen nocy letniej" z muzyką F. Mendelssohna-Bartholdy'ego, w choreografii G. Veredona.** Od dyrektora **Lasockiego** dowiedziałem się, że zagraniczne występy były bardzo udane i jako zespół akompaniujący tancerzom (czyż to nie godna uznania egzemplifikacja hasła: muzyka i ruch?) zbieraliście osobne oklaski. I do tego w jakich ładnych salach mogliście sobie pograć...

Dalsze wyjazdy w planie. Nie powiecie chyba, że jest źle.

JANUSZ JANYST

O DOBREJ PIOSENCE MÓWI

Janusz Laskowski

— W swoich piosenkach bardzo często pan wspomina o tym, co już minęło i może właśnie w tym duchu powie pan o mijającym dwudziestoleciu swojego śpiewania.

— O! Dwadzieścia lat to długi czas. Każdy człowiek, który może sobie przypomnieć swoje dwudziestolecie pomyśli o dobrych i złych chwilach. Ja złych nie pamiętam i nie będę pamiętał. Nie chcę mówić o tym, co było złe.

— Jaka powinna być dobra piosenka?

— Dobra piosenka? Dla mnie, to taka przy której ludzie dostają dreszczy, przy której się bawią i chcą jej słuchać.

— Kogo z dzisiejszych twórców polskiej piosenki uważa pan za najlepszego?

— Bardzo szanuję **Krysię Prońko**, ponieważ jest to pani, która potrafiła zadbać o to, aby niezależnie od czasu, który mija, pozostać sobą i zawsze śpiewać tak jak należy. Bardzo cenię **Czesława Niemena, Marek Śnieć** jest doskonałym gitarzystą... Musiałbym wymienić jeszcze kilka osób, które ze mną współpracowały, względnie ja z nimi. Nie chciałbym nikogo pominąć, nikogo obrazić...

— Dlatego nie pytam o najgorszych.

— Dla mnie nie ma najgorszych. Dla mnie jest **Krysia Prońko.**

— Pana piosenki są zupełnie inne niż większość współczesnych utworów. Są melodyjne, proste. Czasami aż za bardzo. Nie trzeba wysilać mózgu, żeby je zrozumieć. Chce się powiedzieć: mało ambitne...

— Sądzę, że ta prostota, która jest w tekstach, w moich piosenkach drzemie w nas wszystkich. Są ludzie, którzy wstydzą się ją okazać. Ja się tego nie wstydzę. Od długiego czasu pana twórczość nie jest prezentowana w radiu, TV. To bardzo smutne, że twórca nie jest prezentowany przed szeroką publicznością...

— Nigdy poprzez obiady, kolacje czy śniadania nie zabiegałem o to, aby moje piosenki „chodziły" na antenie. Uważam, że ci, którzy tak czynią, robią bardzo duży błąd. Wolę, żeby ludzie przyszli na mój koncert, aniżeli mieli mnie co dzień w radiu.

— Z koncertami omija pan duże miasta. Nie zawitał pan do Łodzi, Warszawy... Czyżby organizatorzy bali się, że w dużych aglomeracjach pana koncerty nie będą się cieszyły popularnością?

— Sądzę, że nie jest pan dobrze zorientowany w temacie. W tym roku Tomaszów Mazowiecki, Sieradz, Zduńska Wola, Wieluń i jeszcze kilka miejscowości były moją pierwszą trasą koncertową. Mój jubileusz, moje dwudziestolecie „grałem" w moim ukochanym mieście — Białymstoku. Natomiast w ubiegłym roku grałem w Krakowie, Warszawie, Olsztynie... Poza tym, społeczeństwo ma tyle problemów, iż nie sądzę, aby problem Janusza Laskowskiego interesował wszystkich.

— Związał się pan ostatnimi czasy z Akademickim Biurem Kultury i Sztuki Zrzeszenia Studentów Polskich „Alma-Art". Co spowodowało ten mariaż? Czyżby „stare" biura impresaryjne, takie jak natomiast mówienie o życiu, o pięknych sprawach, miłości, nawet o wsiadaniu do tramwaju nie jest wcale proste. Moje życie nie jest takie łatwe, piękne. Ja nie żyję w wiecznej euforii. We wszystkich moich tekstach odzwierciedlone jest życie każdego z nas. Ludzie w Polsce kształcą się, później uderza im do głowy magia tytułu i zapominają o tej prostocie.

Estrada czy Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe nie były zainteresowane współpracą z panem? A może „młode" biuro wiąże się z kim tylko można, aby zarobić na ambitniejsza działalność?

— Rzeczywiście od roku jestem związany z „Alma-Artem" w Białymstoku i jedynym wypłacalnym „Alma-Artem" jest właśnie ten białostocki. Janusz Laskowski przysparza wiele dywidend estradom, a w tym układzie „Alma-Artom", tak że nie sądzę, aby któryś z wymienionych powodów zaważył na tej współpracy. Pan powiedział, że żadna Estrada nie chce ze mną współpracować. Skoro pan tak powiedział, to musi pan być o tym przekonany. Mój telefon w domu często dzwoni...

— Przepraszam, nie jest zastrzeżony?!

— Owszem jest, i nie każdy może się dodzwonić, ale ludzie z branży wiedzą jak to zrobić i właśnie z Estrady jest najwięcej telefonów. Nie wiem skąd mogło się wziąć przekonanie, że nie jestem „kupowany" przez Estradę taka czy inna. Obecnie w Estradzie Kieleckiej szykuje się program pt. **„Sława Przybylska, Piotr Szczepanik i Janusz Laskowski"**, zobaczymy co z tego wyniknie.

— Kończąc naszą rozmowę chcę spytać nie o plany, a raczej o to, jak pan widzi swoją przyszłość.

— Przyszłość to mój syn, moja córka, żona i tylko z nimi wiążę swoje plany i przyszłość.

— Dziękuję.

Rozmawiał:
BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Kronika

WYDZIAŁ KULTURY KC PZPR I OGÓLNOPOLSKI ZESPÓŁ PARTYJNYCH PISARZY, zorganizowały w dniach 3 i 4 marca w Warszawie dwudniową **konferencję na temat współczesnej literatury polskiej — pn. „Czas historyczny i motywy pisarskich wyborów".**

Uczestnicy konferencji wysłuchali **kilkunastu referatów,** wygłoszonych przez **badaczy literatury i krytyków,** omawiających **najważniejsze zjawiska literackie w naszym kraju po II wojnie światowej.**

W obradach konferencji **uczestniczył sekretarz KC PZPR — Andrzej Wasilewski.**

TEODOR PARNICKI, obchodzący w tym miesiącu 80-lecie urodzin, przekazał rękopisy swoich **powieści Muzeum Literatury w Warszawie.**

Wśród nich znajduje się **rękopis jeszcze nie wydanej książki pt. „Kordoba z darów".**

PIĘKNY PREZENT od naszych wydawców otrzymały radzieckie kobiety.

W Związku Radzieckim ukazał się bowiem, w **języku rosyjskim bardzo poczytny wśród** naszych pań **magazyn „Świat Mody".**

Nakład jego **wynosi 150 tys.**

NA LITWIE wydano „Elementarz polski", zatwierdzony dla szkół przez Ministerstwo Oświaty Litewskiej **SRR.** Opracowali go **Halina i Czesław Szapiro, zilustrowały zaś litewskie plastyczki: Lima Ałuskiete i Ruta Baltakiene.**

OD CZERWCA br. nasza **telewizja emitować będzie najdłuższy serial** w dotychczasowej **jej historii — brazylijską „Wirginię".**

Liczy on 75 odcinków i nadawany będzie codziennie, przez 2,5 miesiąca.

W roli tytułowej zobaczymy popularną **w Polsce Lucelię Santos („Isaurę").**

Będzie więc znów o czym dyskutować w gronie najbliższych i toczyć spory w mess mediach.

W TYM ROKU OBCHODZONE BĘDZIE UROCZYŚCIE W ŁODZI, stulecie stałej **sceny teatralnej. Przewidziana jest z tej okazji specjalna sesja oraz wystawa.**

W MUZEUM ARCHEOLOGICZNYM I ETNOGRAFICZNYM w ŁODZI 11 bm. **otwarta została** interesująca **wystawa,** prezentująca **nowe nabytki muzealne z lat 1984—1987** — z dziedziny etnografii i numizmatyki.

MUZEUM SZTUKI W ŁODZI zaprasza na otwartą 10 marca br. **wystawę prac** (malarstwo i rysunki) **Stanisława Grabowskiego** (1901—1937).

„MISSA SOLEMNIS" („Msza uroczysta") — słynne **dzieło instrumentalno-wokalne Ludwika v. Beethovena — wypełniła programy koncertów oratoryjnych Filharmonii Łódzkiej** w dniach 11 i 12 bm. Zgromadziły one w Kościele Ewangelickim św. Mateusza liczne grono miłośników muzyki oratoryjnej.

Orkiestrę i chór **FŁ poprowadził** jej **dyrektor artystyczny Tomasz Bugaj. Jako soliści** wystąpili wybitni artyści polskich scen operowych i koncertowych: **Elżbieta Towarnicka** (sopran) **Jadwiga Teresa Stępień** (mezzosopran), **Jerzy Knetig** (tenor) i **Józef Frakstein** (bas).

ROMAN POLAŃSKI, w wywiadzie udzielonym paryskiemu dziennikowi „Le Figaro", **o twórczości Franza Kafki powiedział: „Cenię u Kafki przede wszystkim jego czarny humor. Już na początku mojej kariery uległem jego wpływom, przeczytałem go przypadkowo, jeszcze jako młody chłopak. Było to tak odmienne i odległe od literatury stalinowskiej, że doznałem wręcz szoku".**

W TURNIEJU JEDNEGO WIERSZA, zorganizowanym przez Spółdzielczy Dom Kultury „SEM" w Zgierzu, **główną nagrodę uzyskał Andrzej Arczewski** (za wiersz **„Pieśń wampirów"),** zaś **nagrodę** publiczności **podzielono między Ireneusza Przepiórskiego** oraz **Pawła Sitkowskiego (lat 9!).**

Szczególnie **serdeczne gratulacje** składamy **najmłodszemu laureatowi!**

AGNIESZKA HOLLAND realizuje we Francji film o księdzu Popieluszce, pt. **„Zabić księdza".**

Rolę tytułową zagra w nim **Christopher Lambert.** Jak powiedział on w wywiadzie dla czasopisma „Premiere", **nie będzie to film wojujący, lecz film wiary.**

W KALIFORNII, na atak serca, zmarł w wieku **86 lat, słynny kompozytor Frederick Loewe, twórca muzyki do „My Fair Lady", „Gigi"** i wielu innych **głośnych musicali.**

NA TRZYTYGODNIOWE TOURNEE po USA udał się kabaret „Pod egidą", z programem „Urodziny pana Janka".

Opracował: JAK

Ferie przyszło mi spędzać w domu. Było ciepło i słońce przez większość dni ogrzewało resztki zieleni, które pozostały z lata. Właściwie na prawie dwa tygodnie zamknęłam się w domu, nie dlatego by nic ciekawego nie działo się w mieście, ale miałam serdecznie dość wszelkiego rodzaju przejazdów przy pomocy komunikacji miejskiej (ścisku i tłoku), długiego oczekiwania na przystankach, niemożności kupienia biletu MPK a potem wędrówki przez tramwaj lub autobus w poszukiwaniu osoby życzliwej mającej jakiś bilecik w zapasie itp.

Narodziny

Postanowiłam więc, że nie ruszę się z domu. Zaprzestałam również kupowania gazet, nawet popularnej popołudniówki „Express Ilustrowany" w piątki, odcinając się w ten sposób także od telewizji. Nie dręczyły mnie natrętne telefony przyjaciół, bo po pierwsze nie mam telefonu (z wiadomych przyczyn), a po drugie większość znajomych wyjechała jednak nie zrażona brakiem śniegu.

Dni jeden po drugim mijały leniwie, odwrotnie proporcjonalnie do stron zaległych lektur. Długie spacery z psem zapewniły mi oprócz zdrowego ruchu na powietrzu mniej zdrową zwiększoną dawkę trutki z zanieczyszczeń. I pewnie wszystko do końca przebiegłoby w atmosferze pełni szczęścia, gdyby nie zdarzenie, w którym chcąc nie chcąc wzięłam udział.

Było to już ostatniego wieczora. Zamierzałam właśnie położyć się spać, gdy usłyszałam dobiegający nie wiadomo skąd krzyk. Struchlałam. Przypadłam do drzwi wejściowych i usłyszałam podniecone zamieszanie za nimi. W momencie, gdy właśnie zdecydowałam się je otworzyć rozległo się pukanie. Otworzyłam. Okazało się, że to sąsiadka z przeciwka. Powiedziała, że piętro wyżej zaczęła rodzić młoda kobieta i potrzebna jej pomoc oraz czy ja mam jakieś doświadczenie w tych sprawach. Stałam przez moment jak sparaliżowana nie mogąc zebrać myśli, ale ponieważ z zasady nie pozostaję obojętna postanowiłam działać. Poszłyśmy na górę.

W mieszkaniu młodych małżonków zebrało się kilka osób, wezwano pogotowie, a nawet któraś z osób pobiegła po mieszkającego w bloku obok lekarza. W źle oświetlonym pokoiku leżała na tapczanie młoda dziewczyna starając się jak najszybciej urodzić, by pozbyć się piekielnego bólu. Nikt z obecnych, w tym także i ja, nie wiedział jak jej pomóc. Wszystko co na ten temat wiedziałam i co mogła podsunąć mi pamięć to obraz kobiecego krocza z wyrżniętą główką noworodka z jakiegoś filmu fabularnego oraz obraz wrzeszczącego dopiero co narodzonego dziecka z filmu dokumentalnego. Żałowałam, że w ogóle się tu znalazłam. Matka natura zawiodła na całej linii.

Wreszcie pojawił się lekarz z sąsiedniego bloku i pomógł kobiecie. Dziecko urodziło się martwe. Do jego śmierci doprowadził przedłużający się poród.

Zimowe wakacje zakończyłam z poczuciem fiaska. Może gdybym wiedziała dokładnie „skąd się biorą dzieci" i jak im trzeba pomóc, to prawdopodobnie o jedno istnienie więcej byłoby kłopotów na tym świecie. Czy jednak powinnam winić tylko siebie, czy może kogoś kto odpowiedzialny jest za wykształcenie wielu milionów takich ludzi jak ja, a właściwie za ich niedokształcenie?

ANNA POLAKOW-NEJMAN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

MATKA TERESA... MALARKĄ

Znana także w Polsce **Matka Teresa z Kalkuty** okazała się również znakomitą malarką. Obraz autorstwa matki Teresy sprzedany został na aukcji w Bombaju za 500 tys. rupii (38 tys. dolarów). I to w towarzystwie 33 innych prac współczesnych malarzy Indii. Była to, co warto podkreślić, pierwsza w tym kraju aukcja zorganizowana przez słynną firmę **Christie's.**

A skoro o aukcjach mowa warto odnotować jeszcze jedną sensację o jakiej doniosła ostatnio prasa światowa. Otóż słynny londyński dom aukcyjny **Sotheby's** popełnił największą chyba w swojej historii pomyłkę. Sprzedał bowiem na licytacji, za 510 marek, „stary renesansowy obraz" za który później konkurencyjny **Christie's** otrzymał 1,12 mln marek! Po prostu, eksperci tego domu aukcyjnego nie zauważyli, że jest to **portret papieża Klemensa VII,** pędzla **Sebastiana del Piombo,** malarza, którego ocalały tylko nieliczne dzieła. Przez to „niedopatrzenie" poprzedni właściciel stracił ponad milion marek, a firma reputację. Aby ją więc ratować Sotheby's wyraził gotowość wyrównania straty. Czy przywróci ona dobre imię ekspertom?

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Roman Bugaj „Nauki tajemne w dawnej Polsce — Mistrz Twardowski" — 1100 zł (cena nominalna 380 zł), **A. Caycedo** „Tajemnice Joginów" (wyd. powielaczowe „Stowarzyszenia Buddystów Zen Czogie" w Polsce) — 500 zł; **Tadeusz Konwicki** „Kronika wypadków miłosnych" — 800 zł; **tegoż autora: „Mała Apokalipsa"** (wydanie powielaczowe, książka wydana w drugim obiegu, Zapis 10,1979 r.) — 1000 zł; **„Geniusze sztuki — Bosch"** (tzw. mały Bosch, druk w Jugosławii, KAW) — 3600 zł (cena nominalna 2600 zł); **Aistair Mac Lean** „H.M.S. Ulisses" — 1400 zł (cena nominalna 520 zł, hit giełdowy tygodnia); **„Encyklopedia powszechna PWN"** (4 tomowa) — 62000 zł; **Aleksander Stipczyński** „Wbrew wyrokowi losu" (PAX) — 600 zł (cena nominalna 350 zł); **J. W. Hall** „Japonia" (seria ceramowska PIW) — 2000 zł; **Waldemar Łysiak** „Kolebka" — 750 zł; **Bertolini Leutert „Atlas anatomii człowieka"** (3 tomy, wyd. „Mladinska Knijga, Jugosławia) — 18000 zł; **Kazimierz Pluta-Czachowski** — „Organizacja Orła Białego" — 600 zł, PAX (cena nominalna 420 zł;) **„Conan i inni"** (antologia fantastyki, wyd. powielaczowe) — 2000 zł; Witold Gombrowicz **„Dzienniki"** (3 tomy, wyd. Instyt. Literacki Paryż) — 15000 zł); „Koran" (2 tomy, edycja reprodukowana z wyd. z 1858 roku) — 12 000 zł; A. Milne „Chatka Puchatka" (2 tomy) — 600 (cena nominalna 400 zł); „Wielki słownik polsko-angielski i angielsko-polski (4 tomy) —20 000 zł; „Vilnius" (album fotograficzny o Wilnie, wyd. w Litewskiej SRR) — 4000 zł; **J. M. Roberts** — „Ilustrowana historia świata, cz. I i II — 7000 zł.

Fraszki

TADEUSZ FANGRAT

UPRAWCA

Nie sieje, nie orze
i żyje niezgorzej
on i jego franty —
uprawiając kanty.

O WIDZENIU

Czasami moc kłopotów
bywa na tym tle,
że coś jest źle widziane
przez widzących źle.

ŁATWIEJ

Łatwiej się urządzić,
aniżeli rządzić.

O MOCY

Nawet wielka moc truchleje,
zmiękczana przez przywileje.

(Tadeusz Fangrat — „Płochodnie" Wyd. Łódzkie 1982)

— Co to, to nie — odpowiedział Sasza — teraz nic wam już naprawiać nie będę, róbcie sobie sami!

— To przez ten separator, tak? — domyślił się Fiedia.

— A chociażby!

— Może wszystko jakoś się rozejdzie — niepewnie powiedział Fiedia.

Sasza drgnął. Znaczy, we wsi wiedzą, że sprawa wcale nie jest zakończona. Może się rozejdzie... A może się „nie rozejdzie". Wiedzą, że jeśli przyszyje się komuś łatkę „szkodnik", ten się nie wykręci...

— Myślę, że się rozejdzie — trochę bardziej pewnym tonem ciągnął swe rozważania Fiedia — separator działa, zawieźli go do ośrodka naprawczego, a tam powiedzieli, że gwint się starł, wyszło na twoje. I człek z niego niezły.

— Z kogo?

— Z Iwana Parfionowicza, naszego przewodniczącego, człek niezły, jest tu gospodarzem, też to trzeba zrozumieć. Wiewiórka odeszła, krowy padły, zboża nie przywożą, mężczyźni są werbowani na budowy, gospodarz się tutaj z babami. A baby za separator gardło mu poderżną, wymagają. No co, rzucił ci słówko, mogłeś ścierpieć, a ty honorem się uniosłeś.

— Dobra — przerwał mu Sasza — daj mi papierosów, zapałek, nalej nafty — będę szedł!

— No, Saszka, bądź człowiekiem, tam łańcuch się zsunął, nie mogę go założyć, potem wypijemy po kieliszku, mam wędzonego lipienia, czym ci co złego zrobił? Iwanowi Parfionowiczowi też powiedziałem: nie trzeba było tak, Iwanie Parfionowiczu, chłopak z niego miastowy, z Moskwy, chciał dobrze, a baby co — matoły! Wszystko się ułoży, Sasza...

— Dobra — zgodził się Sasza — pokaż mi ten swój rower.

Fiedia przeprowadził go przez sklep na dwór, wyniósł z chaty rower. Rozbierając go, rozbierając i składając z powrotem piastę, koła łańcuchowe, ogniwa łańcucha, nakrętki, Sasza przypomniał sobie rower, który miał w dzieciństwie. Stary damski rower, zmontowany z części różnych rowerów. Dobrze jeździł wtedy, stojąc na siodełku, jechał plecami do kierownicy, zeskakiwał do tyłu, przepuszczając rower pod sobą. Maksim Kostin biegał za nim po podwórku, po ulicy, Sasza dawał mu pojeździć, a nieraz go woził: Maks siedział na siodełku, a Sasza na stojąco pedałował — w damskich rowerach nie ma poziomej ramy.

Rower przypomniał Saszy letnisko nad Klaźmą. Wielu chłopców i dziewcząt miało rowery, i to nie z części, jak on, ale „Duxy", „Einfieldy". Kosztowały dużo, ale niebiedni ludzie tu mieszkali — „specjalni" lekarze, adwokaci. Chłopcy jeździli się kąpać nad Klaźmę, częściej jeszcze nad Uczę — była szersza. Ścieżka wiła się wzdłuż torów, to prowadziła w dół z nasypu, to wspinała się do samego torowiska, żwir rozpryskiwał się pod kołami, wiatr bił w twarz.

Pod wieczór letnicy zbierali się na stacyjce, przechadzali się czekając na moskiewski pociąg, eleganckie kobiety w powiewnych letnich sukienkach z głębokimi dekoltami wychodziły po mężów, tęgich mężczyzn w czesuczowych garniturach, z ciężkimi teczkami.

Sasza pojawiał się na peronie, prowadząc rower, czarnowłosy, obnażony do pasa, szeroki w ramionach, opalony jednolitą młodą opalenizną. Kobiety patrzyły nań, uśmiechały się, pytały: „Czyj jest ten czekoladowy chłopiec?" Było to przyjemne, rozkoszne, budziło lęk. Tylko słowem „chłopiec" czuł się dotknięty.

Wieczorami bawili się w chowanego na skraju lasu. Dziewczynka, nie pamięta jej imienia, szczuplutka, wysoka, długonoga, razem z nim, przytulała się do niego jakby niechcący. Sasza czuł jej gorące, suche ciało, chciałoby się przytulić je mocniej, ale się nie ośmielał, mówił ordynarnie: „Nie pchaj się, mało masz miejsca?".

Pożądanie zbudziło się w nim wcześnie, ale tłamsił je — to słabość niegodna mężczyzny, tak myślał wówczas, kiedy miał trzynaście lat. Chłopcy z podwórka cynicznie mówili o dziewczętach, kłamali, chwalili się, te rozmowy były mu wstrętne, nie bawił się w fanty z pocałunkami — to banalne, drobnomieszczańskie, człowiek powinien mieć inne, wyższe zainteresowania. Był dumny, nie chciał wydać się słaby, tchórzliwy. W szkole, na podwórzu uważany był za silnego, odważnego, nikt nie wiedział, ile go to kosztuje, co musi w sobie pokonać.

Odepchnął długonogą dziewczynkę i przylgnęła do Jaszy Raszkowskiego, Sasza do dziś pamięta jego imię, zgrabny chłopak ze znanej baletowej rodziny moskiewskiej. On też uczył się w szkole baletowej Teatru „Bolszoj", był o rok albo o dwa starszy od Saszy, miał wyścigowego „Duxa", wyróżniał się nim w grupie rowerzystów i kiedyś zaproponował, żeby pojechali kąpać się nie w Uczy, tylko w Klaźmie i znalazł miejsce, z którego można było skakać do wody.

Pojechali nad Klaźmę, zeszli z rowerów, rozebrali się, chłopcy zostali w kąpielówkach, dziewczynki w opalaczach, ale do wody skoczył tylko Jaszka — urwisko rzeczywiście było niezłe, strome, zwisało nad wodą, ale też bardzo wysokie — ze dwanaście metrów, dziewczynki nawet bały się tam stać, spoglądały w wodę, leżąc na skraju urwiska. Chłopcy nie odważali się skakać — jednak za wysoko. Jaszka skoczył na baczność, znikł pod wodą, potem wynurzył się, zamaszystymi ruchami podpłynął do brzegu, w miejscu, gdzie był niski i po stromej ścieżce wspiął się na urwisko. Dziewczynki z zachwytem patrzyły na niego i długonoga też patrzyła z zachwytem. Jaszka Raszkowski był chłopcem dobrze wychowanym, nie chełpił się swoim skokiem, nie stawiał się, nie podjudzał do skakania, położył się na piasku, wystawił plecy do słońca.

Sasza skakał do wody z pomostów, z łódki, ale z wieży albo z wysokiego urwiska nigdy. Ale przecież Jaszka skoczył, dlaczego on nie może? Trzeba skoczyć, trzeba pokonać strach. Dobrze pływa, dobrze nurkuje, najważniejsze — to być wyprostowanym, wyciągnąć się jak struna, nie upaść na brzuch ani na plecy, wejść w wodę czubkami palców. Przemawiał przez niego nie duch rywalizacji, lecz dążenie do przezwyciężenia swej nieśmiałości. Jeśli nie skoczy, będzie się męczył i wcześniej czy później przyjdzie tu, skoczy. Więc lepiej teraz.

Wstał, przeciągnął się...

— Trzeba się zamoczyć...

Poszedł na skraj urwiska i skoczył, wszedł głęboko w wodę, zrobił kilka prędkich, pospiesznych ruchów, żeby się wynurzyć, znalazł się na powierzchni, położył się na plecach, złapał oddech... Z góry, z urwiska patrzyli na niego, i Jaszka patrzył, i długonoga...

Te wspomnienia z dzieciństwa jeszcze bardziej zatruwały mu serce, po co ćwiczył wolę, po co kształtował charakter?

Ktoś go zawołał, zaraz poznał głos Zidy, obejrzał się, stała na ganku.

— Byłam u matki Fiedi, przyniosłam jej lekarstwo.

Sasza wiedział, że Zida lekarstwa przywozi z Kieżmy, leczy we wsi, pomaga, jak może, wiedział też, że uczniowie opuszczają zajęcia, albo w ogóle rzucają szkołę, a w samej szkole brakuje podręczników, zeszytów, nawet ołówków. Zida próbowała wywalczyć coś w Kieżmie, a jeśli nic nie wywalczyła, obchodziła się tym, co miała, chodziła do rodziców, namawiała na powrót dziecka do szkoły, czasem jej się to udawało, czasem nie. Oczywiście, dzielna, wytrwała, nieulękła, ale na co to jej, po co miota się z dobrej woli w tej głuszy?

— Dlaczego nie przychodzisz? — cicho spytała Zida.

— Nastrój mam do luftu.

— Wpadnij, Saszeńka, stęskniłam się...

— Zobaczą — nie wyjdzie ci to na dobre. Myślisz, że nie wiedzą, dla kogo nocą lampę palisz?

— Nie będę zapalać światła. Przyjdź, jak się ściemni. Usmażę świeżej ryby, placków napiekę.

Jej bliskość, jej głos, znajomy zapach jej tanich perfum poruszyły go.

— Wypiję z Fiedią, jak przyjdę pijany?

— Jaki będziesz, taki przyjdź.

— Nie rozmyślaj o tej głupiej historii, nie dręcz się — mówiła Zida — Alfierow przyszedł do ośrodka naprawczego, powiedział, żeby naprawiono separator, zrobili to jeszcze tego samego dnia. On sam nie chce robić z tego żadnej sprawy.

— Skąd wiesz?

— Opowiedział mi dyrektor ośrodka naprawczego, przyjaźnię się z jego żoną.

Wymyśliła to, żeby go pocieszyć. Możliwe, że Alfierow nawet zachodził do ośrodka remontowego, interesował się separatorem, ale o jak najszybsze naprawienie go prosiła ona sama. Rzekł do Zidy:

— Rozwikła się ta historia, wymyślą inną. Znajdą coś.

— Wszystko co się tu z tobą zdarzyło, to przypadek, nigdy tu czegoś takiego nie było.

— Słuchaj — powiedział nagle Sasza — a twój znajomy dyrektor nie może ściągnąć mnie do ośrodka remontowego? Na pewno potrzebują ludzi.

Uniosła się na łokciu, popatrzyła na niego, jej twarz była tuż tuż, w świetle księżyca, wpadającym przez małe okienka, wydawała się nienaturalnie biała.

— Chcesz się przenieść do Kieżmy?

— Moja droga — powiedział Sasza — przecież muszę coś robić, z czegoś żyć.

Opadła na poduszkę, milczała. Nie chce, żeby przeniósł się do Kieżmy, boi się go stracić. Głupiutka, i tak go straci. Nawet, jeżeli pomyślnie odbędzie wyrok, to i tam, na wolności, nie ma prawa z nikim wiązać swojej przyszłości. Będzie na nim ciążyła karalność, zostanie na zawsze w sferze zainteresowania Djakowów, czy może wziąć na siebie odpowiedzialność za los jeszcze jednej osoby, jeszcze jednego istnienia, skazać Zidę na kłopoty i poniewierkę. Będzie musiał zgubić się, rozpłynąć, ukryć się, nie pozostawiając śladu, zerwać wszelkie kontakty, jest napiętnowany. Powinien pozostać sam. Nie wiadomo, czy uda mu się uchronić własne życie, ale dwojga nie uda mu się uchronić na pewno.

— Żartowałem. Nie wstawiaj się za mną. I tak nie przyjmą do pracy. Przy tym w Kieżmie miałbym więcej okazji, żeby wpakować się w jakąś historię. Tam wszystko będą zwalać na mnie.

Zida w ciemności znalazła jego głowę, pogładziła.

— Nie wpadaj w rozpacz, jesteś młody, wszystko przed tobą. Ile pozostało? Dwa lata.

— Dwa lata i cztery miesiące — uściślił Sasza.

— Szybko przelecą, Saszeńka. Będziesz wolny, wyjedziesz.

— Dokąd? — spytał Sasza. — Do Moskwy mnie nie puszczą. To oznacza dalszą poniewierkę, przy tym jeszcze z artykułem pięćdziesiątym ósmym na karku.

— Może powinieneś gdzieś wyjechać, na przykład do nas, pod Tomsk...

Poczuł w jej słowach jakieś niedomówienie.

— I co to da?

— Tam cię nie znają... — odpowiedziała Zida i znów poczuł niedomówienie: nie decyduje się od razu powiedzieć tego, co chce powiedzieć.

— Widzisz, w paszporcie moje nazwisko będzie napisane wyraźnie i będzie wpisana adnotacja o karalności. Robi się to tak: w paszporcie w rubryce „Na podstawie jakich dokumentów został wydany" wpisuje się: „Na podstawie punktu II Uchwały Rady Komisarzy Ludowych z dnia tego a tego..." — a jest to uchwała o systemie paszportowym i jego ograniczeniach. W ten sposób, gdziekolwiek bym pojechał, do Tomska czy do Omska, jestem już karany, rozumiesz?

— Rozumiem, ale paszport można zagubić.

Roześmiał się.

— Jeśliby to było takie łatwe, wszyscy, którzy mieli wyroki, już dawno pozbyliby się i paszportów, i karalności. Jak dotąd, sądzę, że nikomu to się nie udało. Przy wydawaniu nowego paszportu zwracają się z pytaniem, gdzie trzeba i wszystko się wyjaśnia.

— Mam tam znajomych, wszystko mogą zrobić.

— Żyć z nielegalnym, fałszywym paszportem, nie zamierzam.

— Wszystko będzie zgodne z prawem, tylko trzeba zmienić nazwisko.

— Jak to? Ciekawe?

Zida znowu uniosła się na łokciu, nachyliła się nad nim.

— Jeśli po zakończeniu zesłania wyjedziemy stąd i tam się pobierzemy, to zgodnie z prawem możesz przyjąć moje nazwisko i wydadzą ci nowy paszport. I w rubryce, o której mówisz, będzie wpis: „Wydany na podstawie aktu zawarcia związku małżeńskiego". Będziesz nie Pankratowem, ale Ischakowem, też nieźle.

— Znaczy, będę muzułmaninem — zaśmiał się Sasza — a do obrzezania mnie nie zmuszą?

— Poważnie ci mówię. Mam tam pewnych ludzi.

— Teraz to wymyśliłaś?

— Całe życie spędziłam na Syberii i wiem, że tak robią. Nie narzucam się, po prostu rozważam, jak najlepiej wybrnąć z tej sytuacji. A potem, jeśli chcesz, możemy się rozwieść, zostaniesz Ischakowem z czystym paszportem. Powiesz mi tałak.

— Co to znaczy tałak?

— Po tatarsku — rozwód. Kiedy mąż wypędza żonę, trzy razy wymawia słowo tałak.

Biedna Zida, myśli, że czeka ją szczęście, ale szczęścia nie czeka ni jej, ni jego. Proponuje mu wariant zajęczego życia, pod cudzym nazwiskiem, z cudzym paszportem. I jeśli gdzieś kiedyś spotka znajomego, to będzie musiał mu wytłumaczyć, że już nie jest Pankratowem, tylko Ischakowem, że on, proszę państwa, wyszedł za mąż. I jeśli mimo wszystko Djakowowie dobiorą się do niego, to będą naigrawać się z niego i triumfować: próbowałeś ukryć się za babską spódnicą, nie, przyjacielu, przed nami nigdzie się nie ukryjesz. I nie przypadkiem żyjesz z fałszywym paszportem, uczciwemu obywatelowi radzieckiemu nie jest potrzebny fałszywy paszport, uczciwy obywatel radziecki nie zmienia nazwiska.

Ale nie chciał tłumaczyć Zidzie tego wszystkiego. Po co ją ranić.

— Widzisz, Zida — powiedział Sasza — przy przyjmowaniu do pracy trzeba wypełniać ankietę, pisać życiorys, gdzie się urodził, gdzie się uczył, kim są rodzice i rodzice rodziców. Nigdzie nie uda się schować Pankratowa. Zaczną pisać o potwierdzenie i wszystko się wyda.

Nalegała.

— Wyjedziemy do jakiegoś odległego rejonu, popracujesz jako kierowca albo mechanik, oni nie wypełniają ankiet, nie piszą o potwierdzenie.

— Nie — powiedział Sasza — dalsza rozmowa nie ma sensu. Z tym nazwiskiem się urodziłem, z tym nazwiskiem umrę. Żadnych zmian nie będzie. (...)

8.

Gdyby Waria pechowo wyszła za mąż, Nina wsparłaby ją, broniła, pocieszała. Ale to, co się stało, to nie po prostu pech, to zdrada tego wszystkiego czystego, szlachetnego, na czym się wychowywały, kiedy żyli ich rodzice.

Kiedyś spotkawszy Ninę na podwórzu, Jura Szarok powiedział:

— Twoja siostra zeszła się ze złodziejem.

Nina nie lubiła Szaroka. Ale Lena Budiagina znowu jest z nim, nie chciała się z nim kłócić z powodu Leny. I mimo wszystko ostrzeżenia Jurki Szaroka nie są jej potrzebne.

— A dlaczego złodziej jest na wolności?

— Będzie siedział jak przyjdzie czas — obiecał Szarok.

Czy Jura powiedział prawdę, czy nieprawdę, ale ten, tak zwany mąż Warii to człowiek bez wątpienia podejrzany, z innego świata, do którego Nina czuła wstręt, świata restauracji, hazardzistów, spekulantów i żulików. Ona i Waria są po przeciwnych stronach barykady. I nie przypadkiem to Sofja Aleksandrowna udzieliła jej schronienia — Sofja Aleksandrowna też jest po przeciwnej stronie barykady. — Nie może przebaczyć władzy radzieckiej zesłania Saszy. Ale nawet jeśli jest to pomyłka, to władza radziecka nie ma nic do tego, pomyłkę może popełnić każda władza. I kiedy w kraju trwa ostra walka klasowa, kiedy partia zmuszona jest do likwidacji resztek wrogich partii, frakcji i opozycji, pojedyncze pomyłki są tym bardziej nieuniknione.

A z Saszą — jaka to tam znów pomyłka? Lena Budiagina na podstawie informacji Szaroka powiedziała jej w wielkim sekrecie, że w instytucie, w którym studiował Sasza, istniała organizacja antyradziecka, użyli Saszę do swoich celów, on ich bronił i aresztowano go razem z nimi. Prawda, dali mu trzy lata zesłania, doszli, że to nie on był przywódcą, ale nie mógł nie ponieść konsekwencji, tym bardziej, dawał do zrozumienia Szarok, że zachowywał się wyzywająco podczas dochodzenia, nie przyznawał się do błędów, liczył na wysoko postawionego wujka — Riazanowa. Ale interwencja Riazanowa, tak jak i interwencja Iwana Grigorjewicza Budiagina, nie pomogła.

Sofja Aleksandrowna powinna się z tym pogodzić, jest dorosłym człowiekiem, powinna zrozumieć. Ale ona znienawidziła wszystkich, chce, żeby i innym było źle, przyjąwszy Warię z jej hochsztaplerem, rzuciła wyzwanie nie tylko Ninie, ale i wszystkim przyjaciołom Saszy.

Zresztą, jeśli popatrzeć na sprawę uczciwie, Waria wybrała tę drogę jeszcze w szkole: chłopcy, szminka do ust, ciuchy. Nina nie mogła poradzić sobie z nią już wówczas, nie może i teraz. Znaczy, tak miało być! Teraz, cokolwiek się stanie, niech się z tego wykręca sama. Na zameldowanie swojego mężusia niech nie liczy, metraż ma akurat na dwie osoby. Dla złodzieja, dla hochsztaplera, dla bilardzisty nie poświęci nawet centymetra. Niech mieszkają jak chcą i gdzie chcą. Niewątpliwie to w sprawie zameldowania Waria raczy teraz do niej przyjść.

Ale Waria raczyła przyjść w całkiem innej sprawie. Potrzebne są jej dane do wypełnienia ankiety, a ankieta potrzebna jest do podjęcia pracy.

Waria do pracy?! To nieoczekiwane! Dziwne! Nie widać w tym związku z jej dotychczasowym trybem życia.

— Gdzie podejmujesz pracę, jeśli to nie tajemnica?

— To nie tajemnica. Idę do biura projektów, projektującego hotel „Moskwa".

Nina wszystko rozumiała: nie z lekkiego życia idzie do pracy, widać, kiepsko sprawy się mają z mężusiem. Ale nie wypytywała. Jak będzie trzeba, sama opowie.

— Jakie dane są ci potrzebne?

Waria podała jej ankietę, wskazała punkt 27: „Informacje o bliskich krewnych..."

Napisz mi na kartce, a ja potem wpiszę do ankiety.

Usiadła, powiodła wzrokiem po pokoju.

Nowa była tylko wisząca na ścianie fotografia Maksima Kostina. Wojskowa bluza, romby w pętlach, życzliwa, prosta, łagodna twarz. Znaczy, że Nina koresponduje z Maksem. Wyszłaby za niego za mąż, przecież pasują do siebie. Z czasem stałaby się matką-komendantową, to też do niej pasuje.

Wszystko pozostałe w pokoju pozostało tak, jak przedtem. Na półce bibliotecznej obok encyklopedii dla dzieci fotografia w ramce — tata i mama w młodości; stół z łuszczącą się ceratą; przydeptane pantofle pod łóżkiem Niny, a na jej, Warii, łóżku, jaskrawa chusta na poduszce, obok brązowy atleta z żarówką w wyciągniętej muskularnej ręce. Do Sofii Aleksandrowny Waria nie wzięła nawet bielizny pościelowej i swojego pateonu — nie jest jej tam potrzebny. I chociaż prędko okazało się, że wielu rzeczy jej brakuje, wolała kupować na nowo. Przyszła tylko raz — po świadectwo ukończenia szkoły, Ninki wtedy nie było w domu i chwała Bogu, że jej nie było.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

ANATOLIJ RYBAKOW

(39)

Dzieci Arbatu

Jak preparowano „sprawę komsomolską” (1)

Szczerze wierzyli w nauki „wodza światowej rewolucji”. Rzetelnie wykonywali swoją pracę. Nie mogli przypuszczać, że spotka ich taki los, a niektórych koniec w niesławie „wroga ludu”.

W marcu 1936 r. kierowniczka wydziału Komitetu Obwodowego Komsomołu w Leningradzie, Walentina Pikina (pracowała tam jeszcze za czasów Sergieja Kirowa) na X Zjeździe WLKZM została wybrana sekretarzem KC Komsomołu. W Moskwie pracowała pod kierownictwem Aleksandra Kosariewa, razem z Tanią Wasiljewą, Żenią Fajnbiergiem, Pawłem Gorszeninem, Dimitrijem Łukjanowem, Pietią Wierszkowem. Praca była ciekawa i pochłaniała ją bez reszty.

Rok 1937.

3 marca.

Mamy dziesiątki tysięcy zdolnych i utalentowanych ludzi. Trzeba tylko ich znać i w porę awansować, aby nie utknęli w starym miejscu i nie zaczęli tam gnić. Szukajcie a znajdziecie — mówił Józef Stalin na posiedzeniu KC WKP(b).

21 marca.

— *W walce z wrogiem rewolucji o wszystkim decyduje przygotowanie polityczne* — oświadczył Andriej Żdanow na naradzie aktywu partyjnego w Leningradzie.

21 lipca Józef Stalin wezwał sekretarza generalnego KC WLKZM Aleksandra Kosariewa oraz sekretarzy Walentinę Pikinę i Pawła Gorszenina.

W gabinecie znajdował się Nikołaj Jeżow. Józef Stalin zarzucił Aleksandrowi Kosariewowi, że Komsomoł nie pomaga organom NKWD w demaskowaniu wrogów.

— *Opowiedzcie no, Nikołaju* — zwrócił się do Jeżowa — *jak toczy się w Komsomole walka z wrogami?*

Nikołaj Jeżow otworzył teczkę.

— *W tych dniach w Saratowie aresztowano I sekretarza Komitetu Obwodowego WLKZM Michaiła Nazarowa, członka organizacji kontrrewolucyjnej.*

Odczytał „zeznania” Michaiła Nazarowa.

— *A wy mówicie, że nie mamy wrogów!* — wykrzyknął Józef Stalin.

— *Pracowników Komsomołu aresztuje NKWD* — zdecydował się na odpowiedź Aleksander Kosariew. — *A więc to NKWD ma kompromitujące materiały. KC Komsomołu nie dysponuje materiałami tego rodzaju.*

— *Towarzyszu Stalin* — powiedziała Walentina Pikina — *ja dobrze znam Nazarowa. W Leningradzie byliśmy w tej samej komsomolskiej organizacji. Ponadto niedawno byłam na Plenum Komitetu Obwodowego WLKZM w Saratowie. Wywiozłam korzystne wrażenie. Cóż takiego się stało, że Nazarow przeszedł nagle do obozu wrogów ludu?*

Nikołaj Jeżow milczał.

— *Nie chcecie pokierować tą pracą* — stwierdził Józef Stalin. Ogłuszeni i przybici weszli do ogrodu Aleksandrowskiego. Aleksander Kosariew palił papierosy, jeden po drugim.

— *Zupełnie nie mogę zrozumieć* — powtarzał, zwracając się do Pikinej i Gorszenina — *skąd pojawiło się u nas tylu wrogów?*

Rok wcześniej przedstawiał na Zjeździe Komsomołu referat sprawozdawczy. Józef Stalin przeglądał tekst i nie wniósł żadnej poprawki. Gdy niedawno opuszczali jego gabinet, patrzył na nich podejrzliwie, spode łba ciężkim wzrokiem. Aleksander Kosariew szczerze wierzył wodzowi, każdemu jego słowu i miał wrażenie, że Józef Stalin odpłacił mu wzajemnością. Tej głębokiej wiary w wodza nie zdołało zachwiać nawet nieoczekiwane aresztowanie rodzonego brata jego żony — Pawła Nanejszwili sekretarza Komitetu Rejonowego WKP(b) w Kopylsku na Białorusi. Oskarżono go o... zorganizowanie zamachu na Józefa Stalina. Gdy wiadomość ta dotarła do Aleksandra Kosariewa, wściekły wyrzucił żonie:

— *Jak Paweł mógł? On przecież jest wrogiem, jest winien, a ty masz czelność przez niego płakać?*

Teraz pytał Marię:

— *Co robić? Stalin żąda ludzi, żąda głów. Kogo mam podać? Gdzie są wrogowie?*

Jaki był Nikołaj Jeżow.

Nikołaj Jeżow urodził się w 1895 roku w Leningradzie. Od 14 roku życia — robotnik. Od marca 1917 — członek partii. Do roku 1921 w Armii Czerwonej jako komisarz różnych oddziałów. Od roku 1922 był sekretarzem Komitetu Gubernialnego WKP(b) w Semipałatyńsku. W latach 1929-1930 był zastępcą Komisarza Ludowego do spraw rolnictwa. W latach 1930-1934 był kierownikiem wydziału dystrybucji i wydziału kadr KC WKP (b). Na XVII Zjeździe WKP(b) został wybrany członkiem KC. Od roku 1935 był sekretarzem KC WKP(b), a następnie komisarzem ludowym spraw wewnętrznych.

Przed XVIII Zjazdem WKP(b) w 1939 r., po tym, jak go Józef Stalin gwałtownie skrytykował, nie znalazł się na liście wybieranych w skład Biura Politycznego KC WKP(b). Został ministrem transportu wodnego. 22 stycznia 1939 roku w „Prawdzie” pojawiło się ostatnie zdjęcie Nikołaja Jeżowa siedzącego obok Ławrientija Berii w prezydium akademii z okazji 15 rocznicy śmierci Włodzimierza Lenina. Wkrótce potem Nikołaj Jeżow został aresztowany.

— *Do gabinetu oficera śledczego wszedł chudy, zarośnięty, w wypłowiałej i wyświechtanej bluzie żołnierskiej, bez naszywek i paska, zapewne wielokrotnie już wcześniej używanej. Poprosił o zezwolenie na zapalenie papierosa. Na pytania odpowiadał opieszale i niechętnie. Na uwagę:* — Na procesie zjednoczonego bloku prawicowo-trockistowskiego stwierdzono, że ludzie Bucharina usiłowali obywatela otruć, po uprzednim nasyceniu zasłon w gabinecie rtęcią rozpuszczoną w kwasie. — *Nikołaj Jeżow uśmiechnął się:*

— Kto ze mną pracował, ten wie, co oznaczało zwykłe nawet wejście do mojego gabinetu. To o zasłonach wymyśliłem, żeby lepiej wyglądać w oczach Stalina.

Później Nikołaj Jeżow oświadczył:

— Nawiasem mówiąc, wiem dobrze, o co i jak tutaj pytają.

Zażądał papieru i ołówka i poprosił, aby odprowadzono go do celi, gdzie musi „pomyśleć”...

Na mocy wyroku Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego ZSRR, za nieuzasadnione represje skierowane przeciwko narodowi radzieckiemu, 1 kwietnia roku 1940 Nikołaja Jeżowa stracono.

Rok 1937.

20 lipca prokurator ZSRR Andriej Wyszyński „*za skuteczną pracę mającą na celu umocnienie rewolucyjnej praworządności i organów prokuratury nagrodzony został Orderem Lenina*”.

21-28 sierpnia obradował KC WLKZM. W podjętej uchwale stwierdzono:

„*Wina KC WLKZM, sekretarzy KC polega na tym, że pominęli wskazówki partii, zalecające podwyższenie bolszewickiej czujności, okazali niedopuszczalną niefrasobliwość polityczną i przeoczyli specyficzne metody wywrotowych działań wrogów ludu w Komsomole, związane z drobnomieszczańskim rozkładem zasad współżycia...*”

29 sierpnia „Prawda” opublikowała artykuł pt. „Leninowski Komsomoł wiernym pomocnikiem partii, w którym stwierdzono m.in.:

„*Zażarci wrogowie ludu Sałtanow, Łukjanow, Fajnberg, Bubiekin, Andriejew i inni, wykorzystując idiotyczną chorobę ślepoty politycznej szeregu czołowych pracowników Egzekutywy KC WLKZM a przede wszystkim tow. Kosariewa, wykonywali swoją brudną, podłą robotę...*”

3 października Aleksander Kosariew wrócił z Doniecka i Charkowa po skontrolowaniu pracy tamtejszych organizacji komsomolskich i napisał notatkę do Józefa Stalina. W notatce tej pisał m.in.:

„*Samoubezpieczenie się jest korzystne dla wrogów partii dlatego, że na podstawie zwykłych pogłosek, bez rozpatrzenia sprawy, bez właściwej kontroli, usuwają z naszych szeregów uczciwych ludzi i tym samym skierowują ich gniew przeciwko nam. Odmowa rozpatrzenia przedstawianych oskarżeń, jaka miała miejsce w Charkowie, korzystna jest tylko dla wrogów naszej partii...*”

Wspomina Walentina Pikina.

— *Był to początek pogromu. Dzisiejsza młodzież nie żyła na szczęście w tamtych czasach i dlatego trudniej jej będzie w pełni zrozumieć, jakiej odwagi i opanowania wymagał ten list Aleksandra Kosariewa do Józefa Stalina. Zamiast kajać się publicznie z przestrachu, jak to niektórzy robili, smarować donosy, Kosariew rzucił wyzwanie samemu „Wodzowi wszystkich narodów”! Tym samym podpisał na siebie wyrok śmierci. Zapytacie dlaczego go wówczas nie aresztowano? Wiele się nad tym zastanawiałam i teraz już jestem absolutnie pewna, że Józef Stalin wymyślił obszerny i nader konkretny plan likwidacji kierownictwa WLKZM. Była to „sprawa komsomolców”. Przed wieloma pojawiła się konieczność dokonania najtrudniejszego w życiu wyboru.*

Takiego wyboru dokonała instruktorka KC WLKZM Olga Miszakowa. Wysłaliśmy ją do Czuwajszji na obwodową konferencję Komsomołu. Olga Miszakowa zażądała odwołania konferencji twierdząc, że zebrali się za wcześnie, bez uprzedniego wykonania zadań związanych z „rozgromieniem wrogów”. Spowodowała usunięcie z Komsomołu 2 sekretarzy Komitetu Obwodowego. Nie pomogła uchwała Komitetu Obwodowego WKP(b), potępiająca zachowanie się Olgi Miszakowej. Do nas, do KC WLKZM posypały się skargi.

Rok 1938.

8 marca odbyło się posiedzenie Egzekutywy KC WLKZM. W podjętej uchwale stwierdzono m.in.:

„*Podkreślamy, że... Miszakowa popełniła poważne błędy, na skutek czego uczciwi, oddani partii ludzie, zaliczeni zostali do grona wątpliwych politycznie, a czasem wręcz do grona popleczników wrogów ludu*”.

Pozostawiono Miszakową w aparacie, ale przesunięto do innej pracy.

Kto chciał zniszczyć Leninowski Komsomoł?

17 marca odbyło się na Kremlu przyjęcie z okazji powrotu polarnej ekspedycji Iwana Papanina.

Wspomina Maria Nanejszwili, wdowa po Aleksandrze Kosariewie:

— *Byliśmy z Szaszą zaproszeni na to wspaniałe przyjęcie. Siedzieliśmy przy różnych stołach. Toasty, nie wiedzieć czemu wygłaszał Wiaczesław Mołotow. Wyróżnionym było nie tylko bardzo miło, ale jednocześnie otrzymywali przebaczenie. Rytuał przewidywał, że po toaście należało podejść do Józefa Stalina i trącić się z nim kielichem.*

Pamiętam, jak przejął się Siemion Budionnyj, gdy Mołotow zaczął o nim mówić. W tych dniach krążyły przecież po Moskwie uporczywe pogłoski, że Budionnyj został aresztowany.

Potem Mołotow zaczął nagle mówić o Aleksandrze Kosariewie. Byłam porażona. Wielu towarzyszy Saszy znajdowało się już za kratkami. Wiaczesław Mołotow, gdy mówił o Kosariewie miał chyba największe natchnienie: zdrowie naszego utalentowanego, wielce obiecującego! Sasza podszedł do Józefa Stalina. Trącili się. Stalin objął go i pocałował. Aleksander Kosariew, wśród oklasków, powrócił na swoje miejsce. Mój Boże, minęło pół wieku a ja ciągle mam przed oczami jego bladą, wzburzoną twarz. Podszedł do mnie:

— Masza, proszę cię, jedźmy do domu!

Po powrocie Sasza powiedział:

— Wiesz, co mi Stalin szepnął na ucho? „Jeżeli zdradzisz — zabiję!”

— *Ależ Sasza, przecież nie zamierzasz go zdradzić? Co cię tak wzburzyło?*

— Widzisz, Masza — *powiedział posępnie* — NKWD może bez problemu przekształcić sekretarza generalnego WLKZM w zdrajcę Ojczyzny.

Przywrócił mi poczucie rzeczywistości. Niemal codziennie z naszej klatki zabierano ludzi. Pewnego ranka portier szepnął mi na ucho:

— Pani Mario, wie pani, nie ma już kogo pilnować, w naszej klatce zostały zaledwie trzy rodziny.

Sasza był zupełnie pozbawiony obłudy, jak myślał — tak działał. Nie był konformistą. W 1936 roku wrócił kiedyś z Kremla na daczę z gościem Mirem Bagirowem. Jak zwykle w takich wypadkach wspólnie z mamą nakryłam do stołu. I nagle Sasza wstał i wzniósł toast:

— Piję za prawdziwie bolszewickie kierownictwo Zakaukazia, to, którego teraz nie mamy!

Zamarłyśmy z mamą. Przecież już od czterech lat sekretarzem Zakaukaskiego Komitetu WKP(b) był Ławrientij Beria. Bagirow milcząc wypił. A po dwóch miesiącach, korzystając z okazji Ławrientij Beria zapytał Aleksandra Kosariewa:

— Sasza co ty masz przeciwko mnie? Czy naprawdę jestem złym przywódcą?

Kim był Mir Dżafar Bagirow?

Mir Dżafar Bagirow urodził się w 1896 roku. Był członkiem partii od marca 1917. W roku 1920 był zastępcą przewodniczącego Komitetu Rewolucyjnego obwodu karabachskiego. Był komisarzem wojskowym, przewodniczącym trybunału wojskowego dywizji azerbejdżańskiej. W latach 1921—1930 przewodniczył organom spraw wewnętrznych Azerbejdżanu. Od roku 1933 był pierwszym sekretarzem KC KP Azerbejdżanu i Komitetu Miejskiego WKP(b) w Baku. W roku 1955 Mir Dżafar Bagirow został skazany na rozstrzelanie.

Dalej trwał rok 1938.

7 października Olga Miszakowa napisała do Józefa Stalina podanie ze skargą na Aleksandra Kosariewa i innych członków Egzekutywy KC WLKZM. W rok później na XVIII Zjeździe WKP(b) Olga Miszakowa stwierdziła: — „*Za udział w zdemaskowaniu wrogów ludu w Czuwaszji, banda Kosariewa zorganizowała na mnie wściekłą nagonkę.*

29 października „Prawda” opublikowała artykuł pt. „Komsomoł ma dwadzieścia lat”, w którym m.in. stwierdzono:

„*Cały naród cieszy się z sukcesów Komsomołu. Sukcesy te byłyby jednak bardziej znaczące i wszechstronne, gdyby KC WLKZM nie popełnił w ostatnim czasie poważnych pomyłek w sprawie... oczyszczania Komsomołu z wrogich elementów*”.

19—22 listopada obradowało zwołane na wniosek Józefa Stalina Plenum KC WLKZM, na którym obecni byli członkowie Biura Politycznego KC WKP(b).

„*Plenum wysłuchało i przedyskutowało referat tow. M. Szkirjatowa, poświęcony wynikom wyjaśniania sprawy podania tow. O. Miszakowej i sytuacji w KC WLKZM. (...) Plenum usunęło tow. A. Kosariewa, S. Bogaczowa, W. Pikinę ze stanowisk sekretarzy KC WLKZM, wycofało tow. Wierszkowa ze składu KC WLKZM za bezduszno-biurokratyczny i wrogi stosunek do uczciwych pracowników Komsomołu, usiłujących wykryć niedociągnięcia w pracy KC WLKZM i za rozprawienie się z jednym z lepszych pracowników Komsomołu (sprawa tow. Miszakowej)*”.

Wspomina Walentina Pikina.

— *Mniej więcej na tydzień przed Plenum zaczęto mnie urabiać”. Najpierw Andriejew, sekretarz KC partii, potem Miszakowa.*

— Radzę wam Walentino odciąć się od Kosariewa, bo inaczej będzie źle.

Na plenum Józef Stalin od razu wziął w obronę Miszakową. Już nie pamiętam, który, zdaniem Stalina, z mówców zbyt łagodnie napiętnował mówiąc, że w działalności Komsomołu „jest jeszcze wiele błędów”. Józef Stalin natychmiast rzucił gniewnie z miejsca:

— A może to jest system, a nie błędy? Coś za dużo było błędów po tym wszystkim co się stało. Już dwa lata szkodnictwo jest likwidowane, a błędów ciągle jest bardzo dużo. Czy nie ma w tym systemu?

Broniłam Kosariewa i uchwały Egzekutywy naszego KC. Andriej Żdanow określił moje wystąpienie jako „oportunistyczne”, Aleksander Kosariew mówił krótko:

— Czuję się absolutnie spokojny dlatego, że moje sumienie jest czyste. Nigdy nie zdradziłem ani partii, ani narodu radzieckiego. To właśnie powinienem oświadczyć.

Wyszliśmy już bez funkcji.

Kim była Olga Miszakowa?

Olga Miszakowa urodziła się w 1906 roku. Członkiem partii była od roku 1937. W latach 1937—1938 była instruktorką w wydziale organizacyjnym KC WLKZM, a następnie sekretarzem KC WLKZM. Do roku 1956 pracowała w aparacie partyjnym.

Po rehabilitacji Walentina Pikina pracowała w Komitecie Kontroli Partyjnej przy KC KPZR. Los ponownie zetknie ją z Olgą Miszakową. Do KKP napłynęło dziesiątki podań, w tym i zespołowych, z żądaniem wykluczenia Olgi Miszakowej z KPZR. W obecności Walentiny Pikinej, na Kolegium KKP, badano sprawę Olgi Miszakowej i na pytanie Nikołaja Szwernika, w jaki sposób zdołała oczernić tylu ludzi, Olga Miszakowa odpowiedziała:

— *Myliłam się wtedy, znalazłam się w takiej sytuacji, że szczerze wierzyłam, iż wszyscy wokół są wrogami.*

28 czerwca 1956 roku Olga Miszakowa została wykluczona z KPZR „*za oczernianie pracowników kierowniczych ogniw Komsomołu i partii...*”

Wspomina Walentina Pikina.

— *Ostatnie posiedzenie Plenum, uczucie goryczy, całkowitego opustoszenia. Jak ten dzień zapomnieć? Wieczorem, przez wewnętrzny telefon zadzwoniłam do Saszy Kosariewa. Nasze gabinety były obok siebie.*

Zaszłam do niego, siedzieliśmy, rozmawiając po cichu. Nie wiedzieliśmy, że podpisano już nakazy aresztowania. Aleksander Kosariew dodawał sobie otuchy.

— Jutro z rana zadzwonię do Stalina — *pocieszał mnie* — jeszcze będziemy pracować!

Nigdy nie widziałam płaczącego Kosariewa, ale tym razem w jego oczach zabłysły łzy.

— Mam tylko jedną córkę, Lenoczkę. Przysięgam na swoje dziecko, że w niczym nie czuję się winny wobec partii.

Nigdy już więcej nie widziałam Aleksandra Kosariewa.

Wspomina Maria Nanejszwili.

— *Wala Pikina nie wiedziała, że tego wieczora Saszę zatrzymali. W służbówce ochrony KC WLKZM. Przetrzymali ponad dwie godziny. Dokądś dzwonili, coś wyjaśniali. Potem go wypuścili. Naszą daczę obserwowano i następne sześć dni pełne były nerwów.*

28 listopada 1938 r. zadzwonił do A. Andriejewa:

— Co ze mną będzie? Kiedy zostanie ogłoszona decyzja?

— Sasza, uspokój się. Jesteś podenerwowany, zmęczony, będziesz pracował.

Sasza przypomniał sobie mego brata Pawła.

— Pomagaliście przynajmniej jemu? Człowiek bez pomocy nie może przecież tyle czasu.

— *Przyznałam się, że potajemnie przesyłałam bratu pieniądze i żywność.*

Około drugiej w nocy przyszli po nas. Odprowadzałam już Saszę ubranego, pod konwojem. W salonie zauważyłam szefa NKWD.

— Bierzcie też i ją! — krzyknął Ławrientij Beria.

Wspomina Walentina Pikina.

— *Po mnie przyjechała starszy lejtnant Arszatskaja. Na Łubiance, w więzieniu NKWD przeprowadziła mnie na przesłuchanie do Ławrientija Berii.*

Ł. Beria: — *Broniąc Kosariewa na Plenum zachowywałyście się niewłaściwie. Dysponujemy materiałami, z których wynika, że został on zwerbowany przez obcy wywiad w Polsce, w ogrodzie zoologicznym. Teraz powinniście przeanalizować jego postępowanie i dać właściwą ocenę polityczną jego niechęci do wykonania uchwały partii o walce z wrogami ludu w Komsomole. A coście zrobili z Olgą Miszakową? Ona walczyła z wrogami, a wy zwolniliście ją z pracy i poprzyklejali jej różne etykietki.*

W. Pikina: — *Komsomoł zawsze pomagał NKWD. Na przykład niedawno, kierując się uchwałą KC partii, wybraliśmy 500 najlepszych komsomolców na kursy przygotowujące do pracy w organach...*

Ł. Beria: — *Oczywiście! Kogo wyście mi dali? Szpiegów? Zastanówcie się i złóżcie prawdziwe zeznania w sprawie Kosariewa!*

W. Pikina: — *Znam Kosariewa jako oddanego bolszewika-leninowca, uznanego przywódcę młodzieży.*

Ł. Beria: — *Macie rodzinę, syna. Pomyślcie jeszcze.*

Wielu ze skierowanych przez KC WLKZM do organów NKWD chłopców przychodziło do Aleksandra Kosariewa, do mnie, błagali:

— Zabierzcie nas z powrotem, nie chcemy tam pracować!

Na podstawie artykułu Anatolija Gołowkowa z 7 nr tygodnika „Ogoniok” opracował:

HENRYK B. TYMIŃSKI

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

· polemiki · listy · opinie · polemiki · listy · opinie ·

SERDECZNIE DZIĘKUJEMY

wszystkim, którzy z okazji trzydziestolecia „Odgłosów" przysłali nam życzenia, a między innymi: RYSZARDOWI CZUBACZYŃSKIEMU — dyrektorowi Wydziału Kultury i Sztuki UMŁ, Zespołowi dwutygodnika „KAMENA" w Lublinie, pracownikom MUZEUM HISTORII RUCHU REWOLUCYJNEGO w Łodzi, członkom KLUBU LITERACKIEGO „TOPOLA" w Zduńskiej Woli.

Chcemy zapewnić, że dołożymy wszelkich starań, aby sprostać pokładanym w nas nadziejom i oczekiwaniom. Jednocześnie informujemy, że „centralne" uroczystości naszego jubileuszu postanowiliśmy połączyć z wręczeniem dorocznej nagrody „Odgłosów" za upowszechnianie kultury, co stanie się 20 maja 1988 roku. Wtedy na spotkanie z zespołem zaprosimy przedstawicieli władz oraz naszych przyjaciół.

Jeszcze raz serdecznie dziękujemy!

KWESTIA WYBORU W KULTURZE CZYLI CO ZROBIĆ Z BIBLIOTEKĄ

Dwadzieścia kilka lat pracy w roli „upowszechniacza kultury" pozwala widzieć problemy „od środka", co nie znaczy subiektywnie. Przeżyłem przez ten czas kilka ekip zarządzających miastem i kulturą w mieście. Czytałem wiele programów rozwoju kultury, niektóre będąc pośrednio ich współtwórcą, bo pisałem raporty o stanie i potrzebach łódzkiego bibliotekarstwa publicznego. Były to lata różne, lepsze i gorsze, dobre lub bardzo złe. Prawie jednak zawsze kręciło się wszystko wokół braków, niemożności, przesuwania terminów, ciągłej konieczności dokonywania wyboru, przy czym bardzo rzadko na tej loterii wygrywały inwestycje kulturalne. Wielokrotnie słyszałem z ust decydentów na nasze „dlaczego"? odpowiedź pełną społecznej mądrości:

— A jeżeli pan miałby wybierać między budową szpitala czy przedszkola a domu kultury lub biblioteki — to co pan by wybrał?

Długo nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego Łódź nie może uporać się z inwestycjami ze sfery kultury, z którymi nie miały problemów o wiele mniejsze i słabsze gospodarczo ośrodki leżące między Odrą a Bugiem. Do powrotu do tych problemów „zachęciła" mnie nie tyle ich ciągła aktualność, ile ostatnie wywiady dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi, Ryszarda Czubaczyńskiego. Jeden w „Odgłosach", drugi w telewizyjnym „Magazynie Kulturalnym". Oba poświęcone aktualnym problemom kultury, jej wizji i znów niestety... kwestiom wyboru!

Interesującymi wydały mi się stwierdzenia, które dotykają kwestii wyboru: „Czy budować w Łodzi Filharmonię czy Centrum Imprez Kulturalnych"? Jest parę instytucji w Łodzi o bardzo ważnej funkcji kulturotwórczej dla miasta, o których można między wierszami wywiadu wyczytać, a które jak się wydaje, znów pozostają poza kwestią wyboru. Dlatego niepokój wzbudziła we mnie nowa idea, choć nie zrealizowano tylu starych — Centrum Imprez Kulturalnych! Filharmonii już nie ma i nie bardzo wiadomo, co z tym fantem zrobić, a tu coś nowego! Bo Centrum Imprez Kulturalnych — to nie to samo, co Centrum Informacji Kulturalnej. Śmiem też wątpić, czy kawiarenka w podziemiach nowej siedziby CIK stanie się Centrum Imprez Kulturalnych.

A więc o jakie Centrum Imprez Kulturalnych chodzi? Centrum na miarę Centrum Pompidou chyba nie wchodzi w grę? Natomiast dla Centrum Informacji Kulturalnej specjalne inwestycje w trudnej piekielnie sytuacji to przesada. Takie Centrum można zorganizować wszędzie — byle było o czym informować.

Więc główny dylemat dnia dzisiejszego to Filharmonia czy CIK? A tymczasem rzeczywistość skrzeczy! W wywiadach padło kilka stwierdzeń szczególnie mojemu sercu bliskich, bo dotyczących dostępu do książki jako jednego z podstawowych elementów kształtowania kultury zarówno jednostki jak i społeczeństwa.

Biblioteki tak wrosły w pejzaż naszego codziennego życia, że rzadko kiedy stają się one przedmiotem szerszego zainteresowania społecznego, najczęściej wtedy, gdy zachwiany zostaje stereotyp — nie dostaję poszukiwanej książki! Pojawia się wtedy zdziwienie, dość często oburzenie. Mało komu w kraju (prócz samych bibliotekarzy) przyjdzie do głowy zastanowić się nad tym, jak bardzo zmieniła się funkcja biblioteki we współczesnym świecie, jak niezwykle ważną rolę pełnią one nie tylko w gromadzeniu i udostępnianiu zbiorów (bardzo już rożnorodnych), lecz także w gromadzeniu, przetwarzaniu i udostępnianiu informacji ze wszystkich dziedzin wiedzy. Stawia to biblioteki w pierwszym rzędzie już nie tylko życia kulturalnego, ale i gospodarczego, administrowania, zarządzania. Stąd też konieczność wkraczania do bibliotek automatyzacji, komputeryzacji, by móc sprawnie gospodarować posiadanymi zasobami informacji. I to już nie są tylko programy czy plany działania — to jest rzeczywistość światowego bibliotekarstwa (a także w części już i polskiego). Trudno nie wspomnieć o tym choć w kilku słowach, chcąc mówić o jednej z instytucji, zajmującej dość szczególne miejsce w łódzkiej kulturze — Miejskiej Bibliotece Publicznej im. L. Waryńskiego.

W 1987 roku minęło 70 lat jej nieprzerwanego trwania i działalności (pomijając oczywiście lata okupacji), czym nie może pochwalić się bodaj żadna placówka kulturalna miasta. Minęło 70 lat bez większego echa. Instytucja ta już przed wieloma laty wkroczyła w bardzo trudny okres, co nie było dla nikogo tajemnicą. Gmach, będący kiedyś chlubą bibliotecznego budownictwa w Polsce, zaczął się po prostu „sypać". Wiadomo, kilkadziesiąt lat nieprzerwanej eksploatacji, bez kapitalnych remontów robi swoje. Nawet, jeśli budowano go kiedyś z solidnością godną pomnika Marszałka. Na dodatek, pomimo okresowych trudności finansowych na zakup zbiorów, te rosły i rosną. Dziś to już sporo ponad pół miliona jednostek. Ściany nie z gumy i poszerzać się ich nie da. Ponadto zbiory biblioteczne, by móc do nich w każdej chwili dotrzeć, wymagają, jak łatwo się domyślić, nie tylko ustawienia na półce, ale i możliwości dojścia do tych półek. Gdy tak prosty warunek nie jest spełniony, magazyn książek w bibliotece staje się magazynem książek czyli składem! A to zupełnie co innego!

Plany rozwojowe powstałe na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych przyjmowały jedynie słuszne dla tego typu instytucji rozwiązania: stopniową rozbudowę gmachu istniejącego. Zrealizowano to w niewielkim procencie — oddając do użytku tylko jeden segment (moduł) nowych magazynów. Następne miały być dobudowywane w miarę potrzeb (średnio co 5 lat). Do dziś nie dobudowano nawet 1 m kwadratowego. Przyczyna znana — na to nigdy nie można było znaleźć w miejskiej kasie pieniędzy. Na dodatek okazało się, że i terenów niegdyś na ten cel przeznaczonych sąsiadująca fabryka nigdy nie odda, bo jej przedszkolne dzieci stracą plac zabaw! Odzyskane przed paroma laty 2 piętra „plombowca" przy ul. Gdańskiej 100, czyli w bezpośrednim sąsiedztwie, przyniosły chwilę oddechu w tej bibliotecznej zadyszce. Pomieszczenia te wszak budowano z myślą o ich gastronomicznym przeznaczeniu i niewiele mają wspólnego z ich obecnym przeznaczeniem tj. przechowywaniem i udostępnianiem, np. bardzo cennych zbiorów specjalnych, jak starodruki, ikonografia, kartografia itp. Powierzchnia jest już wykorzystana do ostatniego skrawka i nic więcej nie da się tam już wstawić, bo to co jest już prawie zagraża bezpieczeństwu (wytrzymałość stropów). Z podobnych powodów w 1987 roku trzeba było pośpiesznie uciekać z księgozbiorem wypożyczalni w gmachu głównym do oddalonych pomieszczeń magazynowych ze wszech miar niedogodnych dla księgozbioru o tej funkcji. Była to zresztą ucieczka donikąd, bowiem tam już brak miejsca od lat.

Oto prawdziwa kwadratura koła! Zamyka się więc co i rusz Bibliotekę, bibliotekarze przeistaczają się w tragarzy, by na swych barkach przenosić z miejsca na miejsce tysiące książek. Likwiduje się czytelnię czasopism, tworząc jej namiastkę w malenkim pomieszczeniu, do którego trzeba wędrować przez Czytelnię Główną, pogarsza się warunki pracy czytelnikom (o warunkach pracy bibliotekarzy przez skromność nie wspomnę)! Denerwują te zmiany czytelników, którzy nie zawsze chcą zrozumieć ich konieczność i naszą troskę, by w konsekwencji były one dla nich jak najmniej dokuczliwe, co niestety dość trudno jest jednak w tych warunkach osiągnąć. Najgorsze jest jednak to, że te wysiłki odsuną problem na 2—3 lata i w najmniejszym stopniu nie zmieniają sytuacji ogólnej. Pytanie co dalej — pytanie zadawane od lat pozostaje ciągle aktualne.

Nie zmieni bowiem sytuacji w odczuwalnym dla Biblioteki Głównej stopniu oddanie do użytku, ciągnącej się już ponad 10 lat jedynej inwestycji bibliotecznej w mieście tj. adaptacji do celów biblioteki muzycznej 1 piętra w wieżowcu przy al. Mickiewicza. Poza biblioteką muzyczną, która temu miastu należy się już od lat, niewiele da się tam upchnąć.

Rzecz w tym (co nie wszyscy chcą zrozumieć), że biblioteka to przede wszystkim zbiory kompletowane przez dziesiątki lat, których nie da się i nie można mechanicznie podzielić i porozmieszczać w różnych miejscach. Jest to ściśle powiązany organizm i tworząc nawet jego filie trzeba tworzyć całe „mikroorganizmy" ze wszystkimi składnikami umożliwiającymi ich działanie. Nie można oddzielić zbioru książek od zbioru czasopism, choć to wydaje się takie proste. Ale proszę zapytać o opinię na ten temat czytelnika! Toteż próby ratowania sytuacji przez miasto przydzielaniem pomieszczeń po jakiejś fabryce, magazynie czy biurach (z których zresztą i tak nic nie wychodzi jak dotąd) gruncie rzeczy nie powinny być brane pod uwagę, zważywszy także i ogromne sumy, jakie muszą pójść na adaptację takich pomieszczeń.

Wiem, że są to problemy znane władzom miasta. A przecież w tych samych latach powstały i powstają w mieście nowe muzea, których ilością zawojujemy niebawem miasta o tysiącletniej tradycji. Niektóre wydają się strzałem w dziesiątkę (Muzeum Kinematografii), inne budziły i budzą zdziwienie, jak np. Muzeum Literatury czy Muzeum Historii Ruchu Młodzieżowego! A może to zamierzony kierunek działania w polityce kulturalnej miasta. Jeżeli tak to niebawem przybędzie nam muzeum następne — Miejska Biblioteka Publiczna!

To nie żart! Budynek po remoncie, lepszym czy gorszym, jeszcze nieco wytrzyma. Muzealnymi eksponatami w coraz większej ilości stawać się będą po prostu zbiory biblioteki — nie konserwowane, bo nie ma gdzie i nie ma czym (ostatni arkusz bibułki japońskiej widziałem w latach siedemdziesiątych), nie mikrofilmowane (by w postaci mikroform udostępnić czytelnikom chroniąc oryginał) bo nie ma gdzie uruchomić pracowni mikrofilmowej, choć są urządzenia. Coraz więcej zbiorów jest i będzie udostępnionych na zasadach specjalnych (czyt. ograniczonych), ponieważ odwracana strona gazety rozsypuje się w ręku, jeden egzemplarz jest tak zniszczony (choć wcale nie taki stary), że jeszcze jedno wypożyczenie skończy jego żywot. Dla wyjaśnienia dodam, że kserokopiowanie (najbardziej rozpowszechnione) w takich wypadkach jest w ogóle niemożliwe, bowiem polskie kserokopiarki, a tylko takimi dysponujemy, są szczególnie niebezpieczne dla podniszczonego druku. A więc jak dobrze pójdzie z zapełnieniem muzealnych gablot nie będziemy mieć kłopotu. Tylko gdzie je ustawimy?

Ale póki co musimy być żywą biblioteką! Czytelnicy muszą oczekiwać niekiedy miesiącami na nowy rocznik czasopisma, na nową książkę, ponieważ ich oprawa trwa tak długo i to nie z powodu opieszałości pracowni introligatorskiej, ale z tak prozaicznych przyczyn jak nagminny brak klejów, papierów do opraw, tektury, a nawet nici!

Od wielu lat MBP jest praktycznie odcięta od dopływu literatury z drugiego obszaru płatniczego, literatury poszukiwanej, bardzo potrzebnej w takim ośrodku naukowym, jakim jest Łódź. Nie ma książek, nie ma czasopism. To, co udaje się zdobyć, to zasługa i efekty osobistych starań bibliotekarzy. Z państwowej puli dewizowej wypadliśmy już dawno.

I jak tu wybrnąć z tak'ej sytuacji, z całego splotu problemów, jakie niesie ze sobą fakt, że MBP od wielu lat pełni rolę głównej biblioteki publicznej makroregionu, a nie tylko województwa miejskiego łódzkiego. A co zrobić z fantem, że MBP będąca od lat jedynym w tymże makroregionie ośrodkiem kształcenia bibliotekarzy na poziomie średnim (tu działa Policealne Zaoczne Studium Bibliotekarskie) dopiero od kilku miesięcy (po kolejnych przeprowadzkach) posiada jedno pomieszczenie udające salę wykładową dla prawie 200 słuchaczy?

Jest to zaledwie niewielki fragment bibliotekarskiej kuchni i problemów, z jakimi borykają się bibliotekarze, których praca powszechnie jest uważana za łatwą, prostą i przyjemną, tyle tylko, że nie najlepiej opłacana. Bibliotekarstwo w Polsce nie ma łatwego życia. Różnie jednak rozkładają się trudności i osiągnięcia w poszczególnych regionach, miastach. Za największy skandal naszego kulturalnego życia 1987 roku należałoby uznać przerwanie budowy Biblioteki Narodowej w Warszawie, która i tak ślimaczyła się już latami. Ale nie może to być usprawiedliwieniem dla innych! Losy bibliotek to losy narodowej kultury w jej najpełniejszej, najbardziej skondensowanej formie.

Jeśli ktoś chce, lub nie potrafi inaczej, niech odczytuje to wszystko o czym piszę, jako przejaw mojego partykularyzmu. Nawet gdyby tak było, nie wstydziłbym się tego. Ale naprawdę chodzi o coś więcej! Zlikwidujemy jeden teatr lub kino i tam przeniesiemy orkiestrę Filharmonii i jakoś będzie. Na muzea oddamy kilka pofabrykanckich pałacyków, jeśli się jeszcze oprą czasowi. Domy kultury i kluby poupychamy w sklepowych pawilonach. Ale co zrobimy z Biblioteką, której i zbiory, i współczesne funkcje wymagają specjalnych i naprawdę przyszłościowych rozwiązań? Kłopot to niemały dla miasta i co gorsza z roku na rok będzie rósł, skoro znów umyka z planów i programów. Przybywa nowych! Dyrektor Ryszard Czubaczyński twierdzi, że los „Interfashion" zależy od nowoczesnego zaplecza, którego oczywiście Łódź nie posiada. A więc znów kwestia wyboru albo też wybór nie podlegający kwestii!? Obawiam się, że nawet Centrum Imprez Kulturalnych przegra ten pojedynek!

ANDRZEJ GAWROŃSKI

„NASZA JAPONIA"

W „Odgłosach" z 2 stycznia 1988 r. ukazał się felieton Włodzimierza Krzemińskiego pod tytułem: „Nasza Japonia". Autor na wstępie przypomina hasło rzucone przez Lecha W. stworzenia w Polsce drugiej Japonii. Dalej notuje szereg „dowcipnych" porównań u nich a u nas. Warto część z nich tu przytoczyć. W. Krzemiński nie ustępuje S. Mrożkowi. Upodabniamy się, my Polacy do Japończyków. Zezując na sąsiada w kolejce po papierosy. W pracy między drzemką, zebraniem a kursokonferencją popijamy wiśniówkę nie przerywając zabawy z „gejszą tylko tutejszą". Następnie felietonista serwuje szaradę umysłową „u nas ryż kupuje się nie na wagę tylko na ucho", drugi tydzień męczę się nad nią. Czy przewidziane są może jakieś nagrody? Autor kończy ten porywający felieton piosenką usłyszaną na ulicy, chyba swojej: „mama lata na bosaka, tata ma kaca".

O co tu chodzi? Czyżby kolejna próba rozliczeń. Z nader licznych konferencji rzecznika prasowego rządu mam dobrze wbite do głowy, że Lech W. jest osobą prywatną. Czas na realizację swojego planu był wyjątkowo krótki: rzeczywiście japońskie tempo. No i ten koniec. Godny kamery Kurosawy. Czy nie lepiej byłoby zająć się innym hasłem, rzuconym niewiele później, przez osobę korzystającą z ministerialnego stołka i nieograniczonego dostępu do środków masowego przekazu, hasłem o „chrupiących bułeczkach z szynką", hasłem głoszonym ludziom pracy prosto w oczy. A propos, jaką osobą jest dziś Zdzisław Krasiński i gdzie jest, nie wspominając o bułeczkach? Cicho wszędzie, głucho wszędzie...

Autor felietonu, figurujący jako stały współpracownik „Odgłosów" nie ma najmniejszego prawa wyśmiewać się z ludzi pracy, z pokolenia do którego należą i moi rodzice, pokolenia, które oddało Polsce swą rzetelną i uczciwą pracę, całe dorosłe życie. Chyba że ludzi pracy W. Krzemiński nie zna, a „dowcipne spostrzeżenie" wyniósł z najbliższego otoczenia.

A czy jako dziennikarz, przedstawiciel elity umysłowej, mający dostęp do środków masowego przekazu, ktoś kształtujący świadomość społeczną, nie jest odpowiedzialny za to, że rzeczywistość jest taka a nie inna?

Jako mieszkaniec Łodzi, żywo interesujący się życiem społecznym i kulturalnym mojego miasta, jestem skazany na „Odgłosy", gdzie zresztą większość artykułów jest na wysokim poziomie. Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o felietonie W. Krzemińskiego.

Drugi etap reformy. Za buble, do których należy niewątpliwie ten felieton, nie płacić lub zmienić nazwę rubryki z „lewym okiem" na „lewym okiem, lewym piórem".

Z poważaniem A.M.
(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji!)

Do wiadomości:

Komisja Skarg i Wniosków przy KC PZPR.

DO REDAKCJI. Trudno przejść obojętnie nad tym listem. Jest on niewątpliwie rezultatem nieporozumienia. Spróbujmy więc je wyjaśnić.

1. Felietonista ma prawo do ironii, kpiny, żartu, posługiwania się anegdotą, ryzykownym porównaniem nawet. Czymś takim posłużył się Włodzimierz Krzemiński. I zapewne nie przyszło mu do głowy, że ktoś to weźmie za „kolejną próbę rozliczeń".

2. Wielokrotnie już mieliśmy okazję stwierdzić, że u nas tolerancję rozumie się jako zgodność z poglądami głoszonymi przez tych, którzy tolerancję deklarują. Jeśli ktoś inaczej myśli i jeszcze publicznie ma odwagę się tym pochwalić, tego trzeba zaraz ukarać, wykląć, wyrzucić. Wobec takiego „wolnomyśliciela" zaraz wyciąga się przeróżne epitety, oskarżenia o wrogość — „wyśmiewa się z ludzi pracy" — oraz obciąża się winą za wszystko najgorsze. Wiadomo: wszystkiemu winni są „cykliści i żurnaliści".

3. Pamięć mamy raczej krótką. Hasło o „bułkach z szynką" wymyśliła „Solidarność wiejska", natomiast „chrupiące bułeczki" były autorstwa Zdzisława Krasińskiego, który przebywał w USA jako radca naszej tam ambasady, ale nie wiemy, czy nadal przebywa. Nie mamy zamiaru ukrywać, że oba hasła okazały się bez pokrycia.

4. Dla dziennikarza miarą sukcesu jest zawsze i tylko reakcja czytelników na jego teksty — pozytywna lub negatywna. W obu wypadkach dowodzi bowiem, że ludzie nie przechodzą koło nich obojętnie. Wychodząc z tej zasady, nie możemy zgodzić się, że należy zamienić tytuł cyklu felietonów „Lewym okiem" na „Lewym piórem". Przeciwnie: zadaniem felietonisty jest być w niezgodzie z przestarzałymi schematami funkcjonującymi w społecznym myśleniu. I Włodzimierz Krzemiński ten obowiązek spełnia od wielu lat. Z różnym powodzeniem. A jak widać z listu A. M. — również pozytywnym.

CZY JEST PROSTY SPOSÓB NA WSZYSTKO ZŁO?

W nr 3/88 „Odgłosów" ukazał się artykuł Henryka Jańca, w którym zasygnalizował tylko szereg problemów. List ten — o dziwo! — ukazał się wspólnie z wyjaśnieniami redakcji, polemizującymi z autorem i próbującymi przekonać, że jest już wszystko w jak najlepszym porządku. Tymczasem wbrew tym twierdzeniom nasuwają się setki pytań, na które redakcja nie może lub nie chce dać odpowiedzi.

Na przykład: patologia społeczna. Z tą chorobą tak władza, jak i społeczeństwo rzekomo pogodziły się, a osoby, które chciałyby w tym coś przeciwdziałać uważane są za nieszkodliwych maniaków. Słyszałem już wiele opowieści o osobach, które próbowały zapobiec rozpowszechnianiu bimbrowni, którym nie chciano pomóc, ani też przyjąć do wiadomości, że takie coś istnieje. Więcej! Produkujący bimber lub handlujący wódką bywali ostrzegani o takich donosach (sic!).

Redakcja stara się nas przekonać, że zadaniem władz i ich staraniem jest udowodnić, że wszystko, co jest czynione wykonuje się z myślą o tym, aby społeczeństwo było zadowolone. Tymczasem pół roku temu po uzyskaniu zgody władz radzieckich sprowadzono do kraju prochy Jana Piwnika „Ponurego". O ile mi wiadomo dotychczas nasze władze nie wyraziły zgody na jego pogrzeb. Wiadomość o sprowadzeniu zwłok była podana w krótkiej informacji w wiadomościach radiowych nadanych nocą. Setki tablic pamiątkowych ufundowanych poległym w wojnie przez ich towarzyszy broni znajdują coraz częściej miejsce w obiektach sakralnych, gdzie czują się względnie bezpieczne. A przecież powinny być dostępne wszystkim.

Niedawno obiegł zainteresowanych wycinek artykułu, drukowanego w jednym z tygodników nadmorskich, w którym polemizowano z osobami broniącymi szpicla gestapo Ludwika Kalkensteina, kreowanego przez nich na „polskiego Wallenroda". Tymczasem Ludwik Kalkenstein wydał w ręce gestapo gen. Stefana „Grota" Roweckiego. Tę legendę stworzono wobec Kalkensteina być może świadomie. Przecież on (jak słyszeliśmy) w czasie przygotowań do procesu miał „rewelacyjnie" stwierdzić, że Marcelego Nowotkę „wydało" Niemcom AK. Prawda okazała się inna, zaś sprawa Nowotki została częściowo wyjaśniona (choć nie do końca).

Z racji przeszłości okupacyjnej jestem obecnie działaczem ZBoWiD. Historie, o których wspominałem mocno przerzedziły naszą działalność społeczną, która coraz bardziej zaczęła się ograniczać do spraw wewnątrzorganizacyjnych i socjalnych i niezabierania głosu w sprawach krajowych. Skąd to wypływa? Na pewno nie z entuzjastycznego przyjmowania decyzji „góry".

Ponad 40 lat wmawiano nam, że jesień i zmierzch naszego życia będzie pogodna, wręcz luksusowa, a na to wcale się nie zanosi. Wiedzą o tym emeryci, wiedzą też ludzie zatrudnieni w gospodarce uspołecznionej. A że nie wymyśliłem tego twierdzenia, niech posłuży relacja z posiedzenia Rady OPZZ drukowana w nr 11 „Trybuny Ludu" z 15.01.1988 r.

MIECZYSŁAW KOZAK

OD REDAKCJI: Ciągle nam się wydaje, że Czytelnicy już się zorientowali, iż na kolumnie: „Polemiki — Listy — Opinie" drukujemy teksty, z których treścią redakcja nie zawsze zgadza się, co do których ma takie czy inne uwagi. Mogło nam się wydawać, że Mieczysław Kozak, który na tej kolumnie często gości, doskonale zorientował się w tej zasadzie. Ale jego list dowodzi, że tak nie jest. Dlatego list ten drukujemy z redakcyjnym komentarzem.

1. Nie próbowaliśmy dowodzić, że tylko rząd ma rację i tylko to, co rząd robi jest dobre, słuszne i wspaniałe. Po prostu występowaliśmy i nadal występujemy przeciw daleko idącym upro-

szczeniom, które niekiedy wyrażają nasi korespondenci. Skoro jednak traktujemy naszych Czytelników nie tylko jako biernych odbiorców tego, co im przekazujemy w druku, ale też stwarzamy im możliwość wypowiedzenia swoich poglądów i uwag, to drukujemy również i takie teksty, z którymi nie zawsze zgadzamy się. W skrajnych przypadkach zaznaczamy w odredakcyjnym komentarzu nasz odmienny pogląd. Czynimy tak i w tym wypadku.

2. Sprawa sprowadzenia prochów Jana Piwnika „Ponurego" jest istotnie ponura, ale jak to opisał niedawno w „Przeglądzie Katolickim" Cezary Chlebowski, nie bez winy w tej sprawie jest również ZBoWiD. Cała ta niechlubna kolomyja ze sprowadzeniem prochów Jana Piwnika „Ponurego" trwała nie pół roku, a chyba ze 12 lat.

3. Okoliczności aresztowania gen. Stefana „Grota" Roweckiego są do dziś nie wyjaśnione. Istnieje kilkanaście hipotez na ten temat. Jedna z nich przypisuje winę byłemu agentowi gestapo — Ludwikowi Kalkensteinowi. Inna — niedawno opublikowana w „Polityce" — Wandzie Skarzyńskiej. Wszystko to są hipotezy. Prawdziwej wersji nadal nie znamy. Tajemnicą natomiast otoczone są losy Ludwika Kalkensteina, który był sądzony za pracę na rzecz Trzeciej Rzeszy w okresie, kiedy nikt nie interesował się okolicznościami wydania gen. Stefana „Grota" Roweckiego, a który przecież nadal żyje i unika kontaktu z tymi, którzy mogliby mu zadać właściwe pytanie.

4. Marceli Nowotko nie został wydany Niemcom przez AK, tylko zginął skrytobójczo zamordowany. Ostatnio Marian Nowiński na łamach „Prawa i Życia" opublikował artykuł, w którym podał w wątpliwość powszechnie przyjętą wersję, że Marcelego Nowotkę zastrzelił Zygmunt Mołojec z polecenia brata Bolesława Mołojca. Marian Nowiński dowodzi, że brakuje przekonywającego dowodu, aby obaj bracia Zygmunt i Bolesław Mołojcowie popełnili ten mord. I nie chodzi już o pytanie: kto zatem to uczynił? — co wydaje się logiczne, ale o fakt, że przy dokładnym badaniu coś tak — wydawało się — oczywistego okazuje się wielce wątpliwe. Trzeba zatem dobrze wiedzieć, aby surowo sądzić!

5. Drukujemy tylko pierwszą część listu, ponieważ w drugiej autor cytuje wypowiedzi opublikowane w „Trybunie Ludu" w numerze 11, a to już każdy może przeczytać sam. Jeśli zechce.

GDZIE POCHOWAĆ PROCHY STANISŁAWA AUGUSTA?

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem publikację prof. Zb. Kuchowicza n.t. króla St. Augusta Poniatowskiego. Wypowiedź to wyważona, historycznie ostrożna i w dużej mierze słuszna. W kwestii szczątków królewskich podzielam zdanie autora, że nic już chyba autentycznego w Wołczynie nie pozostało po ostatniej wojnie, „kromie królewskiego truchła". Cokolwiek bowiem było, musiało ulec „rozdrapaniu" przez żołnierzy różnych nacji, amatorów — zbieraczy pamiątek historycznych itp. Z lat 60. pamiętam, ile emocji i sensacji budziło poszukiwanie w Kiernozi szczątków pani Walewskiej.

Przychylam się również do zdania profesora Zbigniewa Kuchowicza względem pochówku królewskiego. Jakichkolwiek by bowiem nie użyto argumentów pro- i contra królowi, sprawa jego zasług dla polskiej kultury narodowej i jej rozwoju jest niepodważalna. Jeśli więc chcemy być konsekwentni, to albo akceptujmy go ze wszystkimi jego zaletami i wadami i zdecydujmy się na symboliczny (gdyby brakło szczątków królewskich w Wołczynie) choćby grób na Wawelu lub w podziemiach św. Jana w Warszawie, albo wyprzyjmy się tego „targowiczanina" po-wsze czasy i pościągajmy ze ścian zamkowych, pałacowych i muzealnych przepiękne głównie Bacciarellowskie portrety króla i spalmy je uroczyście na Placu Zamkowym pod kolumną króla Zygmunta. Aut-aut.

Na marginesie wspomnianej przez prof. Zbigniewa Kuchowicza wypowiedzi T. Kościuszki o królu, że „zdrajcą jest i zbrodniarzem", warto przypomnieć, że bez St. Augusta nie byłoby Kościuszki, takiego jakim go znamy. Był przecież kadetem Szkoły Rycerskiej założonej przez króla, a ponadto po „niecnym" porwaniu Tekluni Sosnowskiej właśnie król na prośbę ojca panny „zesłał" kochliwego pana Tadeusza do Paryża, gdzie nabył tak pożytecznej biegłości w „indzinierii" wojskowej.

Jeden szczegół z wypowiedzi prof. Zbigniewa Kuchowicza wymaga sprostowania, choć nie ma to większego znaczenia. Na Wawelu spoczywa tylko August II Mocny, a jego latorośl, August III zmarł był w Dreźnie i tamże pochowany (1763).

Wracając jeszcze do Wawelu, warto podkreślić, że jak podaje K. Kuczman (Wzgórze Wawelskie — 1979), sarkofag Jana III był w 1783, a więc w rocznicę „potrzeby wiedeńskiej", fundowany przez St. Augusta. W innym miejscu tej samej publikacji jest jednak wzmianka przypisująca tę fundację jako wcześniejszą ks. Radziwiłłowi — Rybeńce. Wymaga to bliższego wyjaśnienia i gdyby się okazało, że fundatorem (być może nowej wersji nagrobka) był jednak St. August, mielibyśmy jeszcze jeden argument przemawiający za Wawelem.

HENRYK PANKIEWICZ

„ZA KARĘ DO ZUS-U?"

W nawiązaniu do artykułu pt. „Za karę do ZUS-u?", który ukazał się na łamach Waszego tygodnika z dnia 2 stycznia 1988 r. Zakład Ubezpieczeń Społecznych Oddział w Łodzi uprzejmie wyjaśnia:

Przedstawiona w publikacji organizacja pracy obwodowych komisji do spraw inwalidztwa i zatrudnienia nie w pełni odpowiada prawdzie. Osoby kierowane na te badania wzywane są na godziny: 10 i 11 lub 15 i 16 — w zależności od czasu pracy komisji. W praktyce rzecz się ma inaczej. Wzywani zgłaszają się przed wyznaczonym czasem badania, w zasadzie na jedną lub dwie godziny wcześniej. Przychodzą z osobami towarzyszącymi, co w przypadku niewielkiej poczekalni zaadaptowanej na potrzeby komisji lekarskiej, usytuowanej w siedzibie Oddziału, zwiększa tłok i tym samym pogarsza warunki oczekujących na badanie.

Zamknięcie sanitariatów jest sprawą równie przykrą dla Oddziału, jak i samych interesantów. Takie rozwiązanie podyktowało jednak życie. Wkrótce bowiem po zasiedleniu nowego gmachu sanitariaty zostały zdewastowane i ogołocone z armatury. Zorganizowano więc ogólnodostępne WC na parterze budynku. Nadto pracownicy Oddziału, w tym także członkowie komisji lekarskiej, udostępniają klucze od zamkniętych sanitariatów wszystkim osobom, które o nie się zwracają.

Nie można natomiast zgodzić się z rachunkiem Józefa Retmana dotyczącym rozliczenia czasu pracy komisji lekarskiej. Przyjęte przez autora publikacji założenia są w większości słuszne.

W czasie jednego posiedzenia komisja bada około 12—16 osób. Czas pracy komisji trwa od 2 do 3 godzin. A zatem przeciętny czas badania jednego chorego wynosi co najmniej 10 minut. Dla trzech lub czterech równocześnie pracujących członków komisji jest to czas wystarczający dla rozpoznania sprawy i wydania orzeczenia.

Trudno sobie wyobrazić, by nawet najlepszy skład lekarski mógł wyciągnąć wnioski orzecznicze po jednorazowym badaniu. Badanie komisji do spraw inwalidztwa i zatrudnienia ma na celu skontrolowanie stanu zdrowia w dniu badania z przebiegiem choroby zawartym w dokumentacji społecznej służby zdrowia. Podstawą orzeczenia jest dynamika procesu chorobowego i określenie czy doprowadziła ona do takiego naruszenia sprawności organizmu, które ogranicza bądź uniemożliwia wykonywanie zatrudnienia.

Podstawą orzekania o inwalidztwie jest nie choroba, a jedynie upośledzenie sprawności organizmu, bowiem komisje nie orzekają o inwalidztwie biologicznym lecz o inwalidztwie w rozumieniu ustawy z 14 grudnia 1982 r. o zaopatrzeniu emerytalnym pracowników i ich rodzin (Dz. U. nr 40, poz. 267 z późniejszymi zmianami), która w art. 23 definiuje: inwalidą w rozumieniu ustawy jest osoba częściowo lub całkowicie niezdolna do wykonywania zatrudnienia z powodu stałego lub długotrwałego naruszenia sprawności organizmu.

Krytyka prasowa, niewątpliwie zasadna, zainspirowała Oddział do podjęcia działań usprawniających poprawę warunków obsługi osób badanych, w rozmiarach możliwych do natychmiastowej realizacji. Od dnia 7 stycznia 1988 r. udostępniono WC znajdujące się w pobliżu komisji lekarskiej, a osoby poddawane badaniom KIZ są wzywane w półgodzinnych odstępach czasu. Równocześnie Oddział informuje, że wkrótce podejmie kompleksowe, planowane działania w kierunku dalszego usprawnienia obsługi ludności, w tym także osób oczekujących na badania lekarskie przez komisje do spraw inwalidztwa i zatrudnienia, usytuowane w gmachu Oddziału.

ANIELA GRODZKA
(dyrektor)

TELEFON 36-77-70

W nr 5/1557 „Odgłosów" z 30 stycznia 1988 r. w rubryce „Masz temat dla reportera"... pracownicy Zakładu Energetycznego Łódź — Miasto potraktowani zostali jako bezduszni urzędnicy. Gdyby akurat opisywane w wymienionej rubryce piórem Eugeniusza Iwanickiego zdarzenie odpowiadało prawdzie w swej istotnej części, nie wypadałoby mi nic innego, jak tylko przeprosić Jerzego Kałużkę i zapewnić, że w przyszłości wyłączenie dopływu energii elektrycznej nie będzie miało miejsca.

Jednakże istota sprawy przekazana „Odgłosom" przez Jerzego Kałużkę przedstawia się zgoła inaczej. Mianowicie Jerzy Kałużka miał obowiązek zapłacić Zakładowi Energetycznemu w terminie do 15 listopada 1987 r. kwotę 785 zł za dostarczoną mu przez Zakład energię elektryczną. I właściwie już po upływie 14 dni od wymienionej wyżej daty, gdybyśmy bezwzględnie przestrzegali obowiązujących nas przepisów, należałoby wyłączyć dopływ energii elektrycznej do mieszkania Jerzego Kałużki w domu przy ul. Inflanckiej 19. Lecz Zakład tego nie zrobił, a przypomniał tylko J. Kałużce w piśmie z 14 grudnia 1987 r., że nie powinien dłużej zwlekać z zapłatą należności, pomimo że w każdej książeczce opłat jest wydrukowana informacja o obowiązku terminowego regulowania należności i ewentualnych konsekwencjach wynikających z ich niepłacenia.

Przy okazji pragniemy poinformować, że miesięcznie zapomina regulować swoje należności za energię ok. 50.000 odbiorców, w przybliżeniu na kwotę 70 milionów złotych. Ob. J. Kałużka wpłacił należność dopiero 6 stycznia 1988 r., a ponieważ wpłaty dokonał w banku, a nie w kasie Zakładu, w dniu wyłączenia energii elektrycznej, tj. 19.01.88 r. po prostu było jeszcze brak w Zakładzie informacji o dokonanej wpłacie. Wszelkie więc dodatkowe uwagi E. Iwanickiego o zawodności pamięci ludzkiej mają znamiona taniej demagogii.

Na zakończenie tego wyjaśnienia jeszcze kilka uwag natury ogólnej. Do statutowych zadań Zakładu Energetycznego, obok wielu innych, należy także inkasowanie należności za dostarczoną różnym kategoriom odbiorców energię elektryczną. Jeśli pracownicy Zakładu nie wykazywaliby należytej staranności w egzekwowaniu opłat za energię, przy produkcji której ponoszone są ogromne koszty, wówczas byłbyśmy po prostu pozbawieni środków finansowych na pokrywanie tych kosztów i stanęlibyśmy niechybnie w obliczu utraty zdolności kredytowej wobec banku, co zresztą już nam w 1987 roku realnie groziło.

Opieszałość w spłacaniu należności przez Jerzego Kałużkę za dostarczoną mu energię elektryczną miała niewątpliwie także swój wpływ na pogarszanie sytuacji finansowej Zakładu Energetycznego.

Nie chcemy być bezduszni w wykonywaniu naszych podstawowych i ważnych obowiązków, ale także musimy pamiętać o tym, że obowiązują nas twarde zasady samofinansowania tak bardzo podkreślane w toku realizacji drugiego etapu reformy gospodarczej.

mgr inż. WIESŁAW KMIN
(dyrektor)

DWA WYJAŚNIENIA W SPRAWACH MIESZKANIOWYCH

Odpowiadając na Wasze interwencje w sprawach mieszkaniowych załatwianych w Wydziale Spraw Lokalowych Urzędu Dzielnicowego Łódź — Górna, zamieszczone w numerze 4 z 1988 r., uprzejmie informuję, że przebieg sprawy wygląda następująco:

1) Ob. Kazimiera Kubiak zamieszkała Przybyszewskiego 67 m. 23, ubiegająca się o pomieszczenie zastępcze od 1984 r., wskazała w 1987 r. kilka adresów mieszkań, które miały spełniać warunki pustostanu. Z tych wskazań dwa lokale były faktycznie wolne, chociaż w tych sprawach toczyło się postępowanie administracyjne. Były to mieszkania 1-izbowe o powierzchni — 13 m kw i 15 m kw. Zgodnie z moim poleceniem pracownik prowadzący sprawę poinformował obywatelkę 19.11.87 r. o możliwości przydziału jednego z tych lokali na jej rzecz. Ob. Kubiak odmówiła przyjęcia z uwagi na mały metraż i wskazała następne adresy, które po sprawdzeniu nie spełniły warunków „pustostanu". Tak więc nie fakt, iż mieszkania były za duże, ale odmowa Ob. Kubiak była powodem nieprzydzielenia pomieszczenia zastępczego.

Informuję również, że podjąłem decyzję, aby w drodze wyjątku w zamian za znalezione wolne lokale, wskazać Ob. Kubiak inne pomieszczenie zastępcze o większym metrażu ok. 20 m kw. spełniające warunki art. 7 Prawa Lokalowego (Dz. Ust. nr 30 z 1987 r.).

2) Ob. Elżbieta Bednarczyk zamieszkała Rzgowska 59 m. 15 ubiegająca się o przydział izby przyległej nr 15a złożyła do tutejszego Wydziału Spraw Lokalowych wniosek o przydział 03.09.87. Lokal ten był czasowo zajęty przez pracowników administracji wykonujących prace remontowe w budynku.

Do czasu zwolnienia lokalu sprawa nie mogła być zakończona przydziałem. O fakcie tym Ob. Bednarczyk była poinformowana przez pracownika. W dniu 22.01.88 r. kierownik ROM nr 10 poinformował Wydział Spraw Lokalowych o zwolnieniu lokalu i 29.01.88 r. została wystawiona decyzja o przydziale tego lokalu na rzecz Ob. Bednarczyk.

Informuję jednocześnie, że nie znalazły potwierdzenia informujące o nagannym traktowaniu interesantów przez pracownika prowadzącego sprawę, ponieważ Ob. Bednarczyk od czasu uzyskania informacji o czasowym zajęciu lokalu przez pracownika administracji nie kontaktowała się z Wydziałem Spraw Lokalowych.

mgr ZBIGNIEW KALENBACH

JAK PRZYDZIELAĆ TELEFONY, ŻEBY WSZYSCY BYLI ZADOWOLENI?

W odpowiedzi na oszczerczy i zniesławiający list Ob. Kazimierza Gumińskiego zamieszkałego w Łodzi przy ul. Sprawiedliwej 16 m. 3/4 opublikowany w nr 10 „Odgłosów" z 05.03.1988 Urząd Telekomunikacyjny Łódź-Północ uprzejmie wyjaśnia:

1. Sprawa Ob. K. Gumińskiego nie jest identyczna jak sprawa Ob. M. Skrobisza, gdyż wniosek Ob. M. Skrobisza jest uprawniony do pominięcia kolejności natomiast sprawa Ob. K. Gumińskiego nie może być załatwiona poza kolejnością. Zasady podałem w odpowiedzi na skargę Ob. Ireny Lenarczyk, „Odgłosy" z 05.12. 1987 r.

2. Ob. K. Gumiński stwierdza, że obiecano mu przekazanie numeru 51-49-07, ocz[illegible] dyrektor UT po roku zawiadomił go, iż telefon zostanie przydzielony krewnym abonenta.

Oba te stwierdzenia są niezgodne z prawdą. Obywatel zwrócił się do Urzędu o przejęcie numeru 07.01.1987 r. Odpowiedź z uzasadnieniem UT — Północ wysłał 16.01.1987 r. UT — Północ nigdy nie wysłał odpowiedzi cytowanej przez Ob. K. Gumińskiego. Pismo z 16.01.1987 r. było jedynym pismem wysłanym do Obywatela przez dyrektora UT.

Wyjaśniam, że sprawa dotyczyła użytkowania telefonu, którego abonent wyjechał za granicę, jednak nie został wymeldowany z mieszkania (pobyt legalny). W takim przypadku Urząd nie mógł pozbawić go prawa do posiadania telefonu. Jednocześnie sprawa Ob. K. Gumińskiego nie była najstarszym wnioskiem ani wnioskiem uprawnionym do załatwienia poza kolejnością.

Ob. K. Gumiński nie pisał więcej do UT, natomiast zwrócił się ze skargą do Komitetu Centralnego PZPR, próbując wymusić na UT bezprawne odebranie telefonu jego prawowitemu abonentowi. Sprawa była badana przez Ministerstwo Łączności i Komisję Skarg KL PZPR (odpisy odpowiedzi w załączeniu). Wobec przedstawionych faktów twierdzenie Ob. K. Gumińskiego, że dyrektor UT sprzedał ww. numer w porozumieniu z KC PZPR i Ministerstwem Łączności pozostawiam bez komentarza. Również bez komentarza pozostawiam stwierdzenie, że dyr. UT powinien znać 150 tysięcy członków rodzin abonentów i wiedzieć kto jest czyim krewnym.

3. Polemiki na temat przydziału telefonów, mieszkań czy samochodów można prowadzić w nieskończoność, szczególnie wtedy, gdy czytelnicy nie znają obowiązujących przepisów. Tylko w obszarze działania UT — Północ zalega 20.000 nie zrealizowanych wniosków, a po ich zrealizowaniu napłyną następne. Jeśli polemiki te mają udokumentować, że przyrost instalacji telefonów nie zaspokaja potrzeb, to o tym wiadomo od dawna i oficjalnie. Jeśli mają oczerniać i znieważać urzędników to pragnę stwierdzić, że przyjęta forma spełnia tę rolę znakomicie.

Na szczęście dla innych osób starających się o telefony, o przydziale decyduje sprawiedliwość (obowiązujące w tym zakresie przepisy), a nie pieniądze, plecy czy też ilość skarg pisanych do wszystkich możliwych instancji.

BOLESŁAW DZIĘGIELEWSKI
(dyrektor Urzędu Telekomunikacyjnego Łódź — Północ)

OD REDAKCJI: Nie jest naszą intencją oczernianie i znieważanie urzędników — jak to sugeruje nam dyrektor UT Łódź — Północ, Bolesław Dzięgielewski. Rozumiemy doskonale, że krytyka nie jest dla nikogo miła i nikt jej nie lubi. Ale też nikt nie wyjął UT Łódź — Północ, ani żadnego innego urzędu telekomunikacyjnego, spod społecznej kontroli. Publikacja listów naszych Czytelników i ich krytycznych wypowiedzi zgłaszanych podczas telefonicznych dyżurów naszych reporterów jest formą takiej kontroli. Nie jest naszą winą, że ludzie piszą skargi na urzędy telekomunikacyjne. Warto byłoby się raczej zastanowić, dlaczego tak się dzieje? Co jest tego powodem?

Obiektywnie rzecz biorąc zawsze, kiedy popyt przerasta podaż, ludzie są niezadowoleni i rodzą się u nich różne brzydkie podejrzenia. Zawsze będą też szukać różnych sposobów, aby załatwić swoją sprawę nawet kosztem innych. Trudno się im dziwić. Trzeba raczej cierpliwie i niekiedy publicznie dowodzić tego, że nie mają racji, jeśli jej rzeczywiście nie mają. Trudne to i kłopotliwe, ale innego sposobu nie ma.

Pragniemy też przypomnieć, że listy na tej kolumnie („Polemiki — Listy — Opinie") publikowane są na odpowiedzialność ich autorów i na zasadzie „wolnej trybuny". Redakcja nie zawsze zgadza się z poglądami autorów listów, opinii i polemik, co stara się uwidaczniać w komentarzach.

Chcemy też wyjaśnić, że doceniamy wszystko, co zostało w dziedzinie telekomunikacji dokonane w ostatnich czasach w Łodzi. Ale — jak widać z publikowanych listów — ludzi to nie zadowala i wcale nie popadają w bezbrzeżny zachwyt z tego powodu. Mają w tym chyba swoją rację, której trudno byłoby im odmówić.

Zgadzamy się, że „polemiki na temat przydziału telefonów, mieszkań czy samochodów można prowadzić w nieskończoność". Dlatego nie publikujemy skargi TADEUSZA MARASZKA z Łodzi, który wykorzystał już wszystkie niemal możliwości dochodzenia swojej sprawy. A dotyczyła ona przerejestrowania telefonu nr 32-58-76 po zmarłej współlokatorce. Nie publikujemy również załączników, jakie przesłał nam dyrektor UT Łódź — Północ. Po prostu brak na to miejsca. Nie znaczy to jednak, że zaprzestaniemy publikować listy Czytelników na ten temat w ogóle.

REDAKTOR DYŻURNY

REDAKCJA — CZYTELNICY

EDWARD DŁUBAK, Łódź. Dziękujemy za odpis pisma skierowanego do Rzecznika Praw Obywatelskich. Ponieważ sprawa jest dość specjalistyczna — dotyczy tego, czy lekarz może udostępnić choremu historię jego choroby — nie widzimy powodu, aby powiadamiać o tym — jak pan to ujął — „opinii publicznej — ogółu społeczeństwa".

JÓZEF ROGOWSKI, przewodniczący Komitetu Zlotów Rodziny Rogowskich, Bytom. Zaproszenie na Zlot Rodziny Rogowskich w dniach 18 — 20 marca 1988 roku otrzymaliśmy. Dziękujemy! Udziału wziąć nie możemy. Życzymy wszystkiego najlepszego!

ANNA ROBOSZ, Ustroń. Tekst nam się podobał. Nie możemy jednak drukować ze względu na brak miejsca. Prosimy o utrzymanie korespondencji z redakcją.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI, Łódź. Sprawę pomyłki z datą śmierci Józefa Stalina oraz datą ostatniego jego ukazania się publicznie wyjaśnił w sprostowaniu Jan Bąbiński.

RYSZARD CIESIELCZUK, Łódź. Sprawę związaną z listem Andrzeja Sagana i pobytem lekarza na koloniach uważamy za zakończoną. Nie widzimy powodu, aby do niej ponownie wracać.

W. AFELT, Łódź. Z naszej redakcyjnej praktyki wcale nie wynika, że instytucja rzecznika prasowego, tak dziś popularna, jest zbędna lub że nam przeszkadza. To prawda, że niektóre instytucje rozumieją funkcję rzecznika jako ochronę przed wścibstwem dziennikarza. Ale w końcu cóż to za dziennikarz, który da się wyrzucić drzwiami, nie powróci oknem i nie zdobędzie potrzebnych mu informacji. Dziennikarzowi z prawdziwego zdarzenia żaden rzecznik prasowy nie przeszkodzi. Pozdrawiamy!

REDAKTOR DYŻURNY

■

Pewex

Już tylko do 31 marca możesz kupić z bonifikatą 30 proc. narty firm:

ATOMIC, DYNAMIC, ROSSIGNOL

o r a z

gogle firmy UVEX

Zapraszamy do sklepów:

— Łódź, ul. Piotrkowska 44
— Płock, ul. Miodowa 5
— Kielce, ul. Jarzębinowa

819/k

OŚRODEK OBLICZENIOWY ŁZSP

Z A T R U D N I

operatorki maszyn liczących (ROBOTRON 1715, IBM)

Warunki pracy i płacy do omówienia, w Ośrodku Obliczeniowym ŁZSP, Piotrkowska 48, tel. 32-00-35, 32-34-95.

Ośrodek nie zatrudnia pracowników po porzuceniu pracy.

1766/k

CENTRALNY OŚRODEK BADAWCZO-ROZWOJOWY TECHNICZNYCH WYROBÓW WŁÓKIENNICZYCH

w Łodzi, ul. C. Skłodowskiej 3

Z A T R U D N I:

- tkaczy
- nastawiaczy maszyn

Warunki pracy i płacy do omówienia w dziale zatrudnienia i płac w Łodzi, ul. C. Skłodowskiej 3, tel. 33-97-10, wew. 27.

1752/k

ZAKŁADY WŁÓKIEN CHEMICZNYCH „CHEMITEX — ANILANA" 92—318 Łódź, ul. Armii Czerwonej 89

O G Ł A S Z A J Ą

PRZETARG NIEOGRANICZONY na wykonanie robót budowlano-montażowych

W zakres robót wchodzi:

1. **Oddział produkcji Biotaksymu**
   — roboty budowlane
2. **Magazyn surowców ciekłych**
   — roboty budowlane
3. **Place i drogi**

Wartość ogólna ca. 120 mln zł. Materiał własny wykonawcy.

Termin wykonania robót do 30.09.1988 r.

Termin zawarcia umowy — 2 tygodnie od zakończenia przetargu.

Z dokumentacją projektową i szczegółowymi warunkami przetargu można się zapoznać w siedzibie naszych zakładów, dział inwestycji, pokój nr 38, zarząd przedsiębiorstwa, w godz. 8—15 we wszystkie dni robocze.

Do przetargu mogą przystąpić jednostki gospodarki uspołecznionej, spółdzielczej lub nieuspołecznionej.

Oferty należy składać w dziale inwestycji w terminie 14 dni od daty ukazania się ogłoszenia.

Otwarcie ofert nastąpi w dniu następnym w siedzibie ogłaszającego przetarg.

Zakłady zastrzegają sobie wybór oferenta lub unieważnienie przetargu bez podania przyczyny.

795/k

WOJEWÓDZKA KOLUMNA TRANSPORTU SANITARNEGO w ŁODZI

O G Ł A S Z A
PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż niżej wymienionych pojazdów:

1. Nysa 522, nr rej. LDA 857V, rok prod. 1983, nr silnika 651683, nr podwozia 286784, st. zużycia 70 proc., cena wywoławcza 409.000 zł.
2. Fiat 125p, nr rej. LDB 612E, rok prod. 1984, nr silnika 324339, nr podwozia 1017207, st. zużycia 70 proc., cena wywoławcza 538.000 zł.
3. Fiat 125p, nr rej. LDB 307P, rok prod. 1984, nr silnika 813337, nr podwozia 1021580, st. zużycia 75 proc., cena wywoławcza 448.000 zł.
4. Fiat 125p, nr rej. LDB 358B, rok prod. 1983, nr silnika 607919, nr podwozia 1010803, st. zużycia 70 proc., cena wywoławcza 538.000 zł.
5. Fiat 125p, nr rej. LDB 312E, rok prod. 1984, nr silnika 858448, nr podwozia 1017533, st. zużycia 70 proc., cena wywoławcza 538.000 zł.
6. Fiat 125p, nr rej. LDB 944B, rok prod. 1983, nr silnika 856618, nr podwozia 1013384, st. zużycia 65 proc., cena wywoławcza 628.000 zł.
7. Żuk A 11 B, nr rej. LDB 472S, rok prod. 1982, nr silnika 778833, nr podwozia 374316, st. zużycia 75 proc., cena wywoławcza 341.000 zł.
8. Nysa 522, nr rej. LDB 435E, rok prod. 1984, nr silnika 592831, nr podwozia 293996, st. zużycia 70 proc., cena wywoławcza 396.000 zł.
9. Fiat 125p, nr rej. LDA 833S, rok prod. 1982, nr silnika LD1-08149, nr podwozia 1009821, st. zużycia 75 proc., cena wywoławcza 448.000 zł.
10. Fiat 125p, nr rej. LDB 442B, rok prod. 1983, nr silnika 795894, nr podwozia 1011700, st. zużycia 70 proc., cena wywoławcza 538.000 zł.
11. Fiat 125p, nr rej. LDB 413E, rok prod. 1984, nr silnika 808864, nr podwozia 1017402, st. zużycia 65 proc., cena wywoławcza 628.000 zł
12. Fiat 125p, nr rej. LDB 074H, rok prod. 1983, nr silnika 848249, nr podwozia 1011595, st. zużycia 70 proc., cena wywoławcza 538.000 zł.
13. Fiat 125p, nr rej. LDG 292D, rok prod. 1982, nr silnika 723290, nr podwozia 1009706, st. zużycia 70 proc., cena wywoławcza 538.000 zł.
14. Fiat 125p, nr rej. LDG 883B, rok prod. 1983, nr silnika 588209, nr podwozia 1011613, st. zużycia 70 proc., cena wywoławcza 538.000 zł.
15. Nysa 522, nr rej. LDB 499P, rok prod. 1985, nr silnika 856926, nr podwozia 305725, st. zużycia 60 proc., cena wywoławcza 546.000 zł.
16. Nysa 522, nr rej. LDG 931B, rok prod. 1984, nr silnika 844091, nr podwozia 292758, st. zużycia 70 proc., cena wywoławcza 409.000 zł.

Wymienione pojazdy można oglądać w dniu 31 marca 1988 na terenie WKTS w Łodzi ul. Warecka 2 w godz. 8—10.

Przetarg odbędzie się w dniu 31 marca 1988 r. na terenie WKTS w Łodzi ul. Warecka 2 o godz. 11.

Zainteresowani winni wpłacić wadium w dniu oględzin do kasy przedsiębiorstwa w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej.

W przypadku niedojścia do skutku przetargu pierwszego, drugi przetarg odbędzie się w dniu 14 kwietnia 1988 r. o godz. 11 na terenie WKTS w Łodzi ul. Warecka 2.

Zastrzega się prawo odwołania przetargu lub wycofania niektórych samochodów bez podania przyczyny oraz zmianę cen wywoławczych.

Za występujące wady ukryte w pojazdach zakład nie ponosi odpowiedzialności oraz nie uzupełnia braków.

818/k

WIDZEWSKA FABRYKA NICI „A R I A D N A" w Łodzi, ul. Niciarniana 2/6

producent szerokiej gamy asortymentowej nici, w chwili obecnej modernizujący park maszynowy

Z A T R U D N I:

pracowników o wysokich kwalifikacjach zawodowych, oferując atrakcyjne wynagrodzenie w ramach obowiązującego porozumienia płacowego na stanowiska:

- głównego mechanika — wymagane wykształcenie wyższe mechaniczne oraz praktyka
- specjalistę ds. toksykologii i ochrony środowiska — wymagane wykształcenie wyższe chemiczne oraz praktyka
- specjalistę lub referenta ds. inwestycji — wymagane wykształcenie wyższe lub średnie techniczne oraz uprawnienia budowlane, wskazana znajomość języka obcego
- referentów ds. zaopatrzenia — wymagane wykształcenie wyższe lub średnie oraz praktyka
- mistrzów w wydziałach produkcyjnych — wymagane wykształcenie wyższe lub średnie włókiennicze
- magazynierów — wymagane wykształcenie średnie
- specjalistę mechanika — wymagane wykształcenie wyższe mechaniczne
- referenta ds. technicznych — wymagane wykształcenie średnie mechaniczne oraz znajomość rysunku technicznego

O R A Z

- elektromonterów — automatyków — wykształcenie średnie
- robotników magazynowych
- tokarzy
- ślusarzy remontowych
- dekarzy
- sprzątaczki sal produkcyjnych
- dozorców dzienno-nocnych.

Zakład zapewnia wszystkim pracownikom i ich rodzinom bogaty wachlarz świadczeń socjalnych.

Warunki pracy i płacy do omówienia w dziale osobowym, ul. Niciarniana 2/6, tel. 78-11-00 w. 230 i 229.

Nie zatrudniamy osób po samowolnym porzuceniu pracy.

1318/k

FABRYKA SZLIFIEREK „PONAR — ŁÓDŹ" Zakłady Mechaniczne im. J. Strzelczyka 92—312 Łódź, ul. Papiernicza 7

O G Ł A S Z A

PRZETARG NIEOGRANICZONY

1. NA MODERNIZACJĘ I ROZBUDOWĘ ZAJEZDNI WÓZKÓW AKUMULATOROWYCH.
   Nowa część zajezdni zaprojektowana jest jako budynek parterowy, niepodpiwniczony o konstrukcji tradycyjnej.
   Pow. zabudowy 510 m kw.
   Kubatura 1833 m sześc.
   Zakres robót obejmuje:
   — roboty budowlane i wykończeniowe
   — instalację c.o. i wod.-kan. wewnętrzną i zewnętrzną
   — instalację wentylacji mechanicznej nawiewno-wywiewną
   — instalację elektryczną i odgromową.
2. NA WYKONANIE MAGAZYNU MATERIAŁÓW ŁATWOPALNYCH, FARB I LAKIERÓW.
   Budynek wolno stojący, parterowy, niepodpiwniczony o konstrukcji szkieletowej, żelbetowej, prefabrykowanej.
   Pow. zabudowy 204,0 m kw.
   Kubatura 664,0 m sześc.
   Zakres robót obejmuje:
   — roboty budowlano-montażowe i wykończeniowe
   — instalację c.o. i wod.-kan. zewn. i wewn.
   — instalację zewn. sieci ciepłowniczej
   — instalację wentylacji mechanicznej — montaż 12 szt. wywietrzaków dachowych z wentylatorami wyciągowymi
   — instalację elektryczną, odgromową i sygnalizacyjną.

Oferty winny zawierać pisemne oświadczenie o zaznajomieniu się z warunkami przetargu, wartość robót, termin wykonania.

Oferenci przed przystąpieniem do przetargu winni wpłacić wadium w wysokości 100 tys. zł na rachunek NBP V O/Łódź, nr 47030-505.

Oferty w zalakowanych kopertach łącznie z kosztorysem ofertowym należy składać w ciągu 7 dni od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia pod ww. adresem.

Przetarg odbędzie się w 10 DNIU OD DATY UKAZANIA SIĘ OGŁOSZENIA, a gdyby 10 dzień wypadł w dzień wolny od pracy, to w najbliższy dzień roboczy o godz. 11 w sali nr 116.

Z zakresem robót oraz z dokumentacją można zapoznać się w sekcji inwestycji, ul. Papiernicza 7, pok. 307, tel. 43-37-43 lub 43-24-20 w. 115.

Zastrzegamy sobie prawo wyboru oferenta oraz unieważnienia przetargu bez podania przyczyny.

3061/k

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

17 marca — EUGENIUSZ IWANICKI — godz. 10—16
24 marca — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godz. 10—16

Jak zwykle ludzi denerwują sprawy drobne, z którymi stykają się codziennie, bo te drobne składają się na sprawy duże, o zasadniczym znaczeniu. Na przykład traktowanie jednych ludzi przez innych. Pan **Michalak** z ul. G. Narutowicza 34 ostrzega za naszym pośrednictwem wszystkich tych, który mają zamiar kupić książkę Romana Bratnego „Losy". Książka ciekawa, ale fatalnie wykonana przez drukarzy z Krakowa. Rozlatuje się po przeczytaniu kilku stron. Kosztuje natomiast 350 złotych. Pan Michalak wymienił jeden egzemplarz na inny i ten też się rozleciał.

Emerytka „ze starego portfela" **J.B.**, która z tego względu musi się liczyć z każdym groszem, poskarżyła się na ekspedientki sklepu garmażeryjnego przy ul. Wojska Polskiego 18. Kupiła w tym sklepie 63 dkg kurczaka bez kartki i zażądano od niej 593 zł. Klientce wydało się to zbyt dużo i zwróciła uwagę ekspedientce. Ta nakrzyczała na panią J.B., że ceny się zmieniły. W domu pani J.B. spokojnie policzyła i doszła do wniosku że nadpłaciła 100 zł. Jej zdaniem takie przypadki w tym sklepie nie należą do rzadkości.

Pani **Franciszka Spalony** przeczytała w „Głosie Robotniczym" o nagrodzonych sklepach wzorcowych, wśród których był też sklep „SAM" z ulicy Zarzewskiej 53. Zdaniem naszej Czytelniczki sklep ten nie zasługuje na żadne wyróżnienie. Obsługa jest tam niegrzeczna i opryskliwa. Masło sprzedaje się przy kasie, ekspedientki biorą je brudnymi od pieniędzy rękoma. A powinno być w lodówce. Gdy miała przyjechać telewizja, aby sfilmować wzorcowy sklep, masło włożono do lodówki, przywieziono atrakcyjne towary, wysprzątano, były nawet kwiaty. Ale tylko na pokaz. Po godzinie 13 w sklepie robi się klub alkoholowy. Alkohol jest zawsze od 13 aż do zamknięcia, z innymi towarami gorzej. Co więc brano pod uwagę, gdy nagradzano sklep? A może trzeba przede wszystkim pytać o zdanie klientów?

Czytelnik, który dowcipnie przedstawił się jako **„Dentysta-Sadysta"** z ul. Piotrkowskiej 18 właściwie wystąpił przeciw własnym interesom. W okolicach ulicy Stefana Jaracza od dawna wietrzy się studzienki od instalacji gazowej. Nie wszystkie są ogrodzone, ludzie potykają się i wybijają zęby. Napędza mu to wprawdzie klientów, ale on już ma dość tego bałaganu ze studzienkami i pyta, kiedy wreszcie zrobi się z tym porządek?

Zgłosił również postulat pod adresem właścicieli sklepu firmowego „Olimpii", który mieści się w domu przy ul. Piotrkowskiej 18, aby zamienili piec węglowy, jakim ogrzewa się pomieszczenia sklepowe na piec akumulacyjny. Nie będzie tyle dymu i pyłu, i będzie oszczędniej. Dziwne, że o tym nie pomyśleli właściciele tego sklepu.

Pani **Witczak**, która mieszka przy ul. Babickiego od strony Retkini i jest bliską sąsiadką Ogrodu Botanicznego, pyta: — dlaczego od tej strony pozamykano tej zimy wszystkie wejścia do Ogrodu Botanicznego? Mężczyźni jakoś się do środka dostają, ale matki z dziećmi już nie. Sama mam dwójkę dzieci i chętnie pospacerowałabym z nimi po Ogrodzie Botanicznym, bo w okolicy brak innych parków. Ciekawa jest, komu to przeszkadza? W innych latach jakoś nikomu, bo wejścia były otwarte.

Pani **K.** zgłosiła wiele zastrzeżeń pod adresem naszego sportu. Porozmawiałyśmy sobie spokojnie i rzeczowo, i trudno było mi nie przyznać racji mojej rozmówczyni. Więc może po kolei. Przede wszystkich dziwi moją rozmówczynię zachwyt nad 5 miejscem Grzegorza Filipowskiego. Wielkiej kariery — jej zdaniem — przed nim już nie ma. Trzeba zatem myśleć o młodzieży i jej poświęcać więcej uwagi, a tego się jakoś nie czyni. Moją rozmówczynię oburzają wycieczki działaczy, którzy „tłumnie" towarzyszą sportowcom. Z wycieczek tych — poza zwiedzeniem świata przez ich uczestników — dla sportu nic nie wynika. A czyż nie lepiej byłoby zaoszczędzone pieniądze przeznaczyć na szkolenie młodzieży? Na Olimpiadę — również do Seulu — typuje się nie tylko ekipy sportowe, ale i miejsca, jakie mają tam zająć, co wszak jest ograniczaniem ambicji. Teraz ciągle cieszymy się z dalszych miejsc zajmowanych przez naszych zawodników, uważając, że mogło być jeszcze gorzej. A może trzeba przeciwnie postępować, wykazywać o ile są gorsi, przypominać, że powinno stać ich na więcej. Porozmawiałyśmy sobie, zrelacjonowałam tę rozmowę, ale pewnie też z niej nic — niestety — nie wyniknie.

Pan Jacek Perka przed paroma laty otrzymał przydział na mieszkanie zastępcze przy ul. H. Sienkiewicza 33 m. 2A. Wymagało ono wówczas remontu. Remont trwał 9 miesięcy, a pan Jacek Perka tułał się przez ten czas po znajomych. Wreszcie mógł zamieszkać. Minęły dwa lata i wyszły na jaw wszystkie usterki: podłoga się ugina, okna się nie domykają. Potrzeba zrobić poprawkę remontu. Powinien to zrobić ROM 4 ze Śródmieścia, ale zwleka. Pan Jacek Perka nawet inspektorów IRCH-y ściągnął, aby obejrzeli jego mieszkanie. Niewiele to jednak pomogło. Pan Jacek Perka jest po dwóch zawałach i nie może nosić wiader z węglem, a ma kuchnię węglową. Chce ją wymienić na gazową. ROM 4 się zgadza, ale powiada, żeby sobie sam kupił i zainstalował, a oni mu zwrócą pieniądze. Dokładnie 17.637 zł, bo tyle wynosi różnica między kuchnią węglową a gazową. Ostatnio jednak w ROM 4 powiedziano panu Jackowi Perce, że sumę tę powinien... wpłacić na konto ROM 4 ze Śródmieścia. Czytelnik nic już nie rozumie. My również! A może by jednak kłopoty chorego człowieka potraktować w ROM 4 ze szczególną troską? Nie da rady? Spróbujcie!

Pan **A.K.** (imię i nazwisko do wiadomości redakcji) przypomniał, że 23 stycznia 1988 roku w „Odgłosach" ukazało się jego pytanie w moim sprawozdaniu z dyżuru reporterskiego w sprawie ulg w przejazdach PKP i PKS dla dzieci szczególnej troski. Podobno istnieją, ale nigdzie nie można otrzymać dokładnych informacji. Obiecuję rzecz wyjaśnić i w najbliższym czasie poinformujemy o tym zainteresowanych Czytelników. Na pytanie zawarte w sprawozdaniu z reporterskiego dyżuru rzeczywiście nikt nie odpowiedział. Moja to wina, że nie „popchnęłam" telefonicznie odpowiednich „czynników".

Pani **Izabela Pokorska** ze Zgierza powróciła do sprawy artykułu Bohdana Gadomskiego o Violetcie Villas. Uważa, że autor jest nietaktowny, wyciąga sprawy, których człowiek kulturalny nie powinien poruszać. Jej uwagi przekazałam kierownictwu redakcji, które prosiło, abym napisała, że każdy, kto występuje publicznie naraża się na publiczną krytykę. Forma tej krytyki nie może naruszać dóbr osobistych. Jeśli krytykowany uzna, że tak się stało, może dochodzić swoich praw w sądzie. Jeśli natomiast autor podejmuje walkę z jakimikolwiek mitami, naraża się na to, że obudzi to sprzeciw wielu odbiorców. Czy zawsze słusznie?

Dziękuję za przekazane mi życzenia z okazji naszego trzydziestolecia, za podrzucone ciekawe tematy. A panu **Bolesławowi K.** nie umiem odpowiedzieć, czy drukarze z Prasowych Zakładów Graficznych przy ul. A. Czerwonej wstydzili się za techniczną jakość numeru jubileuszowego, w którym na zdjęciach przede wszystkim ich nie było widać.

BOGDA MADEJ

KWB

OGŁASZAMY NABÓR DO ZASADNICZEJ SZKOŁY GÓRNICZEJ i TECHNIKUM GÓRNICZEGO w BEŁCHATOWIE ul. CZAPLINIECKA 68 i w KAMIEŃSKU

na rok 1988/89 do następujących specjalności:

* mechanik (technik) maszyn górnictwa odkrywkowego
* elektromonter (technik) górnictwa odkrywkowego
* mechanik maszyn budowlanych (spycharki, ładowarki, koparki)
* mechaniczna obróbka metali.

Wymagany odpowiedni stan zdrowia (badania lekarskie i psychologiczne w Przychodni Górniczej w Bełchatowie).
O przyjęciu do szkoły decyduje odpowiedni stan zdrowia i zdany egzamin.
Informacji udziela sekretariat szkoły, tel. Bełchatów 23-156.
1772/k

TECHNIKUM ENERGETYCZNE ZASADNICZA SZKOŁA ZAWODOWA PRZYZAKŁADOWA ELEKTROWNI BEŁCHATÓW

EB

OGŁASZA

zapisy do klas pierwszych na kierunki:

W TECHNIKUM ENERGETYCZNYM:

* Elektryczna i elektroniczna automatyka przemysłowa
* Energetyka cieplna

W ZASADNICZEJ SZKOLE ZAWODOWEJ:

* Mechanik maszyn i urządzeń przemysłowych
* Monter mechanicznych urządzeń energetycznych
* Elektromechanik

WARUNKI PRZYJĘCIA:

— ukończone 15 lat i nie przekroczony 18 rok życia
— ukończenie szkoły podstawowej
— złożenie podania, do którego należy dołączyć:
1. życiorys
2. 3 fotografie
3. świadectwo ukończenia szkoły podstawowej
4. badania lekarskie i psychologiczne
— złożenie egzaminu wstępnego dotyczy technikum

Podania o przyjęcie do szkoły przyjmuje i udziela informacji:

▲ sekretariat TE i ZSE Bełchatów, ul. Czapliniecka 100, tel. 233-33
▲ dział szkolenia zawodowego elektrowni Bełchatów, ul. Czapliniecka 44, pokój nr 9 w „Domu Energetyka", tel. 256-98 wewn. 270 lub 711-21.

Absolwenci Technikum Energetycznego i Zasadniczej Szkoły Zawodowej elektrowni Bełchatów mają zapewnioną pracę w elektrowni Bełchatów przy najnowocześniejszych urządzeniach, które ze względu na swą prototypowość i nowoczesność rozwiązań wymagają od personelu obsługującego wysokich kwalifikacji — a takie kwalifikacje będą posiadać absolwenci wymienionych szkół.
1774/k

U W A G A!
KANDYDACI NA WYŻSZE UCZELNIE

Wojewódzki Uniwersytet Robotniczy ZSMP w Łodzi organizuje kursy przygotowawcze do egzaminów wstępnych na POLITECHNIKĘ, UNIWERSYTET i AKADEMIĘ MEDYCZNĄ.

Zajęcia intensywnego nauczania rozpoczynają się 30 maja 1988 r. i odbywać się będą cztery razy w tygodniu.

Zapisy przyjmuje sekretariat WUR ZSMP w Łodzi, ul. Piotrkowska 232, I piętro w godz. 8—15 codziennie (oprócz sobót).

Informacje do godz. 18. Tel. 36-14-54.
821/k

WOJEWÓDZKI UNIWERSYTET ROBOTNICZY ZSMP w ŁODZI

O R G A N I Z U J E

w roku 1988 następujące kursy:

— diagnostów uprawnionych,
— legalizacji prędkościomierzy, drogomierzy, tachografów
— obsługi garażowych stacji paliw
— kwalifikacyjne i mistrzowskie — na zlecenie
— bhp — podstawowe, okresowe dla służb bhp oraz dla nauczycieli i pracowników szkół na terenie całego województwa
— kierowników zakładów małej gastronomii (na uprawnienia do prowadzenia prywatnych lub ajencyjnych punktów sprzedaży)
— bukieciarstwa-kwiaciarstwa (na uprawnienia dla prowadzenia prywatnych lub ajencyjnych punktów sprzedaży)
— pedagogiczne — dla instruktorów praktycznej nauki zawodu oraz dla wykładowców pozaszkolnych form szkolenia
— mistrzów dyplomowanych
— palaczy c.o. i kotłów wysokoprężnych oraz obsługi węzłów cieplnych
— kierowców wózków spalinowych i akumulatorowych
— spawania gazowego i elektrycznego
— obsługi suwnic
— p.poż., nieetatowych referentów oraz członków komisji pożarowo-technicznych
— dozór i eksploatacja urządzeń elektroenergetycznych do 1 kV oraz b.o. (na uprawnienia SEP)
— zainteresowań własnych (np. tańca towarzyskiego).

Zapisy indywidualne i zlecenia z zakładów pracy i instytucji przyjmuje sekretariat WUR ZSMP w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 232, I piętro w godzinach 9—15, oprócz sobót. Informacje do godziny 15 (tel. 36-14-54).
820/k

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony.

Matnia 15

LEONARD

Wiarołomna żona, łóżkowe wielokąty, banalne w swej istocie, wywołują zawsze ostre namiętności, na których szarlatani zgrywający się na Sherlocków Holmesów, nieźle zarabiają. W dobie zminiaturyzowanych gadgetów podsłuchowo-wizyjnych, dających się zainstalować dosłownie wszędzie, przenikanie tajemnic alkowy nie jest trudne. Ceniona na londyńskim rynku detektywistycznym Agencja Debenhamsa podejmowała się rozwikłania tych zagadek tylko wówczas, gdy łóżko — jak w głośnej aferze ministra obrony Wielkiej Brytanii Johna Profumo i jego luksusowej kochanki Christine Keeler, użyczającej siebie na tym samym meblu także wysokiemu oficerowi wywiadu ościennego mocarstwa — jest punktem wyjściowym do spraw ważniejszych od zawartości dolnej części bielizny damskiej.

Ta sprawa nie zdawała się mieć cokolwiek wspólnego z ministrami i ich przygodnymi kobietami. Od samego początku pachniała interesem. Zalatywała niewiernością wspólnika, czymś groźniejszym w skutkach od zdrady małżeńskiej. Niewierność w interesach skrywana jest bardziej niż tajemnicze schadzki kochanków, w przypadku powodzenia śledztwa wróży agencji dochody większe do dziennych stawek i ewentualnej gratyfikacji. Irytujący był obcesowy ton telefonicznego zleceniodawcy, ale Highbrow był ponad takie drobiazgi. Przeprowadzenie dochodzenia powierzył Arthurowi Cooperowi.

Było ono jego pierwszym zadaniem na nowym miejscu pracy. Stróż porządku publicznego a praca detektywa — jaka przepaść! Ale właśnie w tej sprawie były oficer policji metropolitarnej mógł wykazać się swymi koneksjami. Angażując go Highbrow nie wnikał w jego przeszłość. Z tego, co ptaki na londyńskich dachach świergotały, Cooperowi zarzucano niedopatrzenie służbowe, które kosztowało życia konstabla z dystryktu Warwick. „Niedopatrzenie służbowe" w znanej z dyscypliny umundurowanej policji, którego rezultatem była śmierć funkcjonariusza, i żadnych, poza zwolnieniem z szeregów, konsekwencji prawnych — już tylko to wystarczyło do przyjęcia go do pracy. Dodatkowo przemawiała na korzyść Coopera jego sylwetka miotacza oszczepem nieprzeniknione jeziora w oczodołach, nie zachęcające do kąpieli bez ubezpieczenia, mocna szczęka zamknięta od dołu kwadratowym podbródkiem z dołeczkiem w środku, który na pewno przysparzał mu kłopotów podczas golenia lecz mógł podobać się kobietom. Nie wyglądał z tym wszystkim na człowieka zdolnego do strojenia sobie żartów z pracy; ostrożny z natury Highbrow od razu nabrał do niego zaufania. Jeszcze jedno przemawiało za zaangażowaniem tego człowieka: jego znajomość świata przestępczego — małych złodziejaszków, paserów, prostytutek, sutenerów, zawsze gotowych do współpracy z policją. Siłą detektywa są informatorzy, uważał Highbrow. Są oni oczami i uszami, są psim węchem, bez ich pomocy praca w Londynie jest skazana na błądzenie po omacku.

Więc Ronald W. Humber zatrudniony w przedsiębiorstwie Africa-Aid przy Cliff Street 16, zamieszkały przy Victoria Road 173, znak rozpoznawczy: brak środkowego palca u lewej ręki.

To nazwisko było na pewno prawdziwe. Natomiast Roberta Vinnella, jak szastający pieniędzmi zleceniodawca mówiący amerykańskim akcentem się przedstawił, można od razu między bajki włożyć. Tylko zdradzani mężowie nieprzytomnie zakochani w swoich żonach, obnażają się przed detektywem jak przed psychiatrą, przekonani, że ukazanie swego nieszczęśliwego wnętrza pomoże im w odzyskaniu rozrzutnego skarbu. Naiwni. Ludzi interesu nie stać na taki luksus. Pieniądz jest okrągły i obraca się na pochyłym stole. To prostytutka, co sama turla się z rąk do rąk. Strzec go należy jak źrenicy oka. Ten Robert Vinnell, czy jak mu tam, albo zlekceważył tę zasadę, albo wdał się w sprawę z wilkołakiem większym od siebie. Africa-Aid — nic to nie mówiło. Przedsiębiorstw oferujących usługi na rzecz nowo powstałych krajów trzeciego świata namnożyło się w Londynie jak grzybów po deszczu. Nie są to przedsiębiorstwa w pełnym znaczeniu tego słowa, a przeważnie jednoosobowe biura otwierane przez hochsztaplerów spekulujących na bolączkach tych krajów, aby po dorwaniu się do łatwego pieniądza rozpływać się we mgle. Po wstępnych ustaleniach nowego pracownika Africa-Aid okazało się przedsięwzięciem prawdziwego zdarzenia, pomyślanym z rozmachem przez kogoś bardziej konkretnego niż Pan Bóg. Kogo? — zaintrygowało Highbrowa. Pół miliona funtów kapitału zakładowego na taką palcem na wodzie pisaną działalność nikt od ręki nie wykłada.

Agencja Debenhamsa — od nazwiska założyciela zmarłego tragicznie w niewyjaśnionych okolicznościach — badała skrupulatnie powierzone sobie sprawy. Zanim jeszcze rozszyfrowanie osoby Ronalda Humbera stało się zadaniem służbowym byłego oficera Metropolitan Police, Highbrow zadał sobie trud pofatygowania się na Cliff Street 16. Do wnętrza budynku nie wchodził. Świeża farba na drzwiach i oknach, zwracający uwagę przechodnia szyld nad wejściem do pomieszczeń biurowych, lśniące szyby okien, wśród dobrych marek samochodów zaparkowanych na zastrzeżonym dla firmy miejscu stał najnowszy model oliwkowego mercedesa ze znanym mu numerem rejestracyjnym. To żadna pokątna lipa, ta Africa-Aid. Poprzez swojego człowieka w wydziale handlowym dystryktu Highbrow sprawdził g[illegible] ność właściciela firmy. Nie mylił się. Robert Vinnell to funkcja. Gdyby nie amerykański akcent zleceniodawcy i jakaś trudna do określenia intonacja, uchwycona przez czułe na Amerykanów ucho dyrektora Highbrowa, z nazwiska można by go posądzić o pokrewieństwo ze starą szlachtą angielską.

Zwłoki podziurawionego na sito założyciela agencji wyłowiono z jeziora Parku Battersea, daleko od jego miejsca zamieszkania na przeciwległym krańcu Londynu. Przeprowadzone przez Scotland Yard śledztwo ustaliło wszystkie detale jego codziennego życia, z wyjątkiem przyczyn i sprawców morderstwa. Motywem zbrodni musiały być jakieś porachunki. I tu natknięto się na pustkę. Horacy C. Debenhams, przed przejściem w stan spoczynku wysoki urzędnik Korony w Republice Południowej Afryki, swoje trzydzieści lat nieprzerwanej służby zapisał złotymi literami. W jego życiorysie z tego okresu, oprócz wyrazów uznania oraz licznych odznaczeń, nie natrafiono na żaden ślad, który by prowadził do rozwiązania zagadki jego nieprzypadkowej przecież śmierci. Pozostałe po nim półtora miliona funtów — fortuna jak na urzędnika — oraz tajne konto w banku szwajcarskim, otwierane na hasło, niczego do sprawy nie wniosły: dorobienie się majątku jest w Wielkiej Brytanii cnotą. Jakie pieniądze czekały na hasło zabrane przez Debenhamsa do grobu, pozostanie tajemnicą szwajcarskich bankierów. Nosił wilk, ponieśli wilka, czy tragedia dobrej owieczki? Śmierć była smakowitym kąskiem dla żądnej sensacji prasy brukowej, ujawnione kulisy życia nieboszczyka, głównie jednak pozostawione aktywa, podzieliły jego bliskich na wrogie sobie obozy. Ale na tym się skończyło. Po roku bezowocnych poszukiwań sprawców śmierci tego rycerza bez skazy śledztwo umorzono.

Highbrow nie podzielał zdania Scotland Yardu. Półtora miliona funtów, nie licząc wkładu na hasło, równało się dwustuletnim poborom urzędnika szczebla piastowanego przez zamordowanego. Fortuna ulokowana była w żywej gotówce, mogła w każdej chwili być podjęta w całości. Czyżby jej właściciel obawiał się konieczności nagłej zmiany miejsca zamieszkania?

Życie Highbrowa potoczyło się dalej dwoma torami: dyrektora agencji, którą z upoważnienia spadkobierców kierował, oraz detektywa prowadzącego na boczku swoje prywatne śledztwo, zaniechane przez oficjalne w kraju organa ścigania. Pod jego prężnym kierownictwem wpływy agencji wkrótce zwiększyły się nawet, ale jego ciche ambicje sięgały wyżej. Pewnego dnia w misternie zakamuflowanej skrytce w swoim gabinecie znalazł dziennik zapisany szyfrem. Highbrow przeszedł przeszkolenie kryptologiczne. Opracowanie klucza do naiwnie skonstruowanego szyfru było nadzwyczaj łatwe. Dziennik okazał się prowadzonym z buchalteryjną dokładnością skorowidzem nazwisk, adresów i piastowanych funkcji ludzi zamieszkałych w Republice Południowej Afryki, Namibii i w Europie. Osoby te, odkrył Highbrow później, łączyła wspólnota zainteresowań: kamienie szlachetne.

Były pracownik wywiadu brytyjskiego na zarekinionych akwenach Karaibów wiedział, że gdy w wodzie znajdzie się krew, żarłacze stają się niespokojne. Teraz tylko trochę cierpliwości, nakazał sobie.

Agencja mieści się w samym sercu city. Zajmuje kilka dużych pokoi w jednym z nielicznych już gmachów secesyjnych z ubiegłego stulecia, nie wyrugowanych jeszcze przez nowoczesne biurowce. Sąsiaduje z Bankiem Anglii, starym gmachem Giełdy i nowym, oddanym do użytku przed paroma laty. Bliskość tej szacownej instytucji, której nazwa mówi sama za siebie, kosztuje. Ale efektowna rama nigdy nie pozostawała bez wpływu na cenę dzieła sztuki. Godziny przyjęć, uwidocznione na imitującym złoto szyldzie: 10—12. Premier rządu Jej Królewskiej Mości, zwalisty Jim Callaghan, orze w swej lokatorskiej siedzibie na Downing Street od wczesnego rana do późnej nocy, dyrektor Highbrow przeznacza swym klientom dwie godziny. Dwie. Kto pragnie skorzystać z usług Agencji Debenhamsa, niech staje w kolejce.

Już pierwsze wrażenie rozwiewało obawy przybysza: znajdował się nie w norze kreta żerującego na przewrotności ludzkiej, ale w Świątyni Dyskrecji. Wyposażenie gabinetu, całkowicie zmienione od czasu, kiedy przesiadywał tutaj świętej pamięci założyciel agencji, podporządkowane było temu celowi. Dziewiętnastowieczna pompada z drzew palmowych, kandelabrów, ciężkich stor na strzelistych oknach przeplatana elementami nowoczesności, miast przytłaczać mieszaniną stylów, uspokajała wzburzone fale. Ten port dawał schronienie przed burzą. Tu można śmiało rzucić kotwicę i wychodzić na ląd.

Architekt świątyni zadbał też o wyposażenie jej w utensylia użytkowe. Cienia szukają osobnicy wyczuleni na światło. Ich oblicza, utrwalone na taśmie filmowej, kiedy skruszeni wyjawiają swoje grzechy, mogą mieć nieocenioną wartość. Stary pracownik wywiadu pomyślał o tym. Kadry z nimi nakręcane automatycznym superczułym aparatem marki „Canon 1014 XL Sound", zainstalowanym w atrapie kinkietu zamocowanej naprzeciwko fotela, na którym siadali, wypełniały spore już kasetowe dossier. Highbrow miał zawsze na podorędziu pretekst do pozostawienia klienta na chwilę samego, wystawionego na łup bezszelestnie pracującej kamery. Żadne słowo, najcichszy dźwięk nie rozpłynął się w próżni nie zarejestrowany uprzednio na taśmie; żegnając się klient wynosił ze świątyni swoją cielesną powłokę zostawiając w niej duszę, która później podlegała fachowej obróbce. Wyniki zapisywano na wieczność w pamięci komputera pozostającego w wyłącznej dyspozycji dyrektora. Asekurując się na wszelkie ewentualności, nie zapomniano o środkach bezpieczeństwa. Rasowy wywiadowca nigdy o tym nie zapomina. Idąc w bór pełen dzikiego zwierza może zapomnieć powiedzieć żonie: „Pa, kochanie. Do zobaczenia!", ale nie zapomni sprawdzić, czy jego broń jest naładowana. Highbrow przygotował się na każdą ewentualność.

W salce projekcyjnej, sąsiadującej z gabinetem, wyświetla się nakręcone filmy i analizuje ich bohaterów pod kątem znanym jedynie jemu oraz Nelly. Ich uwagi nie uchodzi żaden szczegół. Każdy człowiek ma swoją naturę, różniąca się od innych niekiedy drobiazgami tylko. Ma także przyzwyczajenia, zwane potocznie drugą naturą, z których najczęściej nie zdaje sobie sprawy. A są one widoczne dla wytrawnego obserwatora, niczym samotne drzewo pośród pni wyciętego lasu.

W pracy swojej Highbrow jest niezmordowany. W ciągu roku kierowania agencją przez scenę gabinetu przewinęła się rzesza aktorów. Kariera większości kończyła się na pierwszej próbie. Ale niektórzy błysnęli talentem, a zwłaszcza jeden: postawny, silnie zbudowany pięćdziesięciolatek z wąsem, nieco przydługim jak na ten fason. Facet przesadził z tą rudą szczotką zakrywającą całkowicie górną wargę. Dlaczego przesadził? — pytał siebie Highbrow, studiując nakręcony film.

Tysiące ciemnych plam. Ten wachał ma w sobie coś z komety Halleya: pojawił się na firmamencie tego gabinetu niedługo po śmierci Horacy'ego i zniknął bez śladu. Jego wizyta miała cechy rekonesansu znanego sobie terenu operacyjnego, opanowanego chwilowo przez przeciwnika, a przy okazji — takich klientów się nie zapomina — chciał odkupić agencję... Z całym jej wyposażeniem, na pniu... Płacił gotówką, cena się nie liczyła. Potem, jak przystało na kometę, nie przedstawiając się, zniknął.

Kilka miesięcy później człowieka tego widziano w świecie szefa wewnętrznej policji międzynarodowego koncernu diamentowego General Selling Conference, Afrykandera, pana Johannesa von Boothy. Miało to miejsce w Kapsztadzie na party wydanym w ogrodzie konsulatu cesarstwa Iranu. Nazwiska jego nie zdołano ustalić, podane zaś podczas wizyty w agencji było na pewno fikcyjne. Mówi po angielsku z gardłowym akcentem południowoafrykańskich Holendrów.

Wielkie palisandrowe biurko Highbrowa świeciło zawsze idealną pustką. Niczył ołtarz w świątyni, poza aparatem telefonicznym z automatyczną sekretarką połączonym z systemem alarmowym, nigdy nie splamiło się listkiem papieru. Tutaj się słuchało tylko, a do tego papier i pióro niepotrzebne. Słuchało się, rozważało padające słowa, wnioski przekazywało się innym do wykonania. I czekało się cierpliwie. Dyrektor wierzył, że prędzej czy później po przeciwnej stronie jego imponującego biurka, zwrócony twarzą do niewidocznego obiektywu uruchamianej elektronicznie kamery filmowej zasiądzie TEN człowiek.

Bo mordercy wracają na miejsce zbrodni. Nie jest to tylko motywem autorów powieści kryminalnych: wracają! Z nakazu zapisanego w podświadomości, silniejszego od instynktu samozachowawczego, albo z woli Najwyższego, który winy nie pozostawia bez kary.

Gabinet, nad którego urządzeniem Highbrow tak się natrudził, to pułapka na grubego zwierza. Morderca Horacy'ego C. Debenhamsa, jeśli nawet nie usłucha nakazu podświadomości, wróci tu po skorowidz z nazwiskami prominentów ze świata kamieni szlachetnych oraz po nie odnalezione, gdzieś tu jeszcze spoczywające hasło, strzegące zdeponowanych w Szwajcarii pieniędzy.

Spotka się z godnym siebie przyjęciem.

Gdyby David Attentown, wyczekując przed hotelem Carlton, uwagą obdarzył nie tylko umówionego z nim gościa z Republiki Południowej Afryki, ze srebrzystym rolls-roycem, który go przywiózł, dostrzegłby granatowego bentleya prowadzonego przez kobietę. Z samochodu tego wysiadł dystyngowany siwy pan w meloniku i białym szalu owiniętym luźno wokół szyi, w wieku około sześćdziesięciu lat, o wysokiej, wyprostowanej sylwetce zawodowego oficera lub dyplomaty. Ale to napięcie nerwowe. Kiedy on konferował z van Boothą nad wyborem trunków, pan ten zajął miejsce nie opodal ich stołu na co Attentown nie zwrócił uwagi.

Tak rozpoczął się bieg wypadków, całkowicie nie przewidzianych przez biorące w nich udział osoby.

Paradeplatz w Zurychu. Przed jeden z licznych tutaj banków zajeżdża dobrej marki samochód. Dzień jest pogodny, bezwietrzny. Z samochodu wysiada starszy pan, sprawdza nazwę banku nad portalem i podpierając się czarną laską z gałką z kości słoniowej, wchodzi do środka. Na Paradeplatz jest więcej banków. To najpieniężniejszy plac w świecie. Hitler zamierzał podbić Szwajcarię. Od linii Leningrad — Moskwa — Stalingrad na wschodzie, po Pireneje na zachodzie tylko ten kraj w Europie pozostawał nie zajęty przez jego wojska. Ale mu to wyperswadowano. Pieniądze to nie ludzie. Milion poległych żołnierzy da się odrobić w łóżku w ciągu jednej nocy, co innego z pieniędzmi.

Marmur doryckich kolumn, alabaster ścian, pancerne szkła urzędniczych boksów, na suficie fresk „Stworzenie świata". To tu — rozpoznaje wytworny pan. Pewnym krokiem kieruje się do jednego z boksów, laskę z gałką z kości słoniowej kładzie na pulpicie, urzędnikowi, który na jego widok wstaje z obrotowego fotela, wypisuje na kartoniku jedno słowo. Hasło.

Kartonik kładzie w szufladce wpuszczonej w pulpit, wzrok zawiesza obojętnie na wskazówkach ściennego zegara. Jest jedenasta trzydzieści. W Szwajcarii to dobra pora na załatwienie spraw bankowych.

Automat przesuwa szufladkę poza szklane przepierzenie. Urzędnik poprawia okulary na nosie, odczytuje hasło, przeprasza wytwornego pana i znika z kartonikiem za drzwiami gabinetu swego przełożonego.

Bank jest prawie pusty. Jakaś zaawansowana wiekiem para na jednej z kanap, uzbrojeni strażnicy — nie licząc mumii urzędniczych, obiektów wewnętrznej telewizji spoglądających argusowym okiem ze stiuków sufitu, jedwabnego brzęczenia much uwięzionych w pudłach maszyn do liczenia — wszystko. Samotność wytwornego pana pod boksem nie trwa długo. Hall przemierza dyrektor banku, przedstawia się i prosi o udanie się za sobą.

C.D.N.

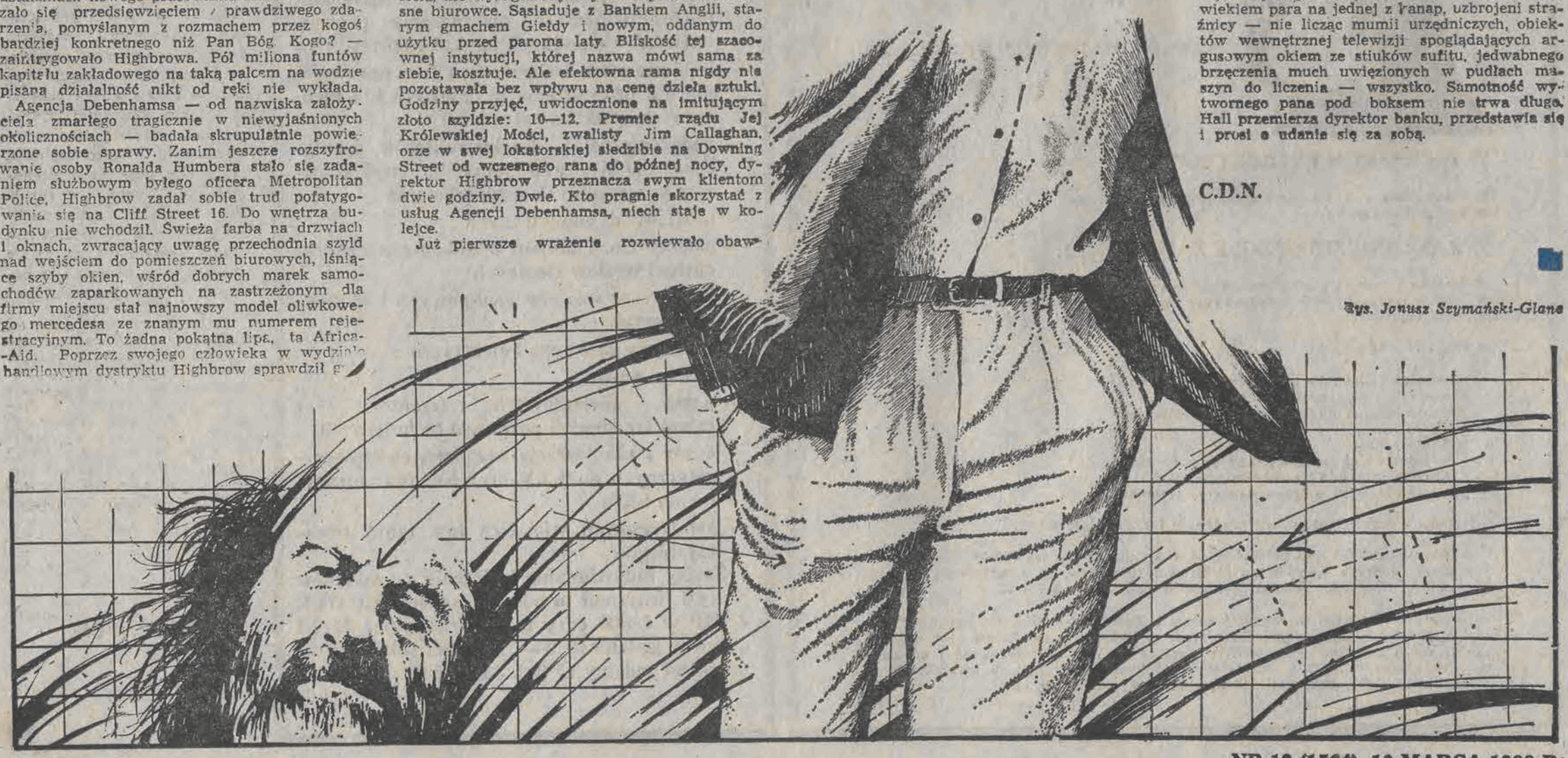

Rys. Janusz Szymański-Glanc